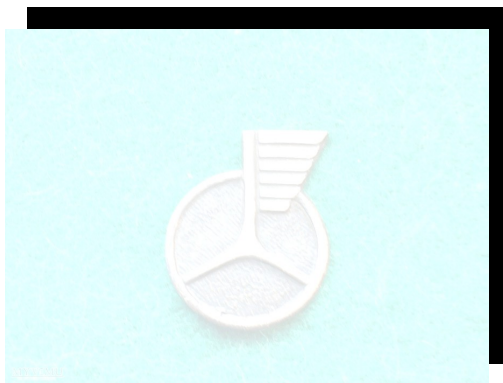


RAZEM BRONILIŚMY POLSKIEGO NIEBA

WORK





***...żeby ludzie żyli bezpiecznie a dzieci bawiły się bez troski,
dwa lata mego życia spędziłem w koszarach jednostki...***

Od autora

Postanowiłem napisać tę książkę po 30 latach odkąd opuściłem mury jednostki wojskowej 2295 Gryfino (Czarnówek).

Dedykuję ją wszystkim tym, którzy odbywali służbę wojskową bez względu na formację i miejsce. Również tych, co nigdy nie zasmakowali wojska serdecznie zapraszam do lektury.

Staralem się opisać w niej codzienne życie żołnierzy służby zasadniczej. W pewnym stopniu jest to moja biografia wojskowa, ale na pewno wiele osób przeżywało to tak jak ja..

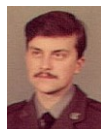
Oczywiście ukryłem tu nazwiska osób, zachowując jednak imiona i stopnie. Nie chciałbym, aby potencjalni czytelnicy byli w jakiś stopniu urażeni, że chodzi właśnie o nich, a nie ukrywałem tu zachowania codziennego tego dobrego jak i tego, którego określenie w latach mojej służby nazywało się pustactwo. Być może niektórym czytelnikom nie spodoba się, że w treści spotkają się z wulgarnymi słowami, ale pragnąłem, aby wszystko było jak najbardziej realne. Dlaczego w ogóle napisałem tę książkę?

Odpowiedź jest prosta. Pragnę pokazać wszystkim, jaka była służba w naszej armii w latach 80. A konkretnie w jednostce wojskowej 2295, położonej tuż obok malutkiej wioski Czarnówko. Dziś żyją tylko wspomnienia tamtych lat. Nie słychać o falach, kotach czy rezerwistach we współczesnej armii. Obecnie nie ma już jednostki. Pozostała brama wjazdowa i magazyny rakiet. Reszta została rozebrana i zburzona. Nie

przetrwał nawet asfalt, na wewnętrznej drodze, którą dziesiątki razy na dzień, chodziliśmy. Zburzono nawet budynek PKT, w którym po rozformowaniu dywizjonu siedział i pilnował terenu, stróż. Wszystko zarosło trawą i krzakami. Pozostał tylko wiatr, buszujący wśród zaniedbanych drzew.

Serdecznie zapraszam do lektury.

kpr. rez. Janusz Chojnowski



Pragnę podziękować Panu Zbigniewowi Przędak za pomoc przy pisaniu mojej książki oraz dla kolegi Dariusza Zdanowicz, który zmobilizował mnie do napisania jej w tak krótkim czasie



...mojej żonie Krystynie...

1. POWOŁANIE

Szarpięcie wagonów i coraz większy pęd pociągu nie oderwały mojego wzroku od kawałka kartki papieru, który trzymałem w ręku. Patrzyłem na nią i setny raz czytałem znany mi już na pamięć numer i adres jednostki wojskowej, do której dostałem przydział. JW 3692 Gryfice. Gdzie to jest? Jaka to formacja?

Za oknami przelatywał krajobraz wczesno-jesiennych pól, ale nie patrzyłem na to a jak już rzuciłem okiem za szybę wagonu, to wszystko dla mnie było szare i mało ciekawe. Żyłem już wojskiem. W myślach przelatywały mi opowiadania znajomych, którzy mieli już to za sobą. Jak dam sobie radę? Czy w wojsku faktycznie jest tak jak opowiadali? Przecież nic innego nie słyszałem z ich ust jak tylko „fala-koty-rezerwa-pompki-alarmy”. To, co znałem z opowiadań już niebawem miałem doświadczyć na własnej skórze. Dwa lata takiego kieratu. Nie to niemożliwe, że spotkało to właśnie mnie. Jednak z drugiej strony, jeżeli inni to przeżyli to czy ja nie dam sobie rady zwłaszcza, że życie nie rozpieszczało mnie nigdy. Nie miałem łatwego dzieciństwa, nie przelewało się w naszej zdekompletowanej rodzinie po rozwodzie rodziców. Byłem wychowany przez matkę – twardą ręką, ale jak najbardziej sprawiedliwą. Głowa do góry i naprzód. Sam siebie pocieszałem.

Pociąg zatrzymał się na stacji. Gdy zszedłem z peronu i rozejrzałem się po mieście jakiś żal ścisnął mnie za gardło. To moje miasto, moje rodzinne strony, ulice, którymi dziesiątki razy dziennie chodzę, i wszystko to mam zostawić na dwa lata.

Doszedłem do budynku, w którym mieszkałem. Wchodząc do góry minąłem się z kimś na klatce schodowej nie spojrzawszy nawet na tą osobę.

- Janek. Co ty kumpli nie poznajesz?

Popatrzyłem. Mirek.

- Ach daj mi święty spokój. Życ mi się odechciało. Właśnie wracam z WKU- wykrztusiłem.

- No i...

- I co kurwa, idę do woja – zasyczałem przez zaciśnięte zęby.

Mirek chwilę na mnie spoglądał, i lekko skrzywiając usta zapytał:

- Gdzie?

- Masz, czytaj – powiedziałem dając mu moje powołanie.

- Facet, to idziemy razem w jedno miejsce! Czekaj no a kiedy?

Spojrzał na kartkę.

- Ten sam dzień, ta sama godzina, to samo miasto i ten sam numer woja. Lepiej nie mogło mi się przytrafić, nie będę sam!

- Tak jest nie będziesz sam. Teraz to będziemy sami!

Droga do jednostki była krótka. Kilka ulic, parę sklepów i jest. Mur, parę dużych budynków, żołnierz na warcie z giwerą i brama. Surowa, ciężka i szeroka. Swoim wyglądem jakby chciała powiedzieć „jak wejdiesz to już nie wyjdiesz”.

Pełno ludzi wokoło, gwar, szum. Co chwilę gdzieś w oddali słychać pokrzykiwania, jakieś niezrozumiałe dla mnie komendy, szum drzew i ...szum w mojej głowie. „A więc stało się. Jestem w woju. Przeszedłem przez bramę na drugą stronę. Tylko, jaka jest ta inna strona?...

- A ojcowie, co tak chodzą jak święte krowy. Zabawa się skończyła. Czas wziąć się do roboty- usłyszeliśmy.

Z lekko ściśniętym gardłem obejrzałem się do tyłu gdzie stał żołnierz w stopniu kaprała i z uśmiechem na twarzy i na lekko ugiętych nogach patrzył na nas jak na durni.

- Sorry, ale nie wiemy, co dalej – powiedział Mirek z papierosem w kąciku ust.

- Przede wszystkim to żadne sorry i wyjmij tego kiepa. To jest wojsko a nie burdel. Macie bilety?

- Tak – odpowiedziałem dając mu do ręki moje powołanie.

Szybko przeczytał, uśmiechnął się i rzekł:

- Tam przy bramie jest biuro przepustek. Sprawdzali was? No, więc trzeba było grzecznie stać i czekać w grupie aż po was przyjdą a nie szwendacie się z jednej strony na drugą. To nie ośrodek wypoczynkowy.

- Dobra. Dzięki już idziemy – odpowiedział Mirek.

Kapral zaśmiał się głośno i odszedł szurając nogami i dzwoniąc nie dopiętymi paskami opinaczy na butach. Usłyszeliśmy jeszcze jak mruknął pod nosem „kurwa wczasowicze”.

Podeszliśmy pod biuro przepustek gdzie trwało już „przetasowanie”.

- Jak nazwisko – usłyszałem jednocześnie poczułem rękę na ramieniu.

Powiedziałem. Chwilę sprawdzania na liście, którą szybko wertował i żołnierz w stopniu kaprala odrzekł:

- No dobra gościowie. Akurat trafiacie pod moje skrzydła. Idziemy wszyscy do tego budynku – powiedział i wskazał palcem na drzwi – przebieramy się w mundury wyjściowe, pobieramy oporządzenie, pakujemy manatki, które odeślą wam do domu a potem zbióreczka i jedziemy do jednostki autobusem.

- Jak to autobusem – rzekłem – przecież jesteśmy w jednostce.

- Jak mówię to mówię. Wy jedziecie do innej jednostki. W Gryfinie. Tam odwalicie swoje. Zrozumiano?

Jak to? Dostałem powołanie do Gryfic a wywiozą mnie do Gryfina?

- Ale przecież my dostaliśmy powołanie do Gryfic a nie do Gryfina. To chyba jakaś pomyłka.

- W wojsku nie ma pomyłek. I kurwa odpowiada się „tak jest obywatelu kapralu”. Zrozumiano. A zresztą wali mnie to, co sobie tam dumacie. Nawiasem mówiąc to skąd jesteście?

- My. Z województwa legnickiego.

- No to z Gryfina będziecie mieli bliżej do domu o ile przez dwa lata do niego dojdziecie – powiedział z uśmiechem i dodał – dobra nie ma czasu na pieprzenie głupot. Załatwiamy temat i do autobusu. Mam za cienko żeby z wami dyskutować.

Weszliśmy do pomieszczenia w budynku, w którym odbywała się już procedura przyjęcia. Cywilne ubrania do worka, adres napisany odręcznie, wojskowy majdan w ręce i do fryzjera, który uwijał się jak w ukropie. Kilka machnięć maszynką, grzebieniem, nożyczkami i słyszę:

- Następny!

Mundur obszerny, buty za ciasne, czapka za duża a całe oporządzenie ciężkie i niewygodne. Patrzę na mundur i zastanawiam się, dlaczego jest koloru niebieskiego. Buty czarne, pas czarny a orzeł na czapce ze skrzydłami z obu stron. Jak piloci, ale chyba nie trafiłem do lotnictwa? Z moim lękiem wysokości! Spoglądam na innych i widzę, że na kołnierzu mają tak jakby skrzyżowane dwa granaty swoim wyglądem przypominające sprzęt z II wojny światowej. Coś mi świta w głowie. To chyba artyleria. Ale tu nie było już czasu na jakiekolwiek biadolenie i narzekanie. Popatrzyłem w kierunku gdzie stał Mirek. Szok, zamiast jego ujrzałem około trzydziestu jednakowych osób. Każdy jakiś przygarbiony, smutny czy zadumany, a co najgorsze podobny jeden do drugiego jak dwie krople wody. Zerknąłem w lustro wiszące na ścianie. „O rany to jestem ja, przecież wyglądam okropnie”.

Ktoś klepnął mnie w plecy. Odwróciłem głowę i zapytałem:

- Ty kolego też do Gryfina?"

- Janek. Na głowę ci upadło czy co. Nie poznajesz mnie?

Popatrzył na mnie bardzo dziwnie a ja podejrzewam, że miałem minę jak wariat.

- O ludzie Marek! To ty?

- No a kto? Nawet nie wiedziałem, że dostałeś powołanie właśnie tu. Jest jeszcze ktoś od nas?

Rozejrzałem się dookoła.

- Jest jeszcze Mirek. Razem przyjechaliśmy. Ale nie wiem gdzie go diabli ponieśli. Żebym wiedział że ty też tu jedziesz to byśmy pojechali razem. Jak to fajnie, że razem będziemy w jednym miejscu. Dawaj grabę.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Chyba zrobiliśmy to w nieodpowiednim momencie, bo zaraz po naszym serdecznym przywitaniu usłyszeliśmy:

- A co to pedzie. Na czułości będzie czas później a teraz brać swoje rzeczy i do autobusu. Nie mam zamiaru kolędować z wami dłużej zwłaszcza, że parę ładnych kilometrów trzeba jechać do waszego nowego domu – szybko powiedział kapral i nim się zorientowaliśmy już był jednym susem przed drzwiami autobusu.

- No wsiadać, drzwi zamykać i nie mruczeć mi tam pod nosami.

- Marek. Bez względu na wszystko musimy trzymać się razem. Może nie będzie tak źle jak opowiadali. W końcu wojsko to nie zesłanie na Sybir. Damy radę. Będzie ok.

Sam nie wiem skąd u mnie wzięło się tyle energii żeby wypowiedzieć te słowa.

W autobusie zajęliśmy miejsca obok siebie. Rozejrzałem się dookoła. Kierowca, oczywiście żołnierz, obok lekko przy tuszy mężczyzna w mundurze ze stopniem sierżanta. Z tyłu za nami usiadł Mirek. Przywitał się z Markiem.

- Gdzieś ty był? – zapytałem

- A zdążyłem jeszcze na jednego szługa, bo czort wie ile będziemy jechać – powiedział

- No ja nie zdążyłem, ale srał go pies. Wytrzymam.

Kierowca zapalił silnik i powoli zaczął wyjeżdżać z terenu jednostki. Sierżant, wstał z siedzenia i poprawiwszy pas na sporym brzuchu zwrócił się do nas słowami:

- Żołnierze. Jedziemy do jednostki w Gryfinie która to będzie waszym miejscem służby wojskowej. W związku z tym, że przyjedziemy w nocy jutro śpicie do godziny ósmej, za co odpowiedzialny jest kapral. Normalnie pobudka jest o szóstej, ale o wszystkim dowiecie się jutro od swoich dowódców drużyn. Zostaniecie podzieleni na dwie drużyny a żeby nie komplikować, kto, z kim i dlaczego, bo ten chrapie a tamtemu nogi czuć itd. podział na drużyny odbędzie się według alfabetu. To z mojej strony

na razie tyle. Spotkamy się ze sobą jeszcze nie raz. A teraz depnij Franuś lekko na gaz, bo chciałbym jeszcze złapać kilka godzin snu – powiedział do kierowcy z uśmiechem.

Nikt się nie odezwał. Nikt nawet nie mruknął. Po paru kilometrach zasnąłem wtulony w oparcie.

Obudziło mnie szarpnięcie za ramię.

- Janek chyba już jesteśmy na miejscu. Ale spaleś jak susel. Przejechaliśmy przez Gryfino i jesteśmy na miejscu. Myślałem, że ta jednostka będzie w mieście a my chłopie jakieś dwadzieścia kilometrów dalej pojechaliśmy. Jakaś cholerna dzicz tu jest. W dole mała wioseczka a my wjechaliśmy pod górę no i jesteśmy – szybko powiedział Marek

- Każdy bierze, co jego i idziemy na baterie – głośno zakomenderował kapral.

Po wysiadce z autobusu weszliśmy do budynku i skierowaliśmy się na pierwsze piętro. Wszędzie cisza i półmrok. Na korytarzu rzędem równiutko stały buty. Obok schodów było biurko, na którym stały dwa telefony a tuż przy nim żołnierz w mundurze wyjściowym oraz czapce, z której pasek miał pod brodą. Uśmiechnął się na nasz widok, po czym usiadł na krześle i zarzucił nogi na blat.

- Od litery A do K włącz tu a pozostali drzwi dalej – cicho szepnął Kapral – rano pobudka o ósmej i mam nadzieję, że jutro znikną wam te wąsy. Do tego prawo ma fala a wy macie tyle do wyjścia, co pewna panienska do emerytury. Wybrać sobie koja, kłaść się i nie szwendać się jak smród po kalesonach. Punkt ósma pobudka.

Rozejrzałem się po sali. Kurwa mać – Marek jest za ścianą. Wybrałem łóżko obok drzwi – pojedyncze. Obok mnie usadowił się Mirek. Zajął podwójne na górze. Co ciekawe? Żadnych rozmów a nawet szeptów. Cisza total. Po chwili dały się słyszeć tylko miarowe oddechy. Wszyscy spali.

2. CZAS UNITARKI

- Kociarstwo! Co to kurwa znaczy? Z wyra. – Ktoś krzyknął.

Poczułem kopnięcie w łóżko wojskowym butem. Otworzyłem oczy i ujrzałem nad sobą twarz. Jakże okropną. Cała w bliznach po przebytej ospie, czerwona i nabrzmiąta z wystającymi żyłami.

Zerwałem się na nogi a wraz ze mną pozostali.

- Heniek daj spokój to unitarki. Stary mówił, że maja komarzyć do ósmej – powiedział kapral poklepując go po plecach.

- No to mają szczęście, bo pomyślałem, że w główkach się popierdoliło. A mówileś im o wásach?

- Tak. Wszystko wiedzą. Daj im spokój i niech jeszcze śpią.

- Śpią. Stary jest od szóstej na nogach a sierściuchy zalegają. Mają szczęście – zamruczał wychodząc na korytarz.

Usłyszałem odgłos biegania na korytarzu, komendy, okrzyki a wręcz darcie się osób funkcyjnych i nie tylko. Chciałem zerknąć na korytarz, ale zabrakło mi odwagi. Odsunąłem się od drzwi i spojrzałem na pozostałych. Wszyscy stali jak zamurowani. Patrzyli na drzwi ze wzrokiem jakby za chwilę miał nimi wtargnąć huragan.

- No i co chłopaki robimy – spytałem

Podszedł do mnie jeden. Uśmiechnął się i powiedział

-Jestem Leszek B. Pochodzę z kaliskiego. Spoko ferajna. Do ósmej to do ósmej. Ale ja tam pieprzę, bo jestem wyspany. Myślę, że

możemy powoli się ubierać i może jakoś zaścielić łóżka, bo potem może być za mało czasu.

Zrobiliśmy jak powiedział. Część po ubraniu i zaścieleniu usiadła na łóżka i zaczęły się opowieści, kto skąd jest. Spojrzałem na zegarek. Jeszcze dziesięć minut do ósmej. Jak to będzie jak otworzą się drzwi? Jakie czeka nas powitanie? Ale z drugiej strony czy ja jestem jakiś skazaniec. Przecież każdy jakoś zaczynał.

Jeszcze pięć minut. Patrzę na drzwi mętnym wzrokiem i czekam, kiedy poruszy się klamka. Na korytarzu zrobiło się cicho. Usłyszałem po chwili narastający odgłos wydawany przez żołnierskie buty. Drzwi otworzyły się gwałtownie i do sali weszło dwóch kaprali. Ten, który wczoraj z nami jechał porozglądał się dookoła i powiedział:

- Gościowie. Tak na przyszłość. Jeżeli chodzi o łóżka to nie kładziemy się na nich ani nie siadamy. Ten przywilej dotyczy tylko starego wojska. To po pierwsze. Po drugie od jutra obowiązuje was normalna procedura, czyli: pobudka, zaprawa, toaleta, śniadanie, apel itd. Teraz do toalety, zgolić wąsy, umyć się i pójdziemy na stołówkę. Acha jeszcze jedno ja jestem dowódcą pierwszej drużyny a kolega drugiej, czyli w pokoju obok. Jak widzicie mam stopień kaprala i nazywam się Michał K. Kolega – również kapral Adam M. Wszystko jasne?

- Tak – dał się słyszeć szept.

- Odpowiada się Tak jest! I najlepiej jeszcze obywatelu kapralu.

- *Tak jest obywatelu kapralu! – Odpowiedzieliśmy tym razem głośniejszym głosem, ale niezbyt równo.*

- *Dobra. Jak na początek może być. A więc do toalety a potem na śniadanie. I ruchy na sprzęcie wojsko.*

Truchcikiem do umywalni. W ruch poszły pędzle i maszynki do golenia. Słysząc było tylko parskanie i nieprzyjemny odgłos żyletek walczących z zarostem. Woda nie była zbyt ciepła, ale dało się wytrzymać. Ochlapałem się wodą i czekałem na pozostałych. Dla wszystkich nie starczyło miejsca przy umywalkach. Po powrocie do sali ubraliśmy się w kompletne umundurowanie i kapral wyprowadził nas na zewnątrz budynku ustawiając nas w dwuszeręg. Dopiero teraz miałem okazję żeby rozejrzeć się po okolicy. Z lewej strony stał sztabowiec, na wprost mieliśmy stołówkę a z prawej kotłownię i coś tam jeszcze. Kątem oka zauważyłem, że po mojej lewej stronie widniał znak czerwonego krzyża a więc tu była izba chorych. Na środku placu stała fontanna z wodą, do której spadło kilka pożółkłych liści z okolicznych drzew. Uderzyła mnie ta cisza. Jakby okolica była wymarła. Do drzwi stołówki było około 20 metrów. Weszliśmy do wewnątrz. Duże pomieszczenie. Stoły. Przy każdym z nich cztery krzesła. Z prawej strony ściany stały metalowe tace w kształcie trójkąta. Wzięliśmy tace i powolnym krokiem po kolei zbliżaliśmy się do okienka, w którym widać było kucharzy. Postawiłem tacę przed okienkiem. Po chwili znalazł się na niej talerz z zupą mleczną oraz drugi z chlebem i serkiem topionym.

Do tego kubek z herbatą. Usiedliśmy przy stołach i zaczęliśmy jeść. Zupa taka sobie. Herbata gorzka. Jednak wszyscy byli głodni, bo jedzenie zniknęło momentalnie bez niepotrzebnych dyskusji.

- Wojsko zjadło – odezwał się kapral Michał – jak tak to wychodzimy przed budynek stołówki.

I znów ustawianie w dwuszeręg i znana nam już droga na pierwsze piętro koszarowa. Czekał tam na nas już chorąży G. Popatrzył na nas i rzekł:

- Za chwilę będziecie pojedynczo podchodzić do szatni gdzie pobierzecie mundury polowe. Przebierzecie się w nie i następnie oddacie mundury wyjściowe. Oczywiście czyste, ładnie powieszzone na wieszaki. Jeżeli na kogoś coś nie będzie pasowało to pozamieniać się ewentualnie zgłosić to mojemu pomocnikowi, którym jest bombardier Andrzej N. Zrozumiano!

- Tak jest – tym razem zabrzmiało lepiej niż poprzednio.

- No to dobrze. Za wyposażenie odpowiadacie osobiście. Nie toleruję złodziejstwa. W razie problemów zgłaszamy to dowódcy drużyny.

Podszedłem pod drzwi szatni. Dostałem złożony w kostkę mundur polowy i czapkę. Nie sprawdzając nawet wróciłem do sali, bo już dał się słyszeć głos:

- Następny!

Przebrałem się w moro i co ciekawe wszystko pasowało. Do tego czapka i pas parciany.

Mundur wyjściowy zawiesiłem na wieszaku i oddałem do szatni wcześniej pisząc z tyłu kołnierza swój numer, który został mi przydzielony – B6.

Pozostali zamieniali się czapkami i bluzami, ale trwało to naprawdę szybko, bo już kapral rozdawał kartki, na których to mieliśmy napisać swoje dane, zainteresowania, umiejętności, stan rodziny.

Kapral pozbierał od nas kartki i powiedział:

- Idę do waszego dowódcy plutonu kierowców porucznika Krzysztofa B. Jak wrócę mam nadzieję zastać izbę w idealnym porządku. Żadnego kładzenia się na łóżka. Siadamy tylko na taboretach. Potem będę was pojedynczo prowadził na rozmowę do porucznika B. Pozostali w tym czasie będą się uczyć stopni i nazwisk naszych przełożonych żeby ktoś nie dał dupy. No i zostawiam wam regulaminy. Macie go znać perfekt. To wszystko. Pierwszy Leszek B. Idziemy.

Wyszli z izby. Spojrzałem na kartkę, na której naniesione były stopnie i nazwiska. O rany jest tego trochę: kapral Michał K, kapral Adam M, porucznik Krzysztof B., pułkownik Zygmunt G., major Aleksander B. i tak dalej. O dziwo po paru przeczytaniach zapamiętałem już większą część. Teraz by tylko pozostało poznać wizualnie właścicieli tych stopni i nazwisk.

Otworzyły się drzwi i stanął w nich Leszek.

- No i po bólu – powiedział drapiąc się po krótko ostrzyżonej czuprynie. Janek dawaj, kapral czeka na korytarzu.

Wyszedłem. Po raz pierwszy sam. Kapral prowadził mnie do sztabowca. Weszliśmy do budynku gdzie skierowaliśmy się w lewą stronę korytarza. Na końcu kapral zapukał w przedostatnie drzwi i słysząc ciche „wejść” otworzył drzwi.

Ujrzałem siedzącego mężczyznę z dwoma gwiazdkami na pagonach. A więc podporucznik. Kapral wyszedł na zewnątrz. Porucznik kazał mi usiąść.

- Momencik – szepnął – uzupełnię tylko wpis i zaraz porozmawiamy.

Rozejrzałem się po pomieszczeniu. Trzy biurka, tyle samo szaf i kas pancernych. Godło na ścianie, jakieś plany i rysunki. Na parapecie trzy doniczki z kwiatami, które dodawały temu pokojowi ciepły nastrój.

Zerknąłem na porucznika. Średniej budowy, sumiasty wąs, na oko koło trzydziestki. Przewrócił parę kartek w notatniku, coś tam dopisał, po czym odwrócił się w moją stronę i zakładając nogę na nogę z uśmiechem zaczął rozmowę.

- Tak – powiedział przeciągle – nazwisko i imię oraz wszystkie dane, które potrzebuje ładnie mi tu napisałeś. Zawsze piszesz drukowanymi literami?

- No nie zawsze, ale w większości razy tak – odpowiedziałem.

- Dobrze. A więc nazywam się porucznik Krzysztof B. i jestem dowódcą waszego plutonu. Na co dzień pełnię funkcję szefa służby samochodowo-czołgowej w tej jednostce. Wasz pluton to pluton

kierowców. Będziecie się tu szkolić nie tylko pod względem musztry, regulaminów, strzelania itp., ale również będziecie mieli naukę jazdy. Z początku na Żilach i Starach a potem trochę większym kalibrem, czyli Krazami. Oczywiście nie wszyscy po szkoleniu zostanieie w tej jednostce. Część was rozjedzie się trochę po wybrzeżu. U nas pozostanie was pięciu może sześciu – uśmiechnął się serdecznie i dodał – już na samym początku gościu widzę, że ty zostaniesz na pewno. Masz ładny charakter pisma a ja potrzebuję kogoś takiego. W tej chwili pisarzem jest Julek P., ale za niecały rok wychodzi a kogoś do tego czasu przeszkolić musi. Widzę, że nie ma protestów a więc na baterię i powodzenia.

Wstałem z krzesła i stanąłem nie wiedząc, co mam robić. Jakiś meldunek czy co?

Nie wiem.

- Dobra, dobra nie znasz jeszcze żołnierskiego zachowania. Idź i niech kapral przyprowadzi następnego.

Wyszedłem. Michał czekał na mnie pod drzwiami. Nawet nie ukrywał, że słyszał przez zamknięte drzwi naszą rozmowę.

- No, ale podłapałeś fuchę. Tylko pozazdrościć. Ale żeby nie było do końca tak fajnie to od jutra będziesz pisał za mnie konspekty – rzekł wkładając ręce do kieszeni spodni.

- Rozkaz obywatelu kapralu – odpowiedziałem.

- O super. Widzę, że powoli nasiąkacie tym wszystkim. Tak trzymać.

Wróciliśmy do izby, z której to wyszedł następny kolega wraz z kapralem.

- No i jak tam? – zapytał Mirek

Opowiedziałem wszystko ze szczegółami. Słuchali wszyscy.

- No ty to potrafisz się ustawić. Już w pierwszy dzień ciagniesz się jak guma z gaci.

- E. Nie przesadzasz trochę. Przecież ja nie prosiłem się o tą funkcję. Czy to moja wina, że tak piszę? W wojsku nie ma słowa nie. Odpowiada się rozkaz i koniec.

- Gadanie – zaripostował Mirek – na pewno coś tam powiedziałeś więcej.

- Wiesz, co? Pierdolisz jak potłuczony. Zresztą zaraz pójdziesz tam sam a wtedy zmienisz trochę swoją gadkę.

- No dobra. Nie denerwuj się – odrzekł – tak tylko chciałem cię podjudzić.

- Nie ma sprawy.

Usiadłem na taborecie i zacząłem wertować regulamin. Kurcze to chyba niemożliwe żebym to wszystko wkuć na pamięć. Przecież tego jest od groma. Zachowanie takie a takie, to wolno tamtego nie wolno. To powinno wyglądać tak a tamto inaczej. Naprawdę dużo tego.

Tak zleciał nam czas do obiadu. Posilek złożony był z kapuśniaku oraz ziemniaków z kawałkiem śledzia. Jak ugryzłem rybę to aż mnie zatkało. Jedna sól. Ale nie mam wyboru. Jeść trzeba.

Po obiedzie następna część chodziła na rozmowę natomiast pozostali czytali regulaminy i uczyli się stopni oraz nazwisk. W międzyczasie kapral uczył nas składania ubrań na noc w kostkę na taborecie oraz ścielenia łóżek. Generalnie nie miałem z tym problemów. Dwie, trzy próby i w miarę to wyglądało. Kapral, co chwilę oglądał nasze dzieła i albo chwalił albo zrzucał ubrania, ewentualnie podrywał pościel i kazał robić to jeszcze raz. Mi łóżko wyszło idealnie. Ubrania tylko raz miałem zrzucone na podłogę. Tak się kończył nasz drugi dzień pobytu w nowym miejscu. Miejscu, które miało być dla paru z nas domem na dwa lata.

- Pobudka, pobudka wstać – usłyszałem przez sen.

Zerwaliśmy się z łóżek. Drzwi otworzyły się i stanął w nich kapral. Ubrany był w dresy.

- Przygotowanie pierwszej drużyny do wyjścia na poranną zaprawę fizyczną. Strój – dresy, trampki. Czas dziesięć sekund.

Jak to dziesięć sekund? Przecież nie zdążymy nawet przebrać się w dresy. Jasna cholera. Jak na złość nogawka podwinęła się a bluza nie chce przejść przez głowę. A jeszcze trampki. Koszmar.

- Pierwsza drużyna plutonu kierowców na korytarzu biegiem zbiórka! – dolatuje do nas komenda wydana przez kaprała.

Wybiegamy w nieładzie wciągając na siebie części dresu.

- Baczość! W celu nabrania szybkości wyjścia do sal biegiem rozejść się!

Wracamy biegiem, a każdy wciąga na siebie w tym akcie paniki dresy i wiąże sznurowadła.

- Pierwsza drużyna, na korytarzu biegiem zbiórka! – wydał ponownie komendę kaprał.

Tym razem wszyscy stoją równo i nikt się nie poprawia. Kaprał ocenił nas wzrokiem i wyprowadził na zewnątrz budynku. Od samych drzwi zaczynamy biec. Prosto, asfaltową drogą obok trybuny a potem w prawo na około placu chyba z garażami, bo drzwi są duże i metalowe. Biegniemy. Z początku wolno, ale tempo jest coraz szybsze. Brak kondycji z cywila daje się we znaki. Po trzecim okrążeniu placu zaczynać brakować tchu. Mam wrażenie jakby za chwilę płuca miały mi wyskoczyć a w gardle czuję suchość. Nogi też odmawiają posłuszeństwa. Rozglądam się dookoła i widzę, że większość z nas ma już dość. Między drzewami i za krzakami zauważam innych, którzy kryjąc się palą papierosy rozglądając się na lewo i prawo.

„A. To tak chyba wygląda zaprawa starszych żołnierzy” – przemknęło mi przez myśl.

- Co jest kurwa! Pocieniało wam. Ruchy – krzyczy kaprał.

Ruszamy znów. O dziwo jest jakby lepiej, ale to tylko złudzenie. Jedno okrążenie i zwalniamy. Na szczęście kończy się bieg i zaczynamy ćwiczenia. Podskoki, przysiady, żabie skoki. Popatrzyłem na zegarek. Dopiero dziesięć minut za nami.

Przerywamy ćwiczenia i wracamy do budynku. Biegiem.

- Na dzisiaj koniec, bo to wasz pierwszy raz, ale od jutra taryfy ulgowej nie będzie – słyszymy to od kaprała – a teraz przygotowanie do toalety porannej. Czas dwadzieścia sekund.

No dwadzieścia sekund to już więcej. Wpadamy jeden na drugiego. Mydło wpadło mi pod łóżko. Gdy „zanurkowałem”, aby je wyciągnąć słyszymy komendę:

- Na korytarzu biegiem zbiórka!

Stajemy na korytarzu w nieładzie. Każdy z nas ściska w dłoniach ręcznik i przybory toaletowe.

- Wszyscy wszystko mają!

- Tak jest! – odkrzykujemy.

- No to wszyscy podnoszą do góry szczoteczki do rąk.

Jasna cholera nie wziąłem. Zresztą większość nie wzięła, bo i po co. Kaprał przechadza się wzdłuż szeregu.

- Celem uzupełnienia przyborów toaletowych do sal rozejść się!

Wracamy. Znów oczywiście biegiem. Tym razem zabieram z szuflady szafki wszystko. Nawet zapasową żyłkę.

- Na korytarzu biegiem zbiórka – słyszymy.

Wybiegamy. Ciekawe, co teraz będzie brakowało.

- Wszyscy wszystko mają!

- Tak jest! – odkrzykujemy po raz drugi.

- No dobra. Do umywalni biegiem marsz.

Biegniemy gęsiego w kierunku umywalni. Siłą rzeczy wszyscy i tak się nie pomieścimy. Jedna umywalka trzy, cztery osoby. Obijamy się łokciami i depczemy sobie po nogach. Namydlałam twarz. Biorę w rękę maszynkę do golenia i słyszę.

- Kończą mycie! Czas dwadzieścia sekund!

„No ja pierdolę. Jak mam się ogolić w tak krótkim czasie”

Ręce mi się trzęsą. Macham maszynką w lewo i na prawo. Pozostali to samo. Nikt nawet nie zamoczył nóg, bo i kiedy. Nogi dadzą radę, bo są w butach – schowane – natomiast zarost jest widoczny. Spojrzałem w lustro. Masakra. Cała twarz czerwona jakbym wyszedł od rzeźnika. Obok mnie kolega Jurek K. z Legnicy próbuje swoich sił w goleniu, jednak jego zarost jest twardy i diabelnie czarny.

- Koniec mycia! Na korytarzu biegiem zbiórka!

Wszystko biegiem.

Stajemy na korytarzu gdzie kapral ogląda nas pobieżnie.

Podchodzi do Jurka. Nie zdążył się ogolić i na połowie twarzy widnieje piana.

- No widzę, że zabrakło czasu – mówi kapral stojąc w lekkim rozkroku – a więc celem ogolenia kolegi do umywalni, biegiem!

No tak. Tego można było się spodziewać. Tym razem Jurek dokończył golenie i wycierając pozostałości piany z twarzy ręcznikiem podniósł kciuk do góry na znak, że jest ok.

Wracamy do izby. Zaczyna się ścielenie łóżek. Jest ciasno, więc ci, co nie mają miejsca w tym czasie ubierają się. Potem zamiana. Jednym idzie to szybko innym wolniej. Uporałem się w miarę szybko, ale ja miałem komfort. Spałem na pojedynczym łóżku. Miałem luz. Pomagam Mirkowi zaścielić. Koledze trzeba pomóc. W końcu jesteśmy kolegami od lat z jednego miasta i jednego podwórka. Zastanawiam się jak sytuacja wygląda u Marka, który jest obok za ścianą. Ale to tylko chwila zastanowienia, ponieważ otworzyły się drzwi, w których stanął kapral. Porozglądał się dookoła i powolnym krokiem rozpoczął przegląd łóżek. Moje stało przy drzwiach, więc poszło na pierwszy ogień.

- Tu jest dobrze – odpowiedział kapral i zabrał się za inspekcję pozostałych – tu też może być, i tu też. A tu, co za kaszana? Kto jest jego właścicielem?

- Ja – dał się słyszeć głos jednego z kolegi.

- Jaki ja? – zapytał kapral – ja to w wojsku dupa. Odpowiadamy stopniem i nazwiskiem. Kanonier Kowalski, Nowak czy jak ci tam.

- Kanonier G.

- No i tak ma być. Poprawić – zakomenderował rozrzucając pościel. I tak jeszcze parę razy. Koledzy uwijali się. Stał obok i patrzył. Gdyby nie jego obecność na pewno jeden drugiemu by pomógł.

- W wojsku nie ma mamusi. Tu wszystko robicie sami. Ja wiem, że początki są bardzo trudne, ale trzeba przywyknąć. Tu nikt za was tego nie robi. Jak przyjdzie szef baterii i zobaczy taki burdel to robi wam pilota, że i przez tydzień nie znajdziecie swoich szpargałów. No jak tam – zakończone? – spytał.

- Tak jest.

- No trochę lepiej, ale według mnie nadal brak do ideału. Zarządzam w wolnych chwilach naukę ścielenia łóżek oraz układania ubrań. Oczywiście ci, co robią to dobrze mają więcej luzu. A teraz rzucają się na miotłę i skutecznie porządkują. I otworzyć okna. Wali tu jak w murzyńskiej chacie. Za pięć minut idziemy na śniadanie. Wracamy, poprawiamy wszystko i na apel. Potem na zajęcia – dokończył wychodząc.

Ta sama procedura, co wczoraj. Zbiórka, tace, zupa mleczna tylko, że tym razem chleb, masło i dwa plasterki sera żółtego. Smakowało niesamowicie jednak cały czas mam uczucie, że to za mało.

Po śniadaniu wracamy do izby. Poprawiamy porządki i ubieramy panterki. Jest jesień. Wybiegamy przed budynek gdzie ustawiamy się w dwuszeręg, po czym ruszamy na plac apelowy. Jakieś 100 metrów. Rozglądamy się z ciekawością dookoła. Wszędzie idealne porządki. Żadnych niedopałków czy papierków. Na placu stoją już w równych szeregach inne pododdziały. W momencie wejścia na plac zauważam jak przez bramę przetacza się autobus, którym nas tu przywieziono z Gryfic.

Stajemy w prawym rogu gdzie kaprale ustawiają nas w miarę równo i według wzrostu. Tułów wyprostowany, głowa lekko podniesiona do góry, ręce wzdłuż ciała a stopy lekko rozchylone. Z ciekawością patrzymy jak z autobusu wychodzi kadra w znanym nam już kolorze mundurów. O. Jest i nasz porucznik. Jest również i dowódca jednostki w stopniu pułkownika. Kadra szybko ustawia się na placu natomiast dowódca powolnym krokiem w towarzystwie trzech oficerów zbliża się na środek placu. Z zaciekawieniem patrzymy na tę czwórkę. Dowódca jest już osobą starszą, niskiego wzrostu. Ręce trzyma schowane za sobą. Z daleka świecą mu dystynkcje na pagonach płaszcza. Obok dwóch majorów. Jeden z nich też starszy i widać nawet, że spod czapki wystają mu siwiejące włosy. Martwa twarz, na której nie dostrzegamy, chociaż namiastki uśmiechu. Trzeci oficer w stopniu majora idzie z gracją jak kroczący paw. Wysoki, uśmiechnięty z zawadiacko zadartą czapką do góry. I ostatni w stopniu porucznika. Szczupły, wysoki, elegancki i poważny.

Kapral lekko odchylił głowę i szepnął:

- Ten w środku to dowódca jednostki pułkownik G., ten z lewej to szef sztabu major K., Z prawej macie zastępcę dowódcy do spraw technicznych majora B., a obok politruk, czyli zastępcę dowódcy do spraw politycznych porucznik M. Teraz cicho, bo na pewno będzie o was gadka. Jak dowódca powie „czołem żołnierze” to nie odzywać

się kurwa, bo zabrzmiałoby to jak stado baranów. Jeszcze się tego nauczycie. Cisza teraz.

- Dywizjon baczność!

- Czołem żołnierze!

- Czołem telu wniku – odpowiedzieli gromkim okrzykiem pozostali.

- Dywizjon spocznij!

Szef sztabu porozmawiał chwilę z dowódcą, po czym wysunął się lekko do przodu i odezwał się tymi słowami:

- Żołnierze. Pragnę powitać w imieniu całego dowództwa 39 dywizjonu rakietowego wojsk obrony powietrznej kraju Gryfino, żołnierzy nowo przybyłych. Mam nadzieję, że dowódcy poszczególnych drużyn zapoznali ich, co nieco z żołnierskim życiem. Przed wami tok szkolenia unitaryjnego, po czym część rozjedzie się do innych jednostek a część pozostanie tutaj.

„Żeby tylko Marek i Mirek zostali tutaj” – pomyślałem.

- Jako dywizjon rakietowy, jesteśmy przeznaczeni do obrony północno-zachodnich rubieży kraju przed ewentualnym atakiem nieprzyjaciela z powietrza. Naszym uzbrojeniem są zestawy rakietowe S-75M Wołchow. Mam nadzieję, że dowódcy solidnie zapoznają nowo wcielonych żołnierzy z regulaminami oraz obowiązkami i życiem codziennym – ciągnął dalej szef sztabu – jednocześnie zwracam się tu do żołnierzy starszego rocznika, że mają im pomagać, aby ich przystosowanie do życia w jednostce przebiegało szybko i w normalnej atmosferze. Ostrzegam, że nie

będziemy tolerować przemocy czy też naruszania stosunków międzyludzkich. Winni tych naruszeń zostaną surowo ukarani. Wam nowo wcieleni żołnierze w imieniu dowództwa dywizjonu życzę milej, spokojnej i pokojowej służby strzegąc granic państwa Polskiego.

Oddał honory i cofnął się o krok do tyłu zrównując się z dowódcą jednostki.

- Dywizjon baczność! Dywizjon spocznij!

Dowództwo jednostki oddaliło się do budynku sztabowca wraz z pozostałymi oficerami. Po chwili plac apelowy opuściły pozostałe baterie. Pozostaliśmy tylko my.

Podszedł do nas nasz dowódca porucznik B. Z uśmiechem na twarzy przywitał się z kaprałami, po czym powiedział:

- Od dnia dzisiejszego wasi dowódcy drużyn będą prowadzić z wami zajęcia z musztry. Jak widzicie jest to podstawa i myślę, że w miarę szybko się tego nauczycie zwłaszcza, że czeka was jeszcze bardzo wiele nauki z innych dziedzin. No i nauka jazdy. Jeżeli chodzi o jazdę to prowadził ją będzie sierżant S. Zresztą większość zajęć on będzie prowadził, jako że ja mam dużo swoich spraw służbowych. Jutro będziecie mieli spotkanie z porucznikiem M., który jak chyba wasi dowódcy drużyn powiedzieli, jest zastępcą dowódcy do spraw politycznych. Rozumiem, że w miarę szybko nauczycie się, kto jest, kto. Rozmowa będzie indywidualna z każdym z was. No to by było

*chyba na tyle. Acha. Kapral K. po zajęciach przyprowadzi do mnie
mojego przyszłego pisarza – dodał z uśmiechem.*

- Rozkaz obywatelu poruczniku!

*Zauważyłem, że właściwie przez cały czas uśmiech nie schodził mu
z twarzy.*

*Poprawił czapkę i szybkim krokiem poszedł w kierunku sztabowca.
Kapral stanął przed nami w oddaleniu jakiś trzech kroków i
powiedział:*

*- Słyszeli wszystko? Niech nikomu nie przyjdzie nawet na myśl żeby
jutro narzekać podczas rozmowy. Wszystko jest ok. i już.
Zrozumiano!*

- Tak

- Nie słyszałem. Zrozumiano!

- Tak jest!

*- No. A teraz pochodzimy sobie trochę, po oddajemy honory,
nauczymy się składać meldunki. Macie chodzić jak wojsko a nie jak
kasztanka marszałka Piłsudskiego – rzekł szeroko się uśmiechając.
Odwzajemniliśmy uśmiech. Powoli, ale to bardzo powoli
dochodziliśmy do wniosku, że chyba nie będzie tak źle.*

*Ustawił nas gęsiego, pokazał krok defiladowy, oddawanie honorów
i stanąwszy z boku pojedynczo kazał nam powtarzać to wszystko. Z
początku wychodziło to bardzo opornie. W trakcie marszu
znienacka pytał o stopnie i nazwiska. Wychodziły przysłowiowe jaja.
Skupieni byliśmy na marszu a tu raptem pada pytanie:*

- Dowódca pierwszej drużyny plutonu kierowców?

- Eee, porucznik B.

- Co takiego? Tak nisko go zdegradowałeś.

- No tak. Kapral K.

- I tak macie to wszystko znać. W nocy obudzę a wy macie mi śpiewająco odpowiadać. Ja pierdolę mnie zrobił porucznikiem a dowódcę zdegradował.

I tak w kółko. Przez godzinę non stop marsz, honory, meldunki i pytania.

Po około godzinie kaprale zrobili nam przerwę jak to sami określili na szluga. Oczywiście śmiali się bez przerwy, bo powtarzali cały czas:

- Tempo raz ciągniecie, tempo dwa wydychacie.

Przez te dwa dni tyle się tego nasłuchałem, że bezwiednie z początku paliłem na tempo.

Przerwa trwała dziesięć minut. Oczywiście padały również różne pytania, wokół których było, co niemiara śmiechu.

- Kanonier G. powie nam jak się zamelduje, np. kapitanowi, że chce iść to kibla.

G. podrapał się po głowie i odpowiedział:

- Obywatelu kapitanie kanonier G. chce siku.

- Ty chyba jesteś powalony – rzekł ze śmiechem kapral – a może jeszcze powiesz, że musisz się wysrać. O ludzie, normalnie mnie

rozpierdalacie. - mówi się: obywatelu kapitanie proszę o pozwolenie udania się do toalety”. I koniec. A nie, że siku, kupa czy sraczka.

I tak w kółko. Marsz i meldunek. Meldunek i honory. Honory i stopnie. Non stop.

Podziwiałem kaprali za ich wytrzymałość nerwową. Chociaż od czasu do czasu słychać było komendę „na wprost biegiem, w tył na lewo”. „To ma być bieg? To świński galop. Ruchy kurwa”.

Po dwóch godzinach zmęczeniu, niektórzy z początkiem obdartych pięt udaliśmy się na drugie śniadanie. Nawet nie wiedzieliśmy, że takowe istnieje. Bulka, jajko gotowane i kubek kawy. Niesłodzonej.

Po śniadaniu od nowa musztra itd.

Okolo godziny trzynastej kapral zawołał mnie do siebie. Podbiegłem. Z początku miałem nic się nie odzywać, ale postanowiłem spróbować. Najwyżej opierdzieli mnie i już. Stanąłem przed kapralem w pewnym oddaleniu i głośno powiedziałem:

- Obywatelu kapralu. Kanonier Chojnowski melduje się na rozkaz.

- No dobrze, tylko stoisz jeszcze jak połamany. Masz być wyprostowany jak struna, klata do przodu i wciągnięty brzuch – tu dał mi lekkiego kuksańca w okolice żołądka – pójdiesz sam czy mam cię zaprowadzić.

- Sam chyba nie – odpowiedziałem niepewnie.

- No jasne. Szedłby pułkownik G. to byś się osrał po same uszy. No dobra idziemy – i zwrócił się do kaprala Adama- ja idę do B. a ty przypilnuj moich. Zaraz wracam.

Weszliśmy do sztabowca gdzie kapral zapukał w znane mi już drzwi i po gromkim „wejść” nacisnął na klamkę.

W pokoju oprócz porucznika siedział przy biurku chorąży. Pierwszy raz go widziałem. Nie zwracał uwagi na nas.

Pochłonięty był wertowaniem jakichś map. W ogóle na jego biurku zaważyłem stosy dokumentów, zeszytów, notatników i map. Co chwilę przerzucał je z jednej strony na drugą. Co innego na biurku porucznika. Idealny porządek. Nawet pióro i długopis ustawione były równo jak autobusy w zajezdni. Kapral zameldował nasze przybycie, po czym lekko strzelając obcasami butów wyszedł. Porucznik uśmiechnął się, odsunął krzesło i gestem reki pokazał, że mam na nim usiąść. Nic się nie odzywał do mnie. Wziął do ręki słuchawkę telefonu i wykręciwszy dwucyfrowy numer powiedział:

- Porucznik B. Przyślijcie do mnie Julka P.

Odstawił słuchawkę, jak zwykle uśmiechnął się i rzekł krótko – chwila.

Po paru minutach otworzyły się drzwi i w kancelarii stanął Julek. Przyjrzałem się jemu szybko. Od razu widać było, że stary żołnierz. Opinacze zapięte na ostatnia dziurkę, pas nisko i luźno, kieszenie w bluzie nie zapięte. Stanął, popatrzył szybko na mnie, po czym zameldował się regulaminowo.

- Słuchaj Julek – zwrócił się do niego porucznik – to jest twój następca. Ładnie pisze, więc postanowiłem, że przyuczysz go, co, jak i z czym się je. Naucz go jak się rozlicza paliwo, wypisuje rozkazy

wyjazdów, wpisy w ewidencji całego parku samochodowego a zresztą, co ci będę mówił, to wszystko, co ty robisz. Oczywiście nie teraz, bo on ma zajęcia. Acha dla twojej wiadomości to on jest na unitarce. Tak, więc powoli i bez nerwów. Na razie mało go będziesz widział, ale po południu możecie poćwiczyć – tu ściszył bardzo głos – klucz od kancelarii masz.

- Zrobi się poruczniku. Ja na razie mam zajęcia taktyczne, ale po południu spróbujemy - odpowiedział Julek, po czym odmeldowując się wyszedł patrząc w moja stronę.

- No to facet już Julka poznałeś. To moja prawa ręka. Wprowadzony jest we wszystkie sprawy dotyczące samochodówki. W wolnych chwilach przyuczy cię do tego wszystkiego. Dobra, ja w tej chwili wychodzę, więc odprowadzę cię na plac.

Wyszliśmy ze sztabowca. Ja prościutko na plac, porucznik w prawo. Obrął kierunek ku garażom. I znów przez godzinę musztra, meldunki, honory i bieg za każdym potknięciem.

Wreszcie koniec. W izbie zaczęło się opatrywanie nóg. Ucierpieli wszyscy ci, co źle założyli onuce. Dziwiliśmy się, dlaczego musimy chodzić w onucach. Czy nie lepsze byłyby skarpety? Kaprała nie było, więc zaczynamy dyskusję o dniu dzisiejszym. Jedni narzekają inni się śmieją. Podszedł do mnie Mirek.

- I jak tam w kancelarii?

- Powiem ci, że nie wiem jak ja to wszystko zatrybię – odpowiedziałem na wpół uśmiechem – tego jest od groma. Ja nawet

nie wiem ile tu jest aut. Jakieś rozkazy wyjazdów, rozliczanie paliwa i inne duperele. A jeszcze mam pisać jakieś konspekty.

- Dasz radę. Ale za to masz pewne, że tu zostajesz. Zawsze to lepiej na starych śmieciach niż poznawać nowy teren.

- Zobaczymy. Czas pokaże.

Zbiórka.

Wyjście na obiad. No dziś krupnik i ziemniaki z pieczenią. Nawet dobre. Szybko jemy, bo na obiad już szykują się żołnierze z innych baterii. Wracamy na pododdział. Zamieniam kilka słów z Markiem. Ten przyjmuje wszystko na wesoło.

Z okien palarni widzimy jak odjeżdża autobus. W jednostce pozostał oficer dyżurny i jego zastępca. Ile bym dał żeby też mógł wsiąść do autobusu i wrócić do domu. Rzeczywistość jest jednak inna.

- Skończyli palenie? – Odwracam się. To pytanie zostało zadane przez naszego kaprala – jak tak to wracać do siebie, a ty idziesz ze mną – dodał wskazując na mnie ręką.

Schodzimy na parter i wchodzimy do sali identycznej jak nasza, ale tylko z ośmioma łózkami. Dwóch żołnierzy w stopniach kaprali siedzą przy stoliku i grają w karty. Pozostałych nie ma.

- Kurwa Michał, ale żeś nas wystraszył. Jakby nas nakryli z kartami to było by pozamiatane.

- Spoko. Nikogo nie ma. Siadaj tu i pisz w zeszycie wszystko to, co jest na tych kartkach – powiedział zwracając się do mnie – to są konspekty na jutro. Tylko ładnie i czytelnie.

- A co to masz pisarza? – zapytał jeden z kaprali.

- Tak mi się fukło. Wyobraźcie sobie, że nawet B. wziął go na pisarza razem z Julkiem. Posadę ma już pewną a i będzie mógł trochę poprzeginać. Kurwa mać, dwa dni w wojsku i taka fucha. Tylko pozazdrościć. No dobra pisz. Za godzinę przyjdę.

Wyszedł na korytarz. Po chwili wyszli pozostali dwaj. Zostałem sam. Zabrałem się za przepisywanie. Byłem pochłonięty tą robotą do tego stopnia, że nawet nie słyszałem otwieranych drzwi. Dopiero donośny głos nad głową przerwał moje skupienie.

- Co ty tu młody robisz?

Spojrzałem na właściciela tego głosu. Właściwie to było ich trzech. Żadnej niepewności nie miałem. Opuszczone pasy i szelki wystające spod rozpiętych bluz, dzwoniące opinacze, wąsy i papierosy w ustach, na sali gdzie palenie było zabronione utwierdziły mnie, że mam przed sobą stare wojsko.

- Ja piszę konspekty. Kapral Michał mi kazał – powiedziałem cicho.

- A konspekty. Pokaż no to – odebrał zeszyt spojrzał na wynik mojej pracy i powiedział – Stachu widziałeś jego pismo. Ma ładny charakter. Chłopie kurwa mać zaraz mi tu będziesz robił falę albo i chustę. Zostaw te bazgroły.

- Ale ja muszę skończyć.

- Ty młody. Co to? Staremu nie zrobisz fali. Jak powiedziałem tak będzie. Dobra skończ te zasrane konspekty a ja idę po sprzęt. Z której jesteś baterii?

- Ja jestem z unitarki.

- O w mordę. Dobra. Jak skończysz to stary znajdzie cię na górze. Kurwa mać. Konspekty pisze zamiast napierdalać chusty i fale. Robiłeś kiedyś chusty?

- Nigdy.

- Ale pierdolnąłem teraz. Przecież dopiero przyszedłeś do armii. Dobra. Jak ładnie piszesz to i z chustą dasz sobie radę. Stary ci później pokaże. Rysunekzki, herby, literki i na to wszystko kolorki. Zrozumiano?

- Tak jest! – odpowiedziałem.

- E ty. Przestań do mnie pierdolić jak do trepów. Jak dla ciebie to jesteśmy rezerwistami. A wy, co. Też dacie mu chusty do roboty?

- Zobaczymy jak zrobi twoją – odpowiedział jeden z nich – będzie git, będzie robił.

- Zrobi, zrobi – wyciągnął zmiętą paczkę papierosów – zapalisz?

- Może później na palarni. Tu nie wolno palić.

- Pal kurwa jak stary częstuje. Kto nam tu podskoczy? Jaraj i chuj. Zapaliłem aczkolwiek z wielkim strachem. A co będzie jak wejdzie teraz kapral. Będę miał przesrane.

Na szczęście tak się nie stało. Wyszli na korytarz a ja wyrzuciłem szybko papierosa przez otwarte okno. Chyba w dobrym czasie, bo otworzyły się drzwi i wszedł kapral.

- I jak tam? Skończone? – zapytał.

- Tak – odpowiedziałem i jednocześnie zastanawiałem się czy powiedzieć mu o wizycie, jaką tu miałem?

Zdecydowałem się powiedzieć, bo przecież i tak przyjdą do mnie i tak. Ukrywanie się nie miało celu. Powiedziałem.

Wysłuchał mnie spokojnie i nie jak kapral, ale jak serdeczny kolega odpowiedział:

- Jak dobrze się spiszesz to będziesz miał luzik. Chłopie zero porządków i innych atrakcji. Taki, który potrafi robić takie rzeczy ma naprawdę dobrze. Siedzi w ciepłym i gryzmoli. A na to akordu nie ma. Dłużej robisz, dłużej omija cię ten cały syf. Ja na twoim miejscu trzymałbym się tego. Zresztą, co ja gadam. I tak będziesz robił i tak, czy tego chcesz czy nie. Idziemy.

Rano zajęcia, potem konspekty i samochodówka. A chusty i fale, kiedy? W nocy. Oj coś mi się zdaje, że się wkopałem. Ale trudno. Może to tylko jednorazowa produkcja. Z drugiej strony, co będzie jak nie sprostam ich oczekiwaniom.

Dzień mijał za dniem. Te same zajęcia, posilki, zaprawy.

Julek kilkakrotnie brał mnie ze sobą do kancelarii. Powoli wchłaniałem wiedzę na temat samochodówki. Większość i tak robił sam, bo popołudniami robiłem chusty. Żeby to jedną. Po pierwszym dniu tamci dwaj też przynieśli swoje. Siedziałem w szatni mając pod ręką szablony, kredki i flamastry. Pracą byłem tak pochłonięty, że nawet nie pozwolili mi chodzić na kolację. Co ciekawe nie siedziałem na głodnego, bo jedzenie przynosili mi a co w tym wszystkim ciekawe częstowali mnie papierosami, które mogłem palić w szatni. Co rusz zaglądali mi przez ramię patrząc czy wszystko jest po ich myślach. Praca posuwała się do przodu a zadowolenie z ich strony rosło.

Małymi krokami zbliżała się do nas przysięga. Ćwiczyliśmy naprawdę ostro. W międzyczasie odbywaliśmy też naukę jazdy. Najczęściej Starem 29. Fajnie było, bo siedzieliśmy na pace no i wyjazd był poza teren jednostki. Jeździliśmy, do Gryfina, Szczecina, Chojny. Byliśmy raz nawet na przejściu granicznym z NRD w Krajniku. Sierżant, z którym jeździliśmy był naprawdę super. Zezwalał nam na zakupy i małe spacer. Jednym słowem było super. Bardzo żyliśmy się przez ten okres z sierżantem. Dodatkowo bardzo lubiany był przez nas nasz porucznik. W miarę upływu

czasu fajnie żyło nam się z kapralami. Oczywiście nieraz mieliśmy dość i aż ręka świerzbiała, ale po chwili już było wszystko ok.

3. PRZYSIĘGA

Siedzieliśmy we trójkę przy stoliku z widokówkami w rękę. Ja, Marek i Mirek.

- No i co chłopcy trzeba pisać niech przyjadą i zobaczą jak syn ich wyrósł na potęgę – powiedział Marek – i wziął się za adresowanie.

- No trzeba, trzeba. Jutro mamy próbę z giwerami – rzekł Mirek – chyba trochę są stare, bo generalnie to nie słyszałem za bardzo o peemach.

- To tylko do przysięgi. Potem jak rozejdziemy się na baterie dostaniemy kalachy. Nie zapomnę jak Michał budził nas w nocy i pytał o numer broni – zaśmiał się Marek – tylko, na jaką cholerę mi to potrzebne jak po przysiędze oddamy to.

- Broń rzecz święta – powiedziałem naśladując głos kaprała – dobra chłopaki, piszcie.

Rodzice moi rozeszli się jak miałem 7 lat. Ojciec nie mieszkał z nami jednak kontakt utrzymywałem. Szkoda, że nie mogłem napisać zaproszenia dla obojga na jednej kartce. Ale zaprosić trzeba. Przyjadą pewnie osobno. Cholera, a jak nikt nie przyjedzie. Ojciec nadużywa alkoholu i nie wiem jak zareaguje na moje zaproszenie. Matka ostatnio choruje. Trudno, zobaczymy, ale zaproszenie to rzecz święta.

Chusty były już gotowe i wieczorami rezerwiści paradowali po korytarzu przebrani w cywilne ubrania z narzuconymi na ramiona odznakami wyjścia do cywila. Patrzyliśmy na nich z nieukrywaną zazdrością.

Takich, co robili chusty było więcej w jednostce. My ostro szykowaliśmy się do przysięgi. Zaproszenia były wysłane, a czas upływał bardzo szybko. W czasie uroczystości, która miała się odbyć w Gryficach, miał nas prowadzić sierżant S. Często przychodził na zajęcia i przyglądał się naszym przemarszom od czasu do czasu poprawiając, co niektórych. Jednocześnie dużo przebywałem w kancelarii wraz z Julkiem i wchłaniałem wiedzę na temat samochodówki. Kilka razy samodzielnie dokonywałem rozliczeń oczywiście w efekcie końcowym były one przez Julka sprawdzane. Nie ukrywał on, że będzie moim tzw. „Dziadkiem”, ale nigdy w jakiś drastyczny sposób nie ćwiczył tego faktu na mojej osobie.

- Obywatelu poruczniku. Kanonier Chojnowski melduje się podczas pisania rozkazów wyjazdu – zameldowałem, gdy drzwi się otworzyły i stanął w nich porucznik. Miał dziś służbę oficera dyżurnego jednostki. Było już po południu. Julek gdzieś wyszedł a ja w kancelarii uzupełniałem rozkazy wyjazdów i książki ewidencji pojazdów.

Jak zwykle uśmiechnął się pod wąsem, zdjął czapkę i usiadł obok mnie. Chwilę popatrzył na moje „wypociny papierkowe”, po czym patrząc na mnie powiedział.

- No facet. Już za tydzień przysięga a więc czas podjąć decyzje, kto po niej zostanie u nas. Jeżeli chodzi o ciebie to nie ma, o czym rozmawiać, natomiast, co do pozostałych to, kogo byś proponował? Jasna cholera. Ja mam o tym decydować? Zżyłem się ze wszystkimi. Jacek W., Waldek P., Leszek B., Marek T., Mirek W., no i co mam powiedzieć?

- Widzę, że bijesz się z myślami – powiedział, szarpiąc delikatnie prawa stronę wąsa – po przysiędze będziecie mieli jeszcze kurs na Krazach, a z tego, co zauważyłem na nauce jazdy i wpisach sierżanta w waszych książeczkach jazdy, moja propozycja jest taka: ty, Marek T., Waldek P., i Leszek B. I jeszcze jeden Zbyszek M., który zostanie jako kierowca na PTG. Co ty na to?

- A co ja mam do powiedzenia obywatelu porucznika. Prawdę mówiąc szkoda, że wśród nich nie ma Mirka, ale co ja mogę? Najwyżej mogę porucznika przekabacić.

- Ja myślę, że nie, a moja decyzja jest słuszna oraz ostateczna. Leszek pójdzie na I baterię, Waldek na II a ty z Markiem na III do majora W.

A więc rozstanie z Mirkiem po przysiędze jest nieuniknione. Szkoda. Zawsze razem.

- Co ci tak mina zrzędła? W wojsku tak już jest – odwrócił głowę, bo otworzyły się drzwi i wszedł Julek.

- Obywatelu poruczniku – zaczął.

Porucznik przerwał mu meldunek – siadaj, siadaj.

Powiedział raz jeszcze to samo Julkowi. Ten wzruszył ramionami i rzekł:

- Będzie jak będzie.

- No to by było na tyle dzisiaj. Wracajcie na baterie. Ja idę na obchód.

Weszliśmy do budynku koszarowca. Zacząłem wchodzić po schodach, ale jeszcze zdążyłem usłyszeć jak Julek szeptem powiedział do podoficera dyżurnego baterii:

- Zaraz przyjdzie tu porucznik B. Acha, mamy już przydzielonych młodych. Ten mój następca i jeszcze jeden, ale zapomniałem nazwiska – spojrzał na schody, na których się zatrzymałem – no, co młody słuchasz. Daje na górę.

Wszedłem na pierwsze piętro i powiedziałem do podoficera, który siedział przy biurku ze zdjętą czapką i z papierosem w zębach – zaraz będzie tu porucznik B.

- Dobra. Dzięki młody.

Wszedłem na salę i musiałem mieć chyba bardzo głupi wyraz twarzy, bo wszyscy bez wyjątku popatrzyli na mnie. Waldek podszedł i powiedział:

- No, co jest? Gadaj, bo przecież to widać, że coś ci leży na wątrobie.

Popatrzyłem na nich. „O rany chłopaki jak ja mam wam powiedzieć” - pomyślałem. Rozejrzałem się dookoła. Cała Polska w jednym miejscu. Najwięcej Dolny Śląsk i Wielkopolska. Chojnów, Legnica, Prochowice, Jawor, Kalisz, Śmigiel, Dobrzyca. Byliśmy do siebie przyzwyczajeni. Każdy miał już swojego serdecznego kolegę, na którego mógł liczyć a tu...nastąpi czas rozstania.

- No mów- ponaglał mnie Waldek.

- Słuchajcie. Przed chwilą porucznik powiedział mi, kto tu zostaje. Mam wam powiedzieć?

- Ja pierdolę! No gadaj!

- A więc pozostają tu ja, ty Waldek, Leszek, Zbyszek i z tamtej sali Marek. Wiem nawet gdzie, kto trafi. Waldek II-a, Leszek I-a, a ja z Markiem na III-q baterie. Zbyszek ty na PTG. Masz być tam kierowcą. Podejrzewam, że na Starze.

- A reszta gdzie?

- Tego mi nie powiedział. Widziałem na biurku nazwy miast gdzie są pozostałe jednostki, ale gdzie, kto pójdzie to nie wiem.

Podszedł do mnie Mirek.

- A więc po przysiedze nasze drogi się rozejdą. Nie dało rady jakoś to załatwić? – spytał.

- Jego decyzja, jak sam powiedział jest ostateczna.

- A te miasta to, jakie?

- No było ich trochę. Dobra, Stargard, Gryfice, Kołczewo, Ustronie, Wicko, Mrzeżyno. Ale tak jak wam powiedziałem. Nie wiem gdzie, kto trafi.

Przerwałem rozmowę, bo na korytarzu dało się słyszeć:

- Bateria baczność! Obywatelu poruczniku! Podoficer drugiej baterii bombardier F. melduje baterie podczas czasu wolnego!

W chwilę po tym otworzyły się drzwi i wszedł porucznik. Gestem ręki nakazał nam usiąść. Popatrzył na nas, po czym zawiesiwszy wzrok na mnie powiedział:

- Z tego, co widzę to już wiecie. No szybko – uśmiechnął się – w takim razie nie będę ciągnął tematu dalej. Jednym to pasuje innym nie. O jesteś Michał – dodał, bo wszedł nasz kapral – skocz i przyprowadź mi tu Marka T.

- Rozkaz!

Po chwili wszedł kapral razem z Markiem.

- No, więc tak jak już wiecie zostaje T. B. P. M. i Chojnowski. Pozostali rozjadą się w nowe miejsca. Widzę, że patrzycie na mnie dziwnie. Spoko, goście, przecież wszyscy nie możecie tu zostać. No nie, Michał weź coś zrób, bo za chwilę się rozplączą – powiedział ze śmiechem do kaprala – przecież to nie pogrzeb.

Poprawił pas i wyszedł na korytarz. Skrzyżowałem spojrzenie z Markiem. Widziałem po jego minie, że jest zaskoczony a jednocześnie zadowolony.

- Dobra. Wystarczy tych czułości na dzisiaj – powiedział kapral – przygotowanie do wieczornej toalety.

- Za dwa dni przysięga a więc jutro z samego rana ubieracie się na wyjściowo, pobieracie broń i robimy próbę generalną – zarządził sierżant S., gdy mieliśmy przerwę na papierosa - jak jutro wszystko wyjdzie ok. to będzie super. Myślę, że wszyscy wysłali zaproszenia. A może jest ktoś wśród was, do którego może nikt nie przyjechać?

Wstało nas trzech. Popatrzył na nas i nie pytając, jaka może być tego przyczyna powiedział:

- Jeżeli tak się zdarzy to nie lamentować i nie daj Boże nie oddalać się nie wiadomo gdzie. Zawsze się znajdzie miejsce u innych. Trudno, takie jest życie. Miejmy nadzieję, że takowych nie będzie. Podczas przysięgi nie rozglądać się, nie gadać, nie wiercić i tak samo podczas defilady. Wiem, że każdy z was jak najszybciej chce się spotkać ze swoimi rodzicami, żonami, braćmi i siostrami, ale na to będzie czas po przysiędze. Jak się skończy defilada wracamy do autobusu, oddajemy broń i udajemy się na świetlice gdzie czekać będą wasi najbliżsi. No to by było na tyle. Jutro omówimy szczegóły. Kapralu, kończymy przerwę. Prowadź ich na drugie śniadanie.

Potem do sal i szykować umundurowanie oraz wyczyścić broń. Skończyłem.

- Rozkaz obywatelu ogniomistrzu – krzyknął kapral.

- E Michał. Ja wiem, że jesteśmy w, rakietówce, ale jeszcze raz powiesz ogniomistrzu zamiast sierżancie to cię przy wszystkich przeczolgam – powiedział szeroko się śmiejąc. Odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku garaży.

- Tak jest obywatelu sierżancie!! – wrzasnął kapral - po czym cichuteńko dodał – obywatelu ogniomistrzu.

Spojrzelśmy w kierunku, w którym poszedł sierżant S. Nie zatrzymując się podniósł palec wskazujący do góry pogroził nim i tubalnym głosem oznajmił – słyszałem!!

Wróciliśmy do siebie śmiejąc się z tego. W budynku zapytaliśmy kaprala, dlaczego tak bardzo uczulony jest nasz sierżant na tego ogniomistrza.

- Zawsze mówi wszystkim, że jest dowódcą PTG i z bojówką ma mało do czynienia. Dlatego jest sierżantem a nie ogniomistrzem – wyjaśnił nam kapral.

Po drugim śniadaniu pobraliśmy mundury i została nam wydana broń. Część dosłownie polerowała giwery, kiedy pozostali sprawdzali mundury, czy są wszystkie guziki i czy nie ma jakiś rozdarć. Na tych czynnościach minął nam czas do obiadu a potem dziesiątki razy ćwiczyliśmy słowa przysięgi, pomimo że każdy z nas znał je już na pamięć.

Nazajutrz po śniadaniu w pełnym umundurowaniu i z bronią staliśmy ustawieni na placu apelowym. Broń lśniła w blasku słońca, które przebijało się przez spowite na niebie chmury. Odbiliśmy trzy próby, z których sierżant był zadowolony. Gdy mieliśmy już opuszczać plac wolnym krokiem wszedł na jego teren pułkownik G. w towarzystwie szefa sztabu. Przyjął meldunek od sierżanta, po czym cichym głosem powiedział żeby zaprezentować mu to wszystko wraz z defiladą. Wszedł wraz z majorem K. na trybunę i patrzył na nasz pokaz. Próba defilady też wyszła chyba dobrze, bo oddał honory, uśmiechnął się, po czym wraz z majorem poszli do sztabowca.

Gdy wróciliśmy do sal zaczęło się od nowa czyszczenie broni. Kapral przyniósł nam dwa żelazka każąc wszystko wyprasować i jeszcze raz dokonać przeglądu umundurowania. Buty miały lśnić na połysk. Mundury zostały na wieszakach w pokoju żeby jak to określił kapral – nie pogniotły się. Obuwie równiutko ustawione na korytarzu.

Podczas czyszczenia broni podszedł do mnie Marek.

- Jakby coś to możesz na mnie liczyć. Gdyby nikt od ciebie nie przyjechał będziesz z nami przy stole.

- Dzięki Marek. Mam jednak nadzieję, że ktoś przyjedzie – odpowiedziałem ze ściśniętym gardłem.

W dniu przysięgi pobudkę mieliśmy o piątej. Toaleta tym razem bez gonitwy i bardzo, ale to bardzo dokładne golenie.

Następnie mundury na siebie, buty na nogi i do autobusu, który czekał już na nas przed budynkiem. Czekał tam również sierżant S. w galowym mundurze. Usadowiliśmy się wewnątrz i autobus ruszył obierając kurs w kierunku, Gryfic.

- Pododdziały żołnierzy młodego rocznika, dziesięć kroków na wprost marsz!

Ruszamy. Każdy liczy żeby tylko się nie pomylić. Ziemia drży pod butami. Siedem, osiem, dziewięć, dziesięć. Stoimy. Nikt się nie kręci i nie rozmawia, ale wszyscy kątem oka patrzą na boki. Widać bardzo dużo żołnierzy zawodowych. W pewnym oddaleniu kolorowo. To nasi najbliżsi. Próbujemy dojrzeć swoich, ale w tym tłumie to niemożliwe. Na trybunie oficerowie w galowych mundurach. Obok orkiestra. Zaczynają grać hymn. Łzy cisnął się do oczu. Jakże piękny jest ten Mazurek Dąbrowskiego.

Prawa ręka z dwoma wyprostowanymi palcami w górze. Powtarzamy słowa przysięgi. Mechanicznie i równo. Za chwilę ręka idzie w dół i słychać równy, jak że charakterystyczny odgłos uderzenia o broń.

Zaczyna się defilada. Idziemy równo w takt muzyki granej przez orkiestrę wojskową.

Mocno tłuczemy nogami w asfalt. Wszystko drży dookoła. Wokół rodziny. Krzyczą, machają rękoma, nawołują imionami. My maszerujemy. Kątem oka dostrzegam rodziców. A więc przyjechali. Nie będę sam. Jeszcze mocniej przybijam buty do asfaltu. Koniec. Tu gdzie stoi autobus cywile nie mają wstępu. Oddajemy broń a w autobusie pozostawiamy płaszcze. Sierżant prowadzi nas do świetlicy. Każdy ma swój stolik, na którego blacie znajduje się kartka z nazwiskiem. Wzruszenia, łzy, pocałunki, okrzyki, wiwaty. W końcu jestem przy nich. Matka płacze a mi to też się udziela, jednak szybko zapanowuję nad sobą. Ojciec uśmiechnięty podał mi rękę, po czym usiedliśmy. Opowiadaniom nie ma końca. Gwar i szum jak w ulu. Co chwilę nasz sierżant przechadza się po świetlicy. Zapraszany jest do każdego stolika. Każdy ma do niego pytanie dotyczące swojego syna, męża, brata. Patrzę dookoła. Nikt nie jest sam. Do każdego ktoś przyjechał. Spoglądam w kierunku Marka. Jest uśmiechnięty i czule obejmuje żonę. Nasze spojrzenia spotykają się. Podnosi prawy kciuk do góry. Jest ok. Tak. Ten dzień pozostanie w pamięci do końca życia.

Po przysiedze trwały jeszcze zajęcia z różnych dziedzin jednak nie były one już tak uciążliwe jak dotychczas.

Nadal trwało udoskonalanie naszej wiedzy na temat kierowania pojazdami ciężarowymi po szczecińskich drogach.

Zbliżał się okres świąt Bożonarodzeniowych oraz Nowy Rok. Zostaliśmy wszyscy zebrani w jednej izbie, aby określić się jak to powiedział kapral Michał, kto kiedy chce jechać do domu. Mieliliśmy podzielić się na dwie grupy. Jedna – wyjazd na Święta, druga na Nowy Rok. Oczywiście były z tego powodu małe problemy i kłótnie jednak nasi kaprale szybko się z tym uporali. Ja byłem w tej drugiej grupie, czyli noworocznej, Marek świątecznej. Mirek długo walczył, ale w końcu dał spokój i też wybrał przywitanie Nowego Roku 1986 w domowych pieleszach. Ucieszyłem się, bo zawsze jazda we dwóch jest rańniejsza zwłaszcza, że to pierwszy samodzielny wyjazd poza teren jednostki. Na trzy dni. Aż trzy a dla nas to było tylko trzy. Święta spędziliśmy w spokoju bez żadnych ćwiczeń, komend i zbiórek. Wigilia przebiegała w ciszy i spokoju. Dowódca złożył nam życzenia świąteczne. Ci, co mieli na to ochotę dzielili się opłatkiem, po czym wigilijna kolacja. Nie było to jak w domu. Krokiety z barszczem, ryba po grecku, kompot, ciasto. Po kolacji można było obejrzeć na świetlicy film, poczytać książkę, lub w zamyśleniu patrzeć w dal przez okno koszarowa próbując przebić wzrokiem ciemność. W dole, widać było zabudowania wioski. Na co dzień szara, ale dziś widzieliśmy w oknach domów świecące się choinki. Budynków nie było dużo.

Patrząc na zabudowania Czarnówka, przypominałem sobie święta, które spędzałem dotychczas w rodzinnym gronie.

Większość oblegała świetlicę oglądając jakąś komedię. Sam też patrzyłem, bo nie ukrywam, że dotychczas naszą jedyną „atrakcją telewizyjną” był codzienny, obowiązkowy „Dziennik telewizyjny”. Pół biedy jak tylko wiadomości. Gorzej było jak tuż po wiadomościach zabierał głos jakiś polityk i „nawijał” z godzinę. Trzeba było grzecznie siedzieć i słuchać bez żadnych wyjść do toalety czy na papierosa.

W pierwszy dzień świąt na śniadanie kawałek kielbasy na gorąco, masło, kawa (o dziwo posłodzona), kawałek ciasta. Na obiad rosół, ziemniaki, kawałek kurczaka. Na kolację nie pamiętam. Tak samo drugi dzień..

Jednostka spowita była ciszą. Jedyne słyszać było tylko zmianę wart i wjazd oraz wyjazd autobusu, który przywoził i odwoził oficera dyżurnego jednostki wraz z pomocnikiem oraz żołnierzy starszego rocznika udających się na przepustki stałe, czyli tzw. stałki.

Żadnych alarmów, zbiórek i głośnych komend. Oczywiście byli tacy, którzy normalnie pełnili warty czy też służby podoficerów baterii, dyżurnych PKT, strażaków i dyżurnych stołówek. W okresie świątecznym żeby tak do końca nie było nam dobrze uczestniczyliśmy w tzw. obierkach, czyli obieraniu ziemniaków i warzyw, które to były przeznaczone do kuchni w celu przygotowania

posiłków. Oczywiście normalnie też się sprzątało izby, korytarz, toalety, umywalnie.

W dzień naszego wyjazdu do domu, przygotowań nie było końca. Prasowanie, czyszczenie, pastowanie, po czym mundur na siebie i czekanie w pozycji stojącej. Pierwsza grupa powróciła w 100%. Nikogo nie brakowało. Po krótkim szkoleniu usiedliśmy w autobusie, który zawiózł nas w okolice dworca kolejowego w Gryfinie. Przeżywałem w jakiś sposób lekki szok. Bez dowódców, bez komend i rozkazów, sam i to jeszcze do domu!

Pociąg relacji Szczecin – Jelenia Góra był o godzinie 18³⁰. Mieliliśmy z Mirkiem około piętnastu minut, aby poprawić pasy i zluźować opinacze na butach. Jak stare wojsko. Niby wszystko ok., ale z daleka, przynajmniej dla starego żołnierza, rzucaliśmy się w oczy jako koty. Byliśmy tak spięci tą sytuacją samodzielnego wyjazdu, że chwilami niewiele brakowało abyśmy oddawali honory osobom w kolejowych mundurach.

W końcu pociąg wtoczył się na peron a my zajmwszy miejsca w przedziale zapaliliśmy po raz pierwszy od wyjścia z jednostki, papierosy. Przedział był dla palących. W pociągu było mało ludzi, bo wiadomo – okres świąteczny. Parę godzin jazdy i wysiadamy na stacji Zebrzydowa koło Bolesławca. Tu czekamy chwilę na pociąg do Wrocławia. Chwila moment i jesteśmy w Chojnowie. Jest noc. Prawie biegiem wyskakujemy z dworca. Rozglądamy się dookoła. Co się zmieniło?

Miasto spowite jest snem. Za oknami budynków widać świecące, ubrane na kolorowo choinki. Czuć nastrój świąteczny. Pod nogami skrzypi zmarznięty śnieg. Umawiamy się z Mirkiem na powrót, po czym każdy idzie do siebie. Matka nie śpi. Listownie poinformowałem ją o swoim przyjeździe. Opowiadaniom nie ma końca. Przywiozłem również zdjęcia, które robiliśmy w jednostce. Do rana już nie śpię. Jest godzina siódma. Zakładam cywilne ubranie i wychodzę na ulice miasta. Czuję się jakoś dziwnie. Ubranie jest luźne i bardzo wygodne. To, że luźne wcale się nie dziwię. W wojsku przez ten okres czasu schudłem około 8 kilogramów. Zwiedzam miasto jakbym był tu po raz pierwszy. Jednocześnie dociera do mnie myśl, że trzeba będzie wracać. Zostawić to wszystko i znów mundur, rozkazy, ćwiczenia. Kurwa mać! I to przez dwa lata. Pierdołę, jak ja to wytrzymam. Przez dwa dni spotykałem się z kolegami. Razem też spędziliśmy Sylwestra i przywitaliśmy Nowy Rok. Oni radośnie i beztrząsowo racząc się sówicem alkoholem. Ja mniej wesoło myśląc o czekającym mnie powrocie.

Droga powrotna była taka sama. Pod jednostkę wróciliśmy taksówką. Jechaliśmy w czwórkę. Już z daleka zauważyliśmy bramę, siatkę, budynki. Kierowca taksówki, spoglądał na nas w lusterku.

Kilka razy pytał się o przebieg służby.

- Jak chłopaki? Ile jeszcze zostało?

- Jak młodej kurwie to renty – odpowiedziałem – dwa lata. Prawie.

- Zleci wam – powiedział – od paru lat jeżdżę regularnie na tej trasie. Nie będzie źle. Pomyślcie o tych, którzy dopiero tu przyjdą.

Wy za sobą macie już jakiś czas. Będzie dobrze – pocieszał nas.

Faktycznie, po nas przyjdą inni. Jeszcze trochę trzeba wytrzymać.

Potem będzie lepiej.

Zapłaciliśmy za kurs, podziękowaliśmy za słowa otuchy i podeszliśmy pod bramę. Wartownik wpuścił nas do środka, po czym zamknął bramę tak głośno jakby chciał powiedzieć „witamy was, teraz mamy was”.

Meldunek u oficera dyżurnego jednostki, mała kontrola czy nie wnosimy czegoś w wojsku zakazanego, po czym na baterie. Mundur do szatni, moro na siebie. Jesteśmy „u siebie w domu”, domu, który będzie nam zastępował nasze rodzinne strony przez dwadzieścia cztery miesiące. Kurwa dwa lata, moje najpiękniejsze, które muszę poświęcić dla obrony polskich granic. Przed kim? W tamtych latach mówiło się, że przed zachodem. No jak to przed zachodem? Przecież stamtąd mamy jeansy, fajne filmy i muzykę rockową. Wtedy jak zresztą do tej pory moim ulubionym zespołem z tzw. „zepsutego zachodu”, jest Pink Floyd ze wspaniałą płytą „The Wall”. Zepsuty zachód. O ludzie, jaki zepsuty. Na pewno gdyby była taka

konieczność broniłbym własnego kraju być może nawet oddając za niego życie, ale czy na pewno niebezpieczeństwo nadeszłoby z zachodu. Takie to były czasy. Co tu zresztą dyskutować i się rozwlekać nad tą kwestią. W latach mojej służby oglądało się najczęściej radzieckie filmy, słuchało radzieckich gwiazd takich jak chociażby Alla Pugaczowa. Po ulicach jeździły Wołgi i Łady. My w jednostce mieliśmy radzieckie rakiety a Krazy uchodziły za szczyt techniki motoryzacyjnej.

4. NA BATERII

Kurs krazistów przeleciał bardzo szybko. Normalna nauka jazdy tyle tylko, że pojazdy ogromne, na wielkich kołach. Pokrywy silnika wysunięte do przodu, co sprawiało, że czuliśmy się w nich jak w amerykańskich ciężarówkach znanych nam z filmów. Ale, jakby nie patrzył samochody były produkcji radzieckiej. Jeździliśmy po okolicach od czasu do czasu zapuszczając się trochę dalej. Nasze pojazdy zobaczyli mieszkańcy Gryfina, Szczecina, Chojny i wielu innych miasteczek i wiosek.

W końcu nadszedł dzień pożegnania z kolegami, którzy odjeżdżali do innych jednostek. Spakowani, pożegnali się z nami.

- Trzymajcie się chłopaki – powiedział Jacek wychodząc – spotkamy się w cywilu.

- Tak spotkamy się, albo i nie – odpowiedziałem – po wojsku każdy pójdzie w swoją stronę i tyle będziemy się widzieć.

Wymieniliśmy się adresami. W tamtych latach nie było telefonów komórkowych. Teraz byłoby inaczej.

Zostało nas pięciu w Czarnówku. Jak się później okazało do ostatniego dnia naszej służby. Służby, w której mottem było powiedzenie „RAZEM BRONILIŚMY POLSKIEGO NIEBA”.

Wraz z Markiem spakowaliśmy swoje wyposażenie i udaliśmy się na parter gdzie mieściła się siedziba baterii trzeciej i plutonu transportowo - gospodarczego. Trzecia bateria techniczna.

Trafiliśmy do izby na wprost drzwi wyjściowych z koszarowca. Markowi zostało przydzielone łóżko obok okna, ja trafiłem z lewej strony na łóżko podwójne z tym, że spałem na dolnym. Byli tam już koledzy z poboru wrześnieowego. Przywitaliśmy się z nimi. Jeden z nich, Paweł W. z Janowca Wielkopolskiego pomógł nam się ulokować i z grubsza zapoznał nas z naszymi obowiązkami zwłaszcza w stosunku do naszych „dziadków”. Było ich na sali czterech, z czego obecnych było trzech, bo czwarty odbywał karę aresztu. Ponoć on miał być najgorszy.

Tuż po rozpakowaniu się przyszedł szef baterii chorąży Andrzej K. i zrobił zbiórkę na korytarzu. Za chwilę dotarł dowódca baterii major Kazimierz W. Spoglądaliśmy z Markiem z zaciekawieniem na niego. Niezbyt wysoki, dość tęgawy, ubrany w mundur polowy, czyli moro. Z uśmiechem na twarzy rzekł:

- W dniu dzisiejszym dołączyli do nas żołnierze ze szkolenia unitaryjnego, kanonierzy Marek T. i Janusz Chojnowski. Obaj zostali przydzieleni do drużyny wozów specjalnych, którego dowódcą jest plutonowy Kazimierz K. Plutonowy przydzieli im samochody, za które będą odpowiedzialni. Z tego, co wiem to nie będą z nami za długo teraz, ponieważ za tydzień jadą do innych jednostek, aby jako kraźści przeciągać sprzęt na zgrupowanie poligonowe do miejscowości Płoty.

- Szef baterii – tu odwrócił się do chorążego K. – dokona odpowiednich czynności związanych z wciągnięciem ich do ewidencji baterii.

Odwrócił się w naszą stronę i dodał.

- W drużynie tej jest już dwóch starszych kolegów. Jeden z nich – tu wskazał ręką – jest bombardier Piotr B. natomiast drugi w tej chwili jest na urlopie. Skończyłem. Szef baterii, koniec zbiórki.

- Bateria baczność! Bateria spocznij!

- Jak już słyszeliście mamy dwóch nowych żołnierzy. Z tego, co wiem jeden będzie pisarzem u porucznika B. natomiast drugiego rezerwuję sobie jako pomocnika szefa baterii. Chłop żonaty, więc będzie się nadawał. Z szefem lepiej żyć w zgodzie. Stare wojsko już mnie zna i wie, że jak ktoś dla mnie coś to i ja dla kogoś coś. Dobra to by było na razie tyle. Idziemy na drugie śniadanie a potem każdy do swoich zadań.

Po śniadaniu Piotr B. zabrał nas do ogromnego garażu gdzie stało dziewięć samochodów. Były to cztery Ziły, tyle samo Krazów siodłowych i jeden dźwig na podwoziu Stara 66. Okazało się, że kierowca-operator dźwigu nie jest w naszej drużynie a tylko garażuje na naszym terenie. Wspaniały i bardzo pomocny kolega Dariusz K. z Ośna Lubuskiego, pieśzczośliwie nazywany „Złociutki” z racji posiadania włosów koloru rudawego.

Po chwili przyszedł plutonowy K., wysoki, szczupły w dobrze dopasowanym mundurze. Popatrzył na nas, po czym zwrócił się do Piotrka.

- Zili są wasze natomiast dopilnuj żeby oni wzięli sobie po dwa Krazy, obojętnie, które. Mają być non stop sprawne i mają lśnić jak psu dupa.

Tu zwrócił się do nas.

- Krazy stoją na ZN, czyli zapas nienaruszalny, i jak widzicie są czyste i wyropowane. Podczas codziennych zajęć będziecie dokonywali obsługi jak i drobnych, ewentualnych napraw. Teraz w okresie zimowym raz na dzień odpalić silniki na 15 minut niech sobie porechoczą i pod koniec tygodnia zawsze podjechać nimi na MPS i zatankować do pełna.

- To już chyba oni nie zdążą, bo jadą na poligon – powiedział Piotrek.

- Ja to kurwa mam szczęście – warknął plutonowy – jeszcze dobrze nie przyszedli a już odjeżdżają. I jak zwykle sam będę zapierdalał. Idę do kantyny, a wy mi tu bez żadnych głupot robić swoje. Przyjdę to sprawdzę. Jak nie to pojedziecie na Podjuchy.

Później dowiedzieliśmy się, że w Szczecinie Podjuchy był areszt wojskowy. Nigdy jednak nikogo tam nie wysłał a powiedzenie o Podjuchach było jego ulubionym.

Odszedł w stronę kantyny, która mieściła się za stołówką.

- Bierzcie sobie po dwa Krazy, obojętne mi, które – rzekł Piotrek z uśmiechem.

- Dobrze dziadku- powiedział Marek.

Popatrzył na nas, znów się uśmiechnął i poszedł w róg garażu gdzie czekał na niego Darek K.

Wsiadliśmy z Markiem do kabin samochodów rozglądając się po nich. Normalne jak wszystkie tyle tylko, że na małych kołach i przeznaczone do ciągnięcia naczep. Parę wskaźników i zegarów, proste siedzenie i prosta kanapa dla pasażerów. Drewniana kabina obita blachą. „Szczyt techniki”.

- No to mamy auta – powiedział Marek

- No mamy – i dodałem – maszyny po chuju fest.

- Tak. Zajebiste. Ciekawe jak wyglądają naczepy, które ciągną, bo chyba są takowe skoro je tu trzymają.

- I co tam, wybraliście sobie już swoje maszyny – zapytał Piotrek, który podszedł do nas z Darkiem.

- Tak – odpowiedziałem – ja biorę te dwa pod ścianą a Marek te.

- No i dobra. Chodź ze mną to pokażę ci, czym pojedziesz na ten poligon. Stoi w garażu naprzeciwko a ty – powiedział do Marka – sprawiaj wrażenie, że coś robisz.

Poszliśmy do garażu naprzeciwko gdzie stał znany mi już Kraz z nauki jazdy. Popatrzyłem chwilę na niego, po czym wróciliśmy do siebie.

Trochę posprzątałismy garaż, po czym po wizycie plutonowego, który sprawdził porządki, udaliśmy się na baterie. Po pół godzinie odbył się apel, na którym to szef odczytał, kto jaką ma służbę. Nas to jeszcze nie obowiązywało. Kadra zapakowała się do autobusu a my poszliśmy na obiad.

Po posiłku wróciliśmy do izby. Siedziało tu już sześciu dziadków, trzech naszych i trzech z PTG. Jednym z nich był Julek P. i to właśnie on pierwszy zabrał głos.

- No unitarka się skończyła i zaczyna się normalna służba. Wasze obowiązki to sprzątanie i takie tam inne, no i macie znać cyfry starych do cywila. Macie śpiewać, bo inaczej będziecie mieć przejebane. Nie burzyć się i wszystko wykonywać w biegu. Zero leżenia i siedzenia na koju. Słuchać nas we wszystkim a wtedy będzie dobrze. W głupa możecie sobie lecieć z trepostwem, nas to wali. Coś jeszcze ktoś ma do dodania? – zwrócił się do swoich kolegów Julek.

Odezwał się szczuplutki, jak się później okazało kierowca PTG, Marek M. z Rąbienia AB.

- Skąd jesteście?

- Dolny Śląsk – odpowiedziałem – województwo legnickie a konkretnie z Chojnowa.

- Ty też? – zapytał Marka.

- Też.

- Kurwa. Żadnego ziomka - Odwrócił wzrok na mnie i dodał – jak wrócisz z poligonu to będziesz robił fale dla starego. Słyszałem, że masz talent.

- No jasne – odpowiedziałem – mam nadzieję, że wrócę do tej pory?

- Wrócisz, wrócisz. Stary przywiezie sprzęt z domu. No i potem trzeba będzie jeszcze staremu machnąć chustę. Nawet nieźle ci wyszły te, co robiłeś, a T. ci pomoże.

- Marek, nie mów, że tylko tobie, bo jeszcze nie skończyłeś a już łyknął jak pelikan – powiedział następny z dziadków – Adam M.

- No jasne. Wszystkim. Jeszcze coś? – zwrócił się do pozostałych Marek.

Odezwał się Julek – ja zabieram go teraz do kancelarii, bo trzeba zakończyć wpisy do książek. Niech robi, bo stary ma już za cienko.

Po przyjściu na baterie wraz z Markiem i Pawłem posprzątaaliśmy korytarz i położyliśmy się spać.

Noc minęła spokojnie a na drugi dzień cała procedura z zajęciami i sprzątnięciem powtórzyła się i tak było codziennie do wtorku, kiedy to spakowałem się wraz z Markiem i ja odpaliwszy, Kraza razem z sierżantem wyruszyłem do jednostki w Kołczewie a on do innej z tym, że pociągami.

Tak wyglądało nasze pierwsze zetknięcie się z rezerwistami oraz normalną służbą w dywizjonie raketowym OPK.

Wyjeżdżając z jednostki pomyślałem tylko, że może będzie dobrze. Poligon trochę potrwa i jak wrócę to niewiele czasu pozostanie do naszej „starości”. Trochę się wtedy myliłem.

5. POLIGON

Przemierzałem drogę do Kołczewa zatrzymując się tylko raz za potrzebą. Popuściłem wtedy opinacze butów i zluzowałem pas by wyglądać na starego żołnierza, ale jak spojrzałem w lusterko na swoją twarz to, kociarstwo aż biło w oczy. Ale taka była zasada w wojsku. Poza jednostką jesteś wolny, chyba, że przebywasz wraz ze swoimi rezerwistami – dziadkami. W pozostałych sytuacjach masz luz.

Gdy przyjechaliśmy do Kołczewa, sierżant oddał mnie w ręce oficerowi dyżurnemu jednostki a sam pożegnawszy się ze mną, odszedł drogą w kierunku przystanku autobusowego.

Zostałem razem jeszcze z dwoma krazistami z innych jednostek przydzielony do izby plutonu ochrony, bo tam było miejsce. Rozlokowaliśmy się tam na wolnych miejscach. Jakież było moje zdziwienie, gdy po godzinie otworzyły się drzwi i stanął w nich Leszek B. wraz z Leszkiem Ż., który był kierowcą II baterii, ale miał pół roku służby więcej od nas.

- Ja pierdolę, Lechu! - krzyknąłem – nic nie wiedziałem że też tu jedziesz. Czemu nie puścili nas razem?

- Nie wiem. Ale za to jest nas trzech z jednego miejsca.

- No to dobrze. W razie, czego jeden drugiemu pomoże. Zawsze, co swój to swój.

Zostaliśmy zawołani przez podoficera dyżurnego, który kazał nam zgłosić się do oficera, który, na co dzień pełnił w Kołczewie funkcje szefa służby samochodowej.

Ustawiliśmy pod jego okiem samochody w parku samochodowym. Według jego rozkazu od jutra nasze zadanie miało polegać na sprawdzeniu prawidłowych połączeniach z przyczepami, które mieliśmy „ciągnąć” na poligon.

Rozglądaliśmy się po jednostce. Ten sam układ, co u nas. Jedyne, co było inne to to, że koszary były w lesie a do brzegu morza było na przysłowiowy rzut kamieniem.

Od dnia następnego zaczęliśmy przygotowania do wyjazdu na poligon. Mi została przydzielona do przetransportowania przyczepa zabudowana, która była agregatem prądotwórczym, ESD-100. Wyjazd na poligon miał na celu szkolenie obsługi baterii radiotechnicznej i startowej w zwalczaniu celów powietrznych na małych wysokościach. Jednocześnie zgrupowania te odbywały się przed każdym wyjazdem danej jednostki na strzelanie bojowe. Cofnąłem pod nią Krazem, podpiąłem przewody elektryczne oraz pneumatyczne i... okazało się, że wszystko jest ok. Nie trzeba było interwencji mechaników. No to problem mam z głowy – pomyślałem.

Do obiadu na myjni udawaliśmy, że pucujemy swoje maszyny a tak naprawdę to były tak czyste, że nie było się, do czego przyczepić.

Po obiedzie i opuszczeniu przez kadrę jednostki poszliśmy nad brzeg morza. Trzeba było przejść kawałek przez las i w miarę zbliżania się dochodził do nas coraz wyraźniejszy szum fal morskich. W końcu stanęliśmy na skraju wysokiej skarpy. Przed nami było urwisko, potem plaża i morze. Bezmiar wody ciągnący się po horyzont. Nikogo w zasięgu oka, bo jakby nie patrzył to zima. Wprawdzie śniegu jakoś nie było, ale nękały nas wtedy już dość spore przymrozki. Spojrzeliśmy na plażę w dole tuż pod urwiskiem i zauważyliśmy napisane na piasku cyfry, które oznajmiały ile dni do wyjścia ma rezerwa.

- Widzicie – powiedziałem do kolegów, a byli z nami jeszcze kraciści z innych jednostek – to na pewno jest obowiązek młodych w tym Kołczewie.

- Na pewno tak – odpowiedział Leszek – prawdę mówiąc to mają lekko przejebane tak codziennie złącząc i wdrapując się z powrotem.

- Spoko Lechu – powiedziałem – nie wiadomo, co wymyślą nasi jak wrócimy. Wprawdzie u nas nie ma morza, ale mogą coś innego sobie ubzdurać.

- Zobaczymy. Ty z Markiem i tak macie nieźle. Na trzeciej jest raczej spoko. U mnie jest na pewno gorzej. Ale pierdzielę to, jakoś to będzie.

Wróciliśmy do koszarowca gdzie nie musieliśmy robić żadnych porządków. Do umywalni chodziliśmy, kiedy kto chciał. Nie mogliśmy jedynie siadać ani kłaść się w dzień na łóżka. Taki był

przywilej przebywania na zewnątrz macierzystej jednostki bez swoich dziadków.

Nadszedł dzień wyjazdu na poligon. Sprzęt podczepiony był już do samochodów. Krótki apel i rozkaz do wyjazdu. Kolumna rusza. Na przedzie pilot potem zaraz za nim samochód, w którym jedzie dowódca jednostki. Następnie jadą Krazy ze sprzętem. Za nami dwa Stary, Nysa sanitarka i na samym końcu WTB, czyli jeżdżący warsztat na wypadek jakiejś awarii.

Kolumna rozciągnięta jest na ponad kilometr. Ludzie na ulicach miast, które przejeżdżamy przystają i z zainteresowaniem patrzą na tę kawalkadę. Na co dzień takich samochodów na polskich drogach się nie widywało. Jedziemy jednym ciągiem. Nie obowiązują nas żadne światła czy też znaki drogowe, bo wszystkie takie newralgiczne punkty są blokowane przez służby wojskowe kierujące ruchem.

Wieczorem docieramy do miejscowości Płoty. Jedziemy przez las. Raptem kończy się on i oczom naszym ukazuje się pas startowy, jakże się później okazało ukrytego, zapasowego lotniska. Zaczynają nas rozstawiać w poszczególne miejsca. Odczepiam agregat a ze skrzyni ładunkowej ściągamy siatki maskujące, po czym kierują nas

do zorganizowanego pod lasem parku samochodowego. Zostawiamy auta i kierujemy się w kierunku namiotów. Wchodzimy do jednego z nich. Łóżka, szafki a to wszystko na gołej ziemi. Możemy położyć się spać. Nie rozbieramy się nawet tylko zdejmując buty każdy pakuje się pod koce. Jest bardzo zimno. Na dworze jest mróz. -18⁰C.

W namiocie staramy się nie dotykać części metalowych, bo większość jest oszroniona. Tak naprawdę to chyba nikt nie spał. Była to drzemka. Co chwilę ktoś wstawał i wychodził do prowizorycznej latryny za potrzebą.

Rano pobudka. Śniadanie w namiocie. W manierki włali nam gorącą kawę, którą zanim ktokolwiek zaczął pić to ogrzewał zmarznięte dłonie. Nie trzeba już chyba nikomu mówić, jakie były reakcje jak wkładaliśmy buty. Masakra. Zimne nogi do zimnych butów. Idziemy na plac apelowy. Okazuje się, że zaraz po apelu wstawią do każdego z namiotów piecyk pod warunkiem, że podczas snu jedna osoba zawsze będzie dyżurować a nad wszystkim będzie czuwał strażak, dokonujący kontroli w nocy. Gdzie nie będzie stałego nadzoru tam piecyka nie będzie.

Wracamy do namiotów. Piecyk już jest. Rozpalamy. Zaczyna się robić cieplej, do tego stopnia, że zdejmujemy z siebie panterki. W nocy kilkakrotnie przychodził strażak i sprawdzał czy piecyk jest pod nadzorem. Dyżur nocny mieliśmy każdy po godzinie. Rano

lepiej było się ubrać, bo moro i panterki wisiały nieopodal źródła ciepła.

Po w miarę dobrze przespanej nocy, rankiem po apelu wyznaczono nam pracę. Dwóch Leszków trafiło na park samochodowy jako dyżurni PKT, pozostali praca na sprzęcie i warty. I znów mi się udało. Z racji tego, że Leszek zdradził się o mojej funkcji pisarza, trafiłem do namiotu, prowizorycznej świetlicy ze stolikami, krzesłami i telewizorem.

Codziennie rano przynoszono mi szczecińską regionalną prasę a moje zadanie polegało na tym żeby po skończonym dniu posprzątać, ustawić prosto stoliki i krzesła oraz zasunąć namiot. Cały dzień przebywałem tam, pomimo, że było tam zimno, bo niestety, piecyka tam nie dano. Ale za to, nie musiałem pełnić żadnych służb i tylko, co parę dni chodziłem sprawdzić mojego Kraza. Na co dzień opiekowali się nim albo jeden albo drugi Leszek. I tak było przez cały nasz pobyt. Jeżeli chodzi o inne, codzienne sprawy, to posiłki spożywaliśmy z menażek pod namiotem, myliśmy je pod zimną wodą, a sami toaletę mieliśmy również z zimną wodą. Trzeba było jakoś wytrzymać. Najgorsze było golenie. Niektórzy próbowali się nie golić, ale to spotkało się z dużym niezadowoleniem ze strony dowództwa. Zastanawialiśmy się czy kadra też myła się i goliła w zimnej wodzie. Raz na tydzień mieliśmy kąpiel, oczywiście w ciepłej wodzie i ogrzewanym pomieszczeniu, które znajdowało się po drugiej stronie pasa startowego.

Jeżeli chodzi o samo lotnisko to tak po prawdzie nic ciekawego. Pas startowy, dość ładnie utrzymany, budynek i na końcu pasa jakiś wrak spalonego samolotu myśliwskiego. Jedyne, co nas bardzo zainteresowało to duża ilość bunkrów w pobliskim lesie.

Tak minął miesiąc naszego pobytu w Płotach. Droga powrotna do Kołczewa przebiegała identycznie jak nasz przyjazd tutaj. Sprzęt został odstawiony do jednostki a my udaliśmy się tym razem do Stargardu Szczecińskiego.

No tu już było lepiej, bo zaczęło się robić cieplej. Na miejscu, okazało się, że moim Krazem pojedzie inny kierowca a ja usiadłem za stery Stargardzkiego pojazdu, ale nowocześniejszego. W kabinie był już inny układ wskaźników. Działało CPK, czyli centralne pompowanie, kół, co sprawiało, że nawet podczas złapania gumy można było kontynuować jazdę. W jednostce spędziliśmy parę ładnych dni. Mielśmy polecenie codziennego przeglądu samochodów. Ale gdzie nam się chciało. Albo spaliśmy po kabinach, w które dość dobrze przygrzewało słońeczko, albo graliśmy w karty.

Pewnego razu na czynności spania nakrył nas pomocnik oficera dyżurnego jednostki. Zabrał nam książeczki kierowców i kazał zameldować się na dyżurce za godzinę. Odchodząc powiedział, że nasze zachowanie trafi do poszczególnych dowódców naszej jednostki.

Po godzinie wszyscy staliśmy przy dyżurce. Oficer w stopniu młodszego chorążego wstawił nam najpierw przemówienie na temat naszego zachowania, po czym oddał nam książeczki bez żadnych karnych wpisów i dodał także, że o tym fakcie nasi dowódcy się nie dowiedzą. Oczywiście pod warunkiem, że sytuacja się nie powtórzy. Na koniec zwracając się do mnie, powiedział, że robi to ze względu na to, że pochodzi ze Złotoryi, która oddalona jest od Chojnowa 16 kilometrów. A więc ziomal?

Z jednostką ze Stargardu mieliśmy jechać na lotnisko do Słupska. Droga dalsza a co za tym idzie, bardziej atrakcyjna. Mieliśmy jechać przez parę większych miast a więc i coś więcej zobaczymy.

Procedura wyjazdu była taka sama jak, w Kołczewie. Tym razem jechaliśmy przez naprawdę duże miasta, że wspomnę o takich jak Nowogard, Karlino, Koszalin, Sławno. W każdym duże zainteresowanie ze strony mieszkańców. Oczywiście nasz przejazd był uprzywilejowany. Kolumna posuwała się wolno przez ulice miast i miasteczek, wiosek i osad. Od czasu do czasu, aczkolwiek nie wolno nam było tego robić, używaliśmy sygnałów dźwiękowych, zwłaszcza jak na ulicy zobaczyliśmy dziewczyny. A sygnały były bardzo donośne. Z boku silnika na masce zamontowane były dwie trąby. Gdy powietrze przeszło przez nie to słyszeć nas było na odległość. Ciekawy był przejazd przez Koszalin. To bardzo duże miasto a nasza kolumna musiała przez nie przejechać. Ludzie wylegli na ulice, machali rękoma pozdrawiając nas w ten sposób, a

my odwzajemnialiśmy się naszymi sygnałami. Niektórzy z mieszkańców, robili zdjęcia.

Lotnisko w Słupsku było w pełni cywilizowane w porównaniu z tym w Płotach. Pas startowy, budynki i stojące samoloty bojowe. Potem okazało się, że to Migi 23. Nasze miejsce stacjonowania wyznaczono po drugiej stronie pasa startowego. Zaraz po przyjeździe rozpoczęła się normalna procedura ustawiania sprzętu.

Następnie samochody do parku i zagospodarowanie w namiotach. Jednak całkiem inaczej niż na poprzednim poligonie. Zresztą było już ciepło.

Tym razem nie załapałem się na świetlicę. Pełniłem służby na prowizorycznie postawionym PKT. Raz miałem wartę.

Z tą wartą to też były numery. Stałem na posterunku obok ESD-100. Tuż przy nim na ziemi leżały siatki maskujące. Nie zastanawiając się za długo zagrzebałem się w nie i zasnąłem. Zmiana wart szukała mnie i dobrze, że samoloty zaczęły startować dzięki temu obudziłem się. Zauważyłem kręcących się żołnierzy w pobliżu. Zdjąłem broń z ramienia i krzyknąłem:

- Stój! Służba wartownicza. Kto idzie?!

- Rozprawdzający ze zmianą! – odpowiedział jeden z nich.

- Rozprawdzający podejść do rozpoznania. Pozostałe osoby pozostać na miejscu!

Podszedł rozprawdzający. Za chwilę dotarli pozostali.

- Gdzieś ty kurwa był – zasyczał

- Jak to gdzie. Zrobiłem obchód na około agregatu a że pracuje to za bardzo was nie słyszałem – odpowiedziałem spokojnie.

- Co ty mi tu pierdolisz. Spaleś i chuj! Wam naprawdę już się popierdoliło w główkach! Jutro staniesz do raportu za to.

- Tak! To najlepiej podpierdol mnie zaraz żebyś do jutra nie zapomniał.

- Zamknij dziób. O tym ja będę decydował. Jak ci coś nie pasuje to rzuć się w kibel i spuść wodę za sobą.

Zdjąłem broń z ramienia. Pomimo że okolica była słabo oświetlona zauważyłem na jego twarzy paniczny strach. Cofnął się dwa kroki. Oczywiście nie wycelowałem w jego stronę tylko trzymając ją lufą do góry, powiedziałem:

- Za chwilę narobię alarmu i powystrzelam was jak kaczki. Potem zamelduję, że nie rozpoznałem zmiany wart i dlatego otworzyłem ogień. Nikt się nie zatrzymał na moje wezwania. I co ty na to?

- Ty naprawdę jesteś pojebany. Ciebie trzeba zamknąć, bo na leczenie jest już za późno. Idziemy i schowaj tą giwerę.

Nie myślcie sobie, że bym to zrobił. Nigdy w życiu. Wiercie mi, że podczas całej mojej służby nigdy nie wycelowałem z broni w stronę człowieka. Z magazynkiem podpiętym czy nie. No nie. Raz wycelowałem. Ale o tym w dalszej części mojego opowiadania.

W każdym razie więcej wart nie miałem. Na porannym apelu dowódca coś tam napomknął o braku wartownika na posterunku, ale na tym sprawa ucichła. Moje służby odbywały się tylko na PKT.

Z rozprowadzającym spotkałem się podczas pobytu na lotnisku jeszcze wielokrotnie. Przy trzecim spotkaniu śmiałyśmy się do łez z tego zajścia.

Zainteresowały mnie samoloty. Kiedyś zapuściłem się w okolice Migów. Mielśmy całkowity zakaz zbliżania się do nich. Ale czego nie wolno to najlepiej smakuje.

Zobaczyć z bliska samolot o zmiennej geometrii skrzydeł to było coś! Omijając jakimś cudem wartowników, wspiąłem się po drabinie i wskoczyłem do środka. O rany! Ile tu zegarów, przycisków, kontrolek. W tym momencie poczułem wzrok na sobie. Podniosłem głowę i zobaczyłem wlepione we mnie oczy, z których aż tryskały błyskawice. Chorąży.

- Co ty tu kurwa robisz?! Jak tu wlałeś?!

Powiedziałem prawdę o moim zainteresowaniu lotnictwem.

- Wypierdalaj mi stąd w podskokach. Wiesz, że nie wolno tu się zbliżać a co dopiero wlać do kabiny.

- A to obywatel chorąży lata nimi?

- Sram a nie latam. Ja tu jestem II mechanikiem i nie zagaduj mnie tylko wylaż. Z której jesteś jednostki?

- Przyjechałem ze Stargardem na poligon. Jestem kierowcą – powiedziałem cicho.

- A to z drugiej strony pasa. No ładnie. Jak się tu dostałeś?

- No po cichu i szybko – odpowiedziałem trochę pewniej.

- *No ładnie. Powinienem cię zamknąć. Trafilibyś stąd prosto do Orzysza. Ale daruję ci skoro tak interesuje cię lotnictwo – ciągnąc dalej – ja w twoim wieku robiłem gorsze rzeczy żeby zobaczyć samolot. Dobra. Ja niczego nie widziałem, ale nie chcę cię tu już więcej widzieć. Nikomu ani słowa a w ogóle to zapomnij, że miało miejsce takie zajście.*

Podziękowałem i naokoło lotniska wróciłem do swojego namiotu. Siedząc na łóżku śmiałem się sam do siebie. Gdy kładłem się spać jeszcze raz przypomniałem sobie dzisiejsze zajście. W myślach powiedziałem sam do siebie, „ale ty jesteś kamikadze”.

Poligon minął dość szybko. Miesiąc czasu jak z bata strzelił. Sprzęt na powrót do Stargardu, w mojego Kraza i powrót do macierzystej jednostki. Jechaliśmy trzema samochodami a wraz z nami jeszcze czterech kolegów z innych jednostek, ponieważ jak się dowiedzieliśmy nasz dywizjon również miał się przebazować do Słupska.

Przygotowanie do wyjazdu nie różniło się niczym od tych w Kołczewie czy też Stargardzie. Mechanicy uwijali się jak w ukropie, niwelując drobne niedociągnięcia techniczne. Nasze zadanie to: przegląd samochodów, zatankowanie i uzupełnienie oleju.

W dzień wyjazdu odbył się poranny apel, po czym w samochody i w drogę. Ja jak zwykle holowałem agregat prądotwórczy ESD-100, a na skrzyni ładunkowej miałem trzy siatki maskujące.

Trasa była już nam znana. Po drodze nie było żadnych problemów i dotarliśmy na znane mi już lotnisko bez problemów.

Niestety w związku z tym, że jechałem z macierzystą jednostką nie było mowy o popuszczonym pasie czy też opinaczach. Wiadomo jechali z nami rezerwiści.

Na miejscu otrzymaliśmy wytyczne, co do pełnienia służb. Ja, Waldek i Leszek na PKT, Marek podoficer dyżurny baterii (namiotowej).

I znów od początku koledzy pracowali na sprzęcie, a my pełniąc służby na PKT obserwowaliśmy samoloty. Chwilami było to fajne tak poobserwować pojawiające się i znikające Migi, ale były też momenty, kiedy można było najeść się strachu. Obok był teren pokryty drzewami i właśnie nieraz za tych drzew „wyskakiwał” Mig 23 na pełnych obrotach. Oczywiście nie tak nisko, ale huk był niesamowity. Wszystko drżało dookoła a w powietrzu unosiła się woń spalin.

- Widziałeś Janek jak wyskoczył – zapytał mnie Leszek.

- Chłopie, jak byłem tu poprzednio to nic wam się nie przyznałem, ale byłem po drugiej stronie pasa i nawet udało mi się wleźć do jednego – odpowiedziałem, obserwując jednocześnie jak Leszka oczy zrobiły się duże – niewiele brakowało żebym za to ostro

przyplacił, bo nakrył mnie chorąży, ale jakoś się zlitował i mnie puścił.

- A faktycznie. Nic nie mówileś – rzekł z uśmiechem Leszek – no tak. Nie na darmo masz przezwisko „Mysz”.

- E tam. Gadanie. Mysz to, dlatego że uwielbiam żółty ser. To raczej można by porównać do sępa.

- A co wy tu robicie szweje!? – usłyszeliśmy krzyk.

Jak na komendę odwróciliśmy głowy za siebie, chociaż wiedzieliśmy, kto tam stoi. „Szweje” było to powiedzenie dowódcy I baterii kapitana Tadeusza B.

- Uzupełniamy dokumenty obywatelu kapitanie – odpowiedziałem.

- Co ty mi tu pieprzysz szweju. Przecież widzę, że macie łby zadarte do góry i patrzycie w niebo. No już ja się chyba za was wezmę. Macie dziesięć minut na zrobienie kwitologii a potem czyścić auta, bo jak któreś mi nawali przy powrocie to marny wasz los. Zrozumiano!

- Tak jest obywatelu kapitanie – odpowiedzieliśmy razem donośnymi głosami.

- Nooo – powiedział kapitan przeciągle – a jak nie macie nic do roboty to zgłosić ten fakt. Na kuchni jest zawsze robota, szweje. Odwrócił się na pięcie i bardzo energicznym krokiem odszedł w kierunku namiotów.

- O kurwa. Niewiele brakowało – powiedział Leszek wyrzucając z siebie te słowa z szybkością strzelającego karabinu.

- *No dokładnie – odpowiedziałem – choć zrobimy porządek koło samochodów i może przeprowadzimy mały przegląd, bo jak nas nakryje drugi raz to będziemy mieli przesrane.*

- *A dokumenty? – spytał.*

- *Jakie dokumenty? Ja tylko tak powiedziałem, żeby jakoś się wytłumaczyć. Papiery są dawno zrobione.*

Nasz pobyt w Słupsku zakończył się bardzo szybko. Przez cały ten okres udawaliśmy, że ciężko pracujemy przy samochodach.

W dzień wyjazdu, po podpięciu agregatu, wraz z Markiem i Leszkiem załadowaliśmy siatki maskujące na mojego Kraza. Leżały one na trawie tuż przy „granicy” drugiego dywizjonu, który również szykował się do wyjazdu.

Droga powrotna do Czarnówka przebiegła spokojnie i co najważniejsze bez jakichkolwiek awarii. W jednostce sprzęt odstawiliśmy na swoje miejsca a samochody po umyciu do garaży.

Na drugi dzień zaraz po apelu porannym, podszedł do mnie dowódca baterii major W. i powiedział:

- *Mamy trochę roboty w kancelarii. Porucznika B. dziś nie ma, więc zabieram cię ze sobą. Razem z S. uzupełnicie to, co trzeba.*

- *Rozkaz obywatelu majorze!*

Poszliśmy razem do sztabowca. Major z przodu a ja regulaminowo jeden krok za nim z lewej strony. Po przybyciu do kancelarii zastaliśmy tam już chorążego O. i sierżanta P.

Krzysiek S. już coś tam pisał siedząc przy biurku. Otrzymałem stos kartek do uporządkowania oraz uzupełnienia brakujących wpisów. Po chwili z kancelarii wyszedł Krzysiek do toalety, a ja jakimś psim śwędem poczułem na sobie czyjś wzrok. Odwróciłem głowę i zobaczyłem kapitana B. który musiał wejść w momencie, kiedy Krzysiek kancelarię opuszczał.

- Kazik! Ten, co pisze to twój kierowca? – zapytał jak zwykle bardzo głośno

- Tak. Mój – odpowiedział major W.

- Pozwolisz, że przerwę temu szwejsowi robotę, bo mam do niego pytanie.

- Nie ma sprawy Tadeusz.

Wstałem i patrzyłem na niego z szeroko otwartymi oczyma. Przez głowę przelatywały mi myśli z szybkością błyskawicy. „O co chodzi? Czyżby sprawa naszego nieróbstwa na lotnisku?”

- Słuchajcie no żołnierzu. Czy to wy jesteście kierowcą Kraza UAK 0616?

- Tak jest obywatelu kapitanie – odpowiedziałem.

- I czy to wy przywieźliście na swoim samochodzie siatki maskujące?

- Tak jest obywatelu kapitanie.

Odwrócił się w stronę majora i służbowo, ale co zauważyłem z lekkim uśmiechem powiedział:

- Obywatelu majorze! Wnioskuje o przyznanie urlopu nagrodowego w ilości pięciu dni dla tego żołnierza. Ten szwej zabrał na poligon moje trzy siatki maskujące a przywiózł cztery. Nie ukrywam, że bardzo mi się ona przyda.

Major zrobił zdziwiona minę, podszedł do kapitana bardzo blisko, szepnął mu coś, czego ja nie usłyszałem, po czym obydwaj wyszli na korytarz.

Zdziwienie moje nie miało końca. I faktycznie dostałem te pięć dni, chociaż liczyłem bardziej na karę niż na nagrodę.

Uzupełniliśmy z Krzyśkiem dokumenty, których było naprawdę dużo. W między czasie jak zostaliśmy sami w kancelarii opowiedziałem mu o wszystkim nie ukrywając radości.

- Janek. Zajebicie. – powiedział.

- No tak, ale żebyś ty wiedział, co ja się tu najadłem strachu. Myślałem, że Podjuchy mnie nie miną a tu takie wyróżnienie.

- Pięć dni to bardzo dużo. Na pewno dostaniemy wzorowego żołnierza a za to jest trzy dni i jeszcze urlop taryfowy. Trochę sobie w domu posiedzisz.

- Oby tak było jak mówisz – rzekłem pocierając lekko spocone czoło.

- Będzie dobrze.

Po powrocie na baterie opowiedziałem raz jeszcze to wszystko Markowi. Bez najmniejszej zazdrości pogratulowałem mi.
- I tak trzymać ziomal – powiedział z uśmiechem.
Uścisnęliśmy sobie dłonie.

6. PRAWDZIWE WOJSKO

Zaraz po obiedzie zostaliśmy zebrani na sali. Wszyscy młodzi. Na łózkach porozsiadali się nasi „dziadkowie”. Nie brakowało nikogo.

- No młodzi – zaczął Marek M. – od dzisiaj zaczyna się wojsko. Dość opierdalania. Jak na razie to nie było was, ale czas najwyższy żebyście poznali swoje obowiązki. Po pierwsze to ścielenie łóżek. Wali mnie to, kto czyje wyro zaścieli. Ma być zrobione. Po drugie, żadnych fochów i burzenia się. Po trzecie, niech nikomu nie przyjdzie do głowy podpierdalać nas.

- O czym ty Marek mówisz? – powiedział Andrzej, ten, który wrócił z aresztu – do obcinki i tak mają przesrane, a ci, co się zburzą zostaną grzbietami i już. Zrozumiało kociarstwo?

- Tak – dało się słyszeć.

- Co tam mruczycie kurwa pod nosami? Tak ma być. Stary na darmo nie odpierdolił parę ładnych dzionków w anclu.

- No dobra Andrzej – wtrącił się Julek – myślę, że zaskoczyli i chyba nie będzie problemów. Brać się teraz za porządki. No ruchy młodzi, do roboty.

Wybiegliśmy na korytarz z nie wesołymi minami. Szybko nastąpił podział, kto i gdzie ma sprzątać. Nie zdążyłem złapać miotły, gdy podszedł do mnie Julek.

- Ty idziesz ze mną. Musimy sobie pogadać na osobności – powiedział.

Chyba nie miałem zbyt mądrej miny, bo popatrzył na mnie jak na wariata, po czym wyszedł z budynku. Ja za nim małym truchtem. Weszliśmy do sztabowca. Julek otworzył kancelarię porucznika B. wszedł, usiadł na krześle i gestem ręki pokazał mi, że mam zrobić to samo. Czekałem w napięciu, co teraz nastąpi.

Załóżyl nogę na nogę i powiedział:

- Tak się złożyło, że za tydzień wychodzę do cywila. Nieważne, dlaczego ale tak jest. Ty zostajesz tu sam. Mam nadzieję, że dasz sobie radę. Zresztą musisz, bo mnie przy tobie nie będzie. W razie jakiś problemów wal śmiało do B. to równy chłop. Chyba już go na tyle poznałeś. Tak, tak młody. Stary idzie do cywila a ty musisz swoje odpierdolić i nie ma zmiłuj. Póki jeszcze jestem to pytaj jak czegoś nie wiesz.

- Myślę, że jakoś dam radę – odpowiedziałem, patrząc na niego. „O rany idzie do cywila. Do domu. A ja muszę tu zostać. Ile to jeszcze miesięcy, dni, godzin”.

- No to dobrze. Nie chciałbym żeby później były jakieś gatki, że cię nie przeszkoliłem. Zresztą w cywilu to mnie będzie waliło. Twoja sprawa. Chcesz mieć dobrze to musisz zapierdalać jak ci zagrają. To wszystko.

Nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Z jednej strony to o jednego „dziadka” mniej a z drugiej czy nie za szybko będę musiał samodzielnie z tym wszystkim się uporać.

Wróciliśmy na baterię. Porządki były skończone.

- Co ty Julek ciągasz go za sobą – zapytał Adam – jeszcze w głowie mu się poprzewraca.

- Daj spokój. Muszę mu to wszystko przekazać. A trochę tego jest. Nie chcę żeby później B. był wkurwiony na mnie.

- Ale ty pierdolisz głupoty. Wychodzisz do cywila i przejmujesz się takimi rzeczami.

- B. jest w porządku. I niech dalej taki będzie. A co nie mam racji?

- Masz Julek, masz. Tylko niech młody sobie nie myśli, że cały czas będzie przyginał w kancelarii.

- Spoko wiara. Co nie pamiętacie jak było ze mną? Zresztą jak mamy o tym pogadać to nie teraz i nie tu.

Poszliśmy z Markiem do umywalni. Tam podczas mycia powiedziałem mu o wyjściu Julka do cywila. Wysłuchał tego wszystkiego spokojnie. On też miał fuchę. Został przecież pomocnikiem szefa baterii. Rozumieliśmy się bez słów. W późniejszym czasie wystarczały nam nie raz tylko spojrzenia na siebie. Dosłownie były to przekazy telepatyczne.

Wróciliśmy na salę. Koledzy poprawiali porządki a my zostawiwszy przybory do mycia wróciliśmy do umywalni.

Tam też trzeba było poprawić zwłaszcza, że stare wojsko nie przejmowało się podczas mycia czy woda chlapie na podłogę i czy lustra nie są zamazane.

Weszliśmy do sali. Zauważyliśmy, że trzech z naszego poboru robią pompki między łózkami.

„Acha. Więc zaczęło się” – pomyślałem.

Nie wiedziałem, co mam robić. Tamci pompują a starzy leżą na łózkach i gadają o duperelach.

- No, co szpakują. Rzucają się na glebę i jadą cyfrę starego – krzyknął Andrzej.

Weszliśmy z Markiem między łóżka. Ze strony gdzie „ćwiczyli” koledzy dało się słyszeć sapanie ze zmęczenia. Zaczęliśmy robić to samo. Z początku było w miarę dobrze, później ręce zaczęły odmawiać posłuszeństwa. Na szczęście światło było zgaszone, więc mogliśmy trochę poudawać.

- Ku chwale rezerwy – powiedzieliśmy razem, powstając z podłogi.

- Dobra. Spać – powiedział Marek M.

Położyliśmy się do łóżek. Pomimo zmęczenia nie mogłem usnąć. Co chwilę wybuchali śmiechem, odpalali papierosy, rozmawiali. Dla nich nie było problemów. Jutro jak kadra wyjedzie to sobie dośpią. My, musimy jakoś to wytrzymać. Ciekawe czy będziemy tacy sami. Jakoś nigdy mnie nie bawiły takie sprawy. Zobaczymy. Czas pokaże. Człowiek może się zmienić bardzo szybko z tym, że szybko na gorsze a powoli na lepsze.

- Słyszałem, że jesteś pisarzem u B. – powiedział do mnie plutonowy K.

- Tak jest – odpowiedziałem.

Byliśmy wszyscy z drużyny w swoim garażu. Piotrek, Marek, Paweł i ja.

Plutonowy podparł się pod boki, popatrzył na nas jak przysłowiowy wąż na żmiję i przez lekko zaciśnięte usta dodał.

- No tego się właśnie spodziewałem. Jeden pisze, drugi jest strażakiem a trzeci u szefa gacie liczy. Ja pierdolę. Ale mi się trafiło wojsko. Nic tylko się przebierać i samemu wszystko robić. A zresztą gównu mnie to obchodzi. Auta mają być na tip top. Jak nie to wiecie, co – Falklandy Podjuchy. Z czego się W. cieszysz?

- A bo plutonowy tak fajnie powiedział o tych Podjuchach – odpowiedział Paweł.

- Fajnie to będzie jak tam trafisz. Ale dość tego gadania. Brać się za robotę.

Co tu robić? Samochody czyste, wyropowane, zatankowane. W kabinach czysto, żadnych zbędnych rzeczy. Garaż czysty, pozamiatany.

- No, co patrzycie na mnie – odezwał się plutonowy – nie widzicie, że koło okien gołębie nasrały. Sprzątnąć mi to szybko. Jeszcze tylko gówien mi tu brakuje. Idę do kantyny. Jak wrócę to sprawdzę.

Wyszedł. Wzięliśmy miotły i posprzątaaliśmy ptasie odchody. Piotrek, wiadomo stary żołnierz gdzieś się „zawieruszył”. Żeby nie było wpadki jak wróci plutonowy, wyciągnęliśmy z szuflad klucze i czyściliśmy je do połysku. Co jakiś czas Piotrek zaglądał do nas.

- Jak chcecie to idźcie na fajkę. W garażu nie palcie.

Co jakiś czas chodziliśmy z Markiem „na dyma”. Palarnia była zrobiona za budynkiem PSO, pomiędzy brzożami. Chwilami te przerwy były aż nadto długie, ale jakoś nikt się tym nie interesował. Około trzynastej plutonowy sprawdził stan porządków, po czym zamknął oraz zaplombował garaże. Umyliśmy się na baterii i oczekiwaliśmy na apel.

Przyszedł szef chorąży Andrzej K. z notatnikiem formatu A4 i zaczął odczytywać informacje o służbach. Ja na PKT, Marek – kierowca ciągnika alarmowego, który stał tuż obok budynku, w którym miałem pełnić od godziny osiemnastej służbę dyżurnego punktu kontroli technicznej.

Za kwadrans osiemnasta ja, podoficerowie baterii, strażak, warta, dyżurny kuchni staliśmy na placu apelowym w oczekiwaniu na odprawę. Przyjmujący służbę podoficerów dyżurnych baterii i dyżurny kuchni w mundurach wyjściowych. Mundury wyprasowane. Buty czyste, zapastowane i świecące.

Pozostali w moro. Na rękę bialo-czerwona opaska, strażak dodatkowo przy strażackim pasie doczepiony miał toporek. Był piątek. Służbę oficera dyżurnego jednostki przyjmował sierżant Zbigniew S.

Wszedł na plac apelowy powolnym krokiem. Nawiasem mówiąc nigdy się nie spieszył. Zaczął od warty. Potem podszedł do strażaka. Oddali sobie honory.

- Obywatelu ogniomistrzu. Dyżurny strażak jednostki bombardier Tadeusz F.

Ja jestem następny.

- Obywatelu sierżancie. Dyżurny PKT kanonier Chojnowski.

I tak po kolei reszta. Ja jako jedyny powiedziałem sierżancie a nie ogniomistrzu. Ale sierżant nic sobie z tego nie robił. Doszedłem do wniosku, że nie każdy był prze niego uświadamiany. U mnie było to zakodowane.

Po odprawie każdy udał się do miejsca pełnienia służby. Otworzyłem kluczem drzwi małego budyneczku, w którym mieściło się PKT.

Wszedłem do środka. Biurko, dwa telefony, radio. Na ścianie szafka z przegródkami na dokumenty i rozkazy wyjazdów aut. Obok piec elektryczny. Na półce zamontowanej obok okna parę przyrządów potrzebnych do pełnienia służby. Z ciekawością zajrzałem do pudełka, w którym według instrukcji znajdowało się urządzenie do kontroli jakości etyliny.

W notatniku wpisałem rozpoczęcie pełnienia służby, po czym... włączyłem radio i zacząłem słuchać muzyki. Wokół cisza i spokój. Za oknem wartownik z kbkak i lornetką powieszoną na szyi. Od czasu do czasu przechadzał się obok okna PKT jednak większość czasu spędzał przy bramie, która oddalona była o jakieś pięć metrów.

Popatrzyłem do szuflady biurka i zobaczyłem, że leży tam gazeta „Głos Szczeciński”.

„Super”- pomyślałem. „Można poczytać i nawet spróbować rozwiązać krzyżówkę”.

Nie zdążyłem nawet przeczytać nagłówków artykułów, gdy otworzyły się drzwi i weszło dwóch moich „dziadków” – Marek M. i Piotrek B.

- No i jak młody? Fajnie tu, co nie? – powiedział Marek M.

- Dość fajnie – odpowiedziałem.

Usiedli na blacie biurka wprost na gazecie.

- Akurat ta służba jest taka, że nie przeszkadza robić coś innego. A jeszcze dziś oficera ma S. no to luzik. Czaisz, o co chodzi?

- Nie bardzo.

- E no facet. Trzeba zacząć robić starym fale. Nikt cię tu nie nakryje. W razie, czego widzisz, że wartownik czuwa – rzekł ze śmiechem – tak, więc masz tu fale. Na razie dwie a tu masz trzecią na wzór. Zaraz ktoś ci podrzuci nożyczki, stalówkę, żyłetkę i tusz.

Żebyś w miarę szybko to zrobił to do wycinania podeślę ci...no właśnie, kogo?

- Dzisiaj T. ma wolne to niech pomaga – powiedział Piotrek.

- A faktycznie. No to zaraz do ciebie dołączy. Jakby coś się działo to ktoś da wam znać. I nie opierdzielać się tutaj tylko działać.

Wyszli. Po dziesięciu minutach wszedł Marek z zawiniątkiem schowanym pod bluzą.

- To ty mnie z tym ożeniłeś? - zapytał

- No, co ty? Sami to wymyślili.

- W porządku. Wolę grzebać przy tym niż siedzieć na baterii i być non stop na posyłki. Dobra, bierzmy się za to.

Zaczęliśmy wycinać. Z początku szło niemrawo, ale po chwili wprowadziliśmy się i praca przy grającym radiu nawet nam się spodobała. Marek delikatnie, szmatką nasączoną w acetonie zmył z jednej strony przymiaru krawieckiego cyfry a ja po wyschnięciu tuszem zacząłem rysować symbole dyscyplin sportowych oraz pisać wierszyki.

Po około dwóch godzinach przyszli nas sprawdzić. Jedna z fal miała już do połowy narysowane dyscypliny, natomiast z drugą Marek „walczył” z nożyczkami. Popatrzyli, pochuchali na nią, po czym ostrożnie, bo wszystko było świeże odłożyli na powrót.

- No całkiem, całkiem – powiedział Marek M. – nie chcę nic mówić, ale jeszcze pięć na was czeka. Jak mówisz Piotrek, będzie dobrze?

- Dla mnie zajebicie. Oby wszystkie tak wyszły. Tylko nasze mają być najlepsze – odpowiedział Piotrek.

- Będą najlepsze – szepnąłem.

- No ja myślę. Jak skończycie to zkitrać gdzieś tu instrumenty. Tylko tak żeby tego nie wjechało.

- Schowamy. Nie ma sprawy.

- Ok. Skończą się fale to zaczną się chusty. Tam już jest wyższa szkoła jazdy.

- Chrzest już miałem tak, więc myślę, że będzie dobrze.

- Dobra. Tak sobie ustaliliśmy, że będziecie robić razem. Jeden rysuje drugi maluje i robota pali się w łapach.

Zaśmiali się i wyszli.

Okolo 21³⁰ Marek wrócił na baterie natomiast ja zrobiłem obchód parku samochodowego i złożyłwszy meldunek sierżantowi S. również udałem się do izby.

Rano po przyjeździe kadry złożylem meldunek o przebiegu służby porucznikowi B., po czym zostałem „zagoniony” przez niego do papierkowej roboty. I tak do obiadu. Następnie przekazałem służbę dla Leszka B.

Wielkimi krokami zbliżało się święto Wojska Polskiego. Podczas uroczystości otrzymaliśmy z Markiem awans do stopnia

bombardiera. Miesiąc później brązową odznakę woskowej sprawności fizycznej i stąd został mały skok do brązowej odznaki Wzorowy Żołnierz.

Cały czas oprócz normalnych zajęć zatrudniani byliśmy przez „dziadków” do robienia chust.

Julek już dawno był w cywilu. W spadku po nim dostałem jego broń i numer w szatni C34.

Jeżeli chodzi o broń to była naprawdę dobra. Numer pamiętam do dziś – MS12507. W dzień strzelania, a było to moje pierwsze strzelanie z nowej broni, poszliśmy na strzelnicę oczywiście ze śpiewem na ustach. Okopaliśmy broń, pięć pocisków w magazynek i już leżymy na stanowiskach. Miałem mieszane uczucia jak mi pójdzie. Lufa pod cel, wstrzymany oddech, sto metrów do tarcz. Pada komenda. Powoli naciskam spust. Poszedł pierwszy, po nim w krótkich odstępach następne cztery. Broń zabezpieczona a więc „powstań, do tarcz biegiem marsz”. Sprawdzam swoją tarczę. Szok. Cztery dziesiątki i jedna siódemka. Jest super. Obok mnie Marek. Widzę po jego minie, że też nieźle wystrzelał. Ma o jeden lepiej niż ja.

No to broń mam naprawdę dobrą. Po strzeleniu na specjalnych stołach podwieszonych na ścianie korytarza czyścimy kałachy do przesady. Nie tylko swoje. Broń „dziadków” też ma lśnić. Taka jest kolej rzeczy.

Broń zdajemy do magazynu, który zostaje zamknięty i zaplombowany. Do końca moich dni służby na wszystkich strzelaninach nie zszedłem poniżej czterdziestu pięciu na pięćdziesiąt możliwych. U Marka była podobna sytuacja.

W trakcie naszej służby dołączyli do nas koledzy z tzw. szkółki, która znajdowała się w Bemowie Piskim.

Byli oni poboru styczniowego a my nazywaliśmy ich żartobliwie Pingwiny. Starzy żołnierze codziennie po obiedzie dość głośno ogłaszali ile dni zostało im do wyjścia. Ci, co mieli już gotowe chusty prezentowali je wszystkim bez względu czy była to bateria I, II, III czy też PTG albo pluton ochrony.

Niech nikt nie myśli, że robiąc chusty czy fałę omijała mnie tzw. docierka. Nie, nie. Tak dobrze nie było. Wszystko robiliśmy na komendę. Generalnie wszędzie poruszaliśmy się biegiem a wszystkie zachcianki rezerwy trzeba było wykonywać szybko i bez marudzenia. Od czasu do czasu było pompowanie a w godzinach wieczornych musieliśmy opowiadać kawały, mówić wierszyki lub wymyślając gadać o jakiś ciekawych wydarzeniach z cywila. Nigdy jednak nikt nie zastosował w stosunku do nas przemocy fizycznej. A że chwilami mieliśmy dość? Trudno. Zdawaliśmy sobie sprawę, że kiedyś to się skończy.

7. ALARM

- Na trzeciej baterii alarm bojowy! – dobiega z korytarza.

Zrywamy się z łóżek. Plecak gotowy trzeba tylko przymocować do niego zrolowany koc zabezpieczony trzema rzemykami.

Ustawiamy się pod drzwiami magazynu broni skąd pobieramy kałachy, maski i hełmy. Wszystko to na siebie i biegiem do garażu. W pierwszej chwili odpalamy Ziły. Wiadomo – benzyniaki. Muszą trochę pochodzić żeby się silniki rozgrzały.

Wyjeżdżają nimi Paweł i Piotrek. Nasza działka z Markiem to Krazy. Wskakuję do pierwszego. Rzucam plecak na siedzenie. Giwera przy sobie. Broni nie można zostawić. Naciskam na starter. Ok. zaskoczył. Wchodzę do drugiego. Jak na złość. Rozrusznik zakręcił trzy razy i koniec. Marek odpalił swoje dwa bez problemu.

- Marek! – krzyczę – patrz skurwysyn jeden nie zaskoczy. Żeby go szlag trafił. Przedwczoraj dziada żeśmy odpalali i było dobrze a teraz stanął okoniem.

- Chodź jedziemy tymi dwoma a jak wrócimy to odpalimy go na zaciąg. Hol jest pod ścianą.

Jedziemy na strefę baterii technicznej pod magazyny rakiet. Razem z Markiem wycofujemy się pod naczepy, podnosimy do góry łapy podporowe i wyjeżdżamy z nimi na zewnątrz. Na ich miejsce Paweł z Piotrkim wprowadzają Ziły sprzężone z naczepami STZ.

Są to specjalne naczepy do przewozu rakiet na wyrzutnie. Zostawiamy samochody i biegiem wracamy do garażu. Pomimo niskiej temperatury pot leje się nam po plecach, ale nie ma czasu na to żeby, chociaż o tym myśleć. Trzeba uruchomić Kraza.

W garażu czeka na nas plutonowy. Już z daleka zauważamy, że niespokojnie drepcze wokół samochodu.

- No i co goście. Nie odpalił?

Wysuwam się przed Markiem – obywatelu plutonowy. Przedwczoraj normalnie go odpaliłem. Nie wiem, dlaczego dziad zdechł, ale podejrzewam, że szlag trafił rozrusznik.

- No chyba się zgadza – odpowiedział – ja też przed chwilą próbowałem i ani nie jęknął. Na szczęście nie są one potrzebne, ale odpalić i tak trzeba.

- Zostaniecie z T. tutaj. Odpalcie go na zaciąg tylko tak żeby nikt nie widział. No i trzeba nim zrobić rundkę, niech się rozgrzeje. Ja lecę na strefę i w razie, czego odstawię naczepy. A wy działajcie. Zaczepiamy z Markiem hol. Nikogo nie ma a więc rura. Po paru metrach silnik zaskakuje.

- Marek! Ja jadę zrobić rundkę! – próbuję przekrzyczeć ryk silnika – jak wrócę to zrobimy porządek. Trzeba będzie później pomóc im przyprowadzić resztę kłopotów!

- Dobra zasuwasz!

Wskakuję do kabiny. I znów giwera koło siebie a plecak na siedzenie. W tym momencie otwierają się drzwi od strony pasażera i wskakuje Piotrek, który też przybiegł ze strefy.

- Co? Nie odpalił normalnie? – pyta.

- No nie. Chyba poszedł rozrusznik – odpowiadam.

- Dobra. Naprawię to. Jedziemy pod magazyn. Ja tam zostanę a ty wrócisz na plac. Jak trzeba będzie ściągnąć sprzęt to dam wam znać.

Jedziemy na strefę. Przejeżdżamy przez bramę. Przez tego cholernego Kraza ręce trzęsą mi się jak galareta. Dociskam pedał gazu a nie biorę pod uwagę tego, że ciągnik siodłowy bez naczepy jest lekki. Wchodzimy w zakręt i...nie nadążam żeby odbić kierownicą w drugą stronę. Lecimy do rowu prawą stroną. Samochód jest przechylony. Próbuje wyjechać, ale jest ślisko i nie ma najmniejszych szans. Koła kręcą się, ale brak przyczepności powoduje to, że zakopuje się jeszcze bardziej.

- Ja pierdolę! Ale żeś wyrznął – krzyczy Piotrek – nie wyciągniemy go bez pomocy balastowego. Nasze nie dadzą rady.

- To ja biegnę po Waldka albo Leszka. Niech go wyciągną.

- Dobra. Biegnij.

Wyskakuję z kabiny i kątem oka widzę zbliżającego się chorążego Tomasza O.

„No to mam już ciepło” – zdążyłem tylko pomyśleć, ponieważ chorąży już był przy mnie.

- *A to, co? Co ty kurwa rajdy tu uskuteczniaasz?*
- *Obywatelu chorąży. Wpadłem w poślizg i ściągnęło mnie.*
- *Zesrało się. Widziałem jak zapierdalałeś aż się kurzyło.*
- *No spieszyłem się, bo przecież jest alarm.*

Popatrzył na mnie i powiedział:

- *Co ty mi tu pierdolisz za uszami. Padnij i czołganiem naprzód.*

Padłem na zmarzniętą ziemię, ale już słyszę.

- *Powstań i biegusiem po kogoś, kto cię wyciągnie. Masz szczęście, że dowódca tego nie widział, bo zamiast na strefę to pojechałbyś na Podjuchy albo i jeszcze dalej. Dawaj, biegiem i żeby mi po tym ślad nie został. Nie, czekaj! Jedzie duży. Załatwiał to szybko.*

Faktycznie, jedzie Waldek.

Rozciągamy linę i zaczepiamy ją na hak. Chwila moment i auto wyciągnięte. Dziękuję Waldkowi a potem biorę łopatę i zacieram szybko ślady w rowie. Silnik cały czas pracuje. Po chwili nie ma śladu, że coś w tym miejscu się wydarzyło. Oglądam Kraza. Lekkie zadrapanie zderzaka i drzwi. Nie ma problemu. Do jutra to wszystko będzie na cacy.

Wracam na park samochodowy. Tym razem powoli. Marek już wie o mojej małej kraksie. Bez zbędnych pytań zaciera ślady na samochodzie. W garażu jest trochę farby. Parę machnięć pędzlem i po problemie. Pozostało lekkie wgniecenie, ale nie rzuca się w oczy. Wracamy na strefę, aby przyprowadzić resztę samochodów. Alarm został już odwołany.

Samochody ustawiliśmy w garażu oprócz tego, który trafił na PSO w celu wymiany lub naprawy rozrusznika.

Z daleka widzę, że zbliża się plutonowy.

- A ty, co? Na rajdzie jesteś?

- A tam. Wpadłem kurwa w poślizg i stało się.

- Ja ci dam poślizg – powiedział – za karę, wszystkie auta mają lśnić do jutra. I chuj mnie interesuje jak ty to zrobisz.

- Rozkaz obywatelu plutonowy – a w duchu cieszę się, że tylko na tym się skończyło.

Na drugi dzień auta lśniły. Nie ukrywam tego, że gdyby nie pomoc Marka i Pawła na pewno sam jeden nie dokonałbym tego. Piotrek jak to określił miał za cienko żeby to robić.

Przez cały okres służby przeżyliśmy wiele alarmów, ale nigdy już samochody nie odmówiły nam posłuszeństwa. Rozrusznik został naprawiony i od tego momentu palił jak przysłowiowa pszczołka.

Rzadko, kiedy w czasie alarmów wyjeżdżaliśmy wszystkimi autami, ale w gotowości były zawsze – sprawne, czyste i zatankowane.

Generalnie ogłaszane alarmy nie były już tak uciążliwe, ponieważ zawsze dzień wcześniej wiedzieliśmy, że coś się szykuje. Moje wyjazdy, pomimo, że zrobiło się ciepło i oblodzenie znikło, nie były już rajdowe. Raz się sparzyłem i od tego momentu chuchałem na zimne.

Mój wybryk poszedł w niepamięć. Oczywiście od czasu do czasu, co niektórzy przypominali mi o tym.

- *No i jak tam rajdowiec? – zapytał Leszek. Był cały umorusany smarami. Jego Kraz miał defekt zawieszenia i stał na PSO rozebrany. Mechanicy swoje a Leszek swoje. Taki już był, że musiał patrzeć przez ramię, co robią a sam też angażował się w naprawach.*
- *A poszło to w czorta – odpowiedziałem – nasz dowódca nie wspomina o tym tylko ty drążysz temat.*
- *Mnie to wali. Tak tylko z ciekawości zapytałem.*
- *Uważaj, bo dostaniesz kocięj mordy jak będziesz tak w to wnikał – odpowiedziałem ze śmiechem.*
- *O masz. Stary się znalazł. A tak nawiasem mówiąc to jak wam idzie ze starymi? – zapytał.*
- *Spoko. Idzie wytrzymać – wtrącił Marek – Piotrek B. i Marek M. są naprawdę w porządku a i z innymi idzie wytrzymać.*
- *Słyszałem, że pucujecie się z falami i chustami.*
- *A tam pierdolisz głupoty. Jak się pucujemy? Dają do roboty to robimy. Lepsze to niż nocne ćwiczenia. Zresztą zobaczymy, do kogo przyjdiesz jak tobie trzeba będzie robić, chociaż do cywila to mamy jak młoda kurwa do renty.*
- *Dobra, dobra nie denerwujcie się. W końcu jesteśmy z jedne fali.*
- *Ok. Leszek. Wszystko jest dobrze. Nieraz trzeba na siebie trochę pokrzyczeć, bo jak mówi stare powiedzenie „z miłości to i kota można zagłaskać na śmierć”.*
- *Ha ha ha! – roześmialiśmy się wszyscy – dobre to. Musimy zapamiętać!*

Podczas pełnienia służby przeżyliśmy wiele alarmów. Niektóre były ostre. Trzeba było wyprowadzić wszystkie samochody na strefę. Niektóre były łżejsze, to znaczy alarm był ogłoszony, ekwipunek i giwera na sobie, po czym bieg do garażu, ale bez wyjazdu samochodów. Jak służbę oficera dyżurnego miał nasz szef baterii to prawie na sto procent można było spodziewać się ogłoszenia alarmu. Najczęściej między czwartą a piątą rano.

Szef chorąży K. nie tylko umiał nam życie alarmami. Bardzo często sprawdzał porządki. Dostawał wręcz furii jak znalazł pod materacem jakieś schowane rzeczy. A uchowaj boże jak było to jedzenie. Najczęściej młode wojsko chowało chleb, żeby w nocy jak myszy schrupać go ze smakiem. Perfekcyjnie sprawdzał również porządki w szafkach. Szuflada w niej podzielona była na dwie części. Rzeczy, które były tam przetrzymywane, musiały być ułożone jak lustrzane odbicie. No i mydła. Otwierał mydelniczki i dokonywał kontroli czy nie ma tam przyklejonych włosów. Było dobrze dawał spokój. Nie, rzeczy trafiały na podłogę.

Gdy ogłaszał alarm nie zwracał za bardzo uwagi na nas tylko sprawdzał, w jakim stanie zostawiliśmy nasze pomieszczenie. Nie było takiej opcji żeby po naszym wybiegnięciu przed budynek zostały nieporządki.

Wyznawał zasadę – węże mogą chodzić po stołach, ale porządek ma być. Pod tym względem był bardzo, ale to bardzo wymagający. Z początku było ciężko. Potem człowiek się przyzwyczaił.

8. WZOROWY KIEROWCA TUŻ PRZED OBCINKĄ

- Obywatelu poruczniku. Dyżurny PKT bombardier Chojnowski melduje, że podczas pełnienia służby nic ważnego nie zaszło – zameldowałem po wejściu do kancelarii porucznika B. Jak zwykle uśmiechnął się. Na pagonach lśniły mu już trzy gwiazdki. Był pełnym porucznikiem. Awansował. Z naszej baterii awans otrzymał plutonowy K. do stopnia sierżanta, czy jak kto woli ogniomistrza.

- Siadaj facet. Widzę, że rozkazy wyjazdów wypisane. A jak tam książki i rozliczenie paliwa? – zapytał.

- Wszystko pod kontrolą obywatelu poruczniku, tylko coś mam ze wzrokiem. Jakoś mnie oślepiło czy co? - odpowiedziałem, robiąc wesołą minę.

- Co cię oślepiło?

- A bo od porucznika tak jasno świeci z pagonów.

- Facet. Nie przyginaj – rzekł z uśmiechem i dodał – za to u ciebie na pagonach widzę jakieś dwie belki z gwiazdką. Co to? Awansowałeś!?

Spojrzałem kątem oka na swoje dystynkcje. O kurwa. Na pagonach miałem stopień majora. No tak. Teraz zrozumiałem, dlaczego moje moro wieczorem było powieszone za łóżkiem a rano leżało na taborecie. Takie numery nieraz chłopaki robili. Jasny gwint, ale wpadka.

Ściągnąłem dystynkcje i schowałem do kieszeni.

- No i widzi porucznik jak się nudzą. Ja zapierdalałam popołudniami w kancelarii a te kurwegi kombinują jak by tu komuś zrobić numer – wyjaśniłem.

- Ładne numery – powiedział porucznik i lekko szarpiąc za koniuszek wąsa dokończył – siadaj, bo musimy uzgodnić jedną rzecz.

Usiadłem obok niego. Otworzył notatnik, przewrócił parę kartek i powiedział:

- No to tak facet. Trzeba wyznaczyć czterech kierowców do odznaki wzorowy kierowca. Ja wstępnie już wyznaczyłem kierowcę autobusu, bo należy się jemu. Pozostaje jeszcze trzech. Kogo widzisz?

- Hm. Tak naprawdę to sam bym chciał dostać.

- Na to mamy jeszcze czas. W swoim czasie dostaniesz. No, słucham propozycji.

- Poruczniku. Widzę dwóch – Piotrek B. i Marek M.

- A kto trzeci?

- No ja.

- Ale z ciebie pila. Facet wytrzymaj. Za pół roku dostaniesz na sto procent. A więc?

- Nie wiem. Niech porucznik sam decyduje.

- Dobra. Jak tak to tak. Zapisuje: kapral F., bombardier M., bombardier B., i...major Chojnowski – powiedział i roześmiał się głośno.

- *Poważnie poruczniku? – zapytałem.*
- *Całkowicie poważnie. Oczywiście bez tego majora.*
- *Dziękuję bardzo obywatelu poruczniku.*
- *Spoko. Widzę przecież jak się cieszysz. W takim razie następnymi będą Marek T., Leszek B., Waldek P., a czwarty to zobaczymy w swoim czasie.*

Wyszedłem z kancelarii i obrałem kurs na park samochodowy. Garaże były pootwierane na oścież. Wszedłem do naszego i zobaczyłem obok Zilów Piotrka i Marka T.

- *Co tam u B.? – zapytał Piotrek.*
- *A no właśnie przed chwilą ustalił, kto dostanie wzorkę kierowcy.*
- *No i?*
- *Wszyscy od nas. F., i dwóch naszych dziadków – powiedziałem patrząc z uśmiechem na niego – powiem tak jak zapisał: bombardier Piotr B. i bombardier Marek M.*
- *To ja też się załapałem?*
- *Oczywiście, że tak.*
- *Widzę, że to chyba twoja robota. Marek! – krzyknął w stronę PSO. Po chwili podszedł do nas Marek. Ręce trzymał w kieszeniach, bluza rozpięta, szelki opuszczone wzdłuż nogawek spodni.*
- *Co tam Piotrek? – zapytał.*
- *A właśnie młody wraca od B. Dostajesz wzorkę kierowcy.*
- *Tak? I kto jeszcze?*
- *No i ja. Acha jeszcze F.*

- *A to ci nowina. Ale z tego, co pamiętam, zawsze było czterech. Kto jeszcze?* – zapytał patrząc w moją stronę.

- *No i ja – odpowiedziałem nieśmiało.*

- *To było do przewidzenia. Pisarz ma być bez wzorki? Pewnie sam się zapisał, co?*

- *Nie. O tym decydował porucznik. Co ja mam do gadania?*

- *W porządku – powiedział Marek i wyszedł razem z Piotrkim.*

- *Poważnie mówileś?* – zapytał mnie Marek, gdy tamci się oddalili.

- *Całkowicie. A żeby wszystko było na cacy to już z góry wiem, że następnymi do wzorki będziesz ty i Leszek z Waldkiem.*

- *To super. Gdybym ja był pisarzem to na pewno miałbym ją już teraz. Ale nie ma sprawy. Poczekam. Ważne, że pamiętałeś o mnie.*

- *Marek. Kto, jak kto ale ty? Idziemy razem do przodu to idziemy. Popatrz jak to się ułożyło. Obaj jesteśmy z jednego poboru, ja pisarz a ty pomocnik szefa. Na jednej baterii, w jednej drużynie, na jednej sali. Obaj bombardierzy. Z jednego miasta.*

- *I obaj razem wyjdziemy – dopowiedział.*

- *No dokładnie.*

- *T. nakarmileś króliki – zapytał sierżant K. Marka.*

- *Tak jest obywatelu sierżancie.*

- *No to dobrze. Możesz im podrzucać marchewkę i coś tam jeszcze.*

- Nie ma sprawy sierżancie. Dostają non stop witaminki. A spasionie są jak byki.

- Ok. zobaczmy.

Za budynkiem sztabowca, co niektórzy z kadry hodowali króliki. Jedno z naszych codziennych zadań było posprzątanie klatek i nakarmienie ich. Generalnie to Marek cały czas opiekował się królikami sierżanta. Były zadbane i dość grubawe. Co jakiś czas nasz dowódca drużyny zaglądał do nich. Nigdy nie powiedział złego słowa, bo Marek naprawdę solidnie wykonywał swoje obowiązki hodowlane. Gdy po jakimś czasie sierżant, doszedł do wniosku, że nie ma, co za często na nie patrzeć, w jednej z klatek zrobiliśmy mały schowek na... dwie butelki wódki.

Wiedzieliśmy, że małymi krokami zbliża się do nas ceremonial tzw. obcinki, a co za tym idzie, stare wojsko przy takiej „uroczystości” lubiło raczyć się alkoholem. W jednostce tylko w kantine bywało piwo, ale dla żołnierzy było ono niedostępne. Wódkę przywiózł nam po kryjomu kierowca autobusu F.

Mieliśmy nadzieję z Markiem, że przyda się nam ten alkohol. No może nie tak dosłownie nam.

Miałem służbę na PKT. Siedzieliśmy razem z Markiem i wykańczaliśmy jedną z chust. Ja kolorowałem herb Gryfina a Marek, Łodzi.

Zadzwoił telefon. Muszę tu napomknąć, że jeden aparat miał połączenie bezpośrednio z oficerem dyżurnym jednostki a z drugiego można było połączyć się z każdym numerem w sztabowcu oraz z poszczególnymi bateriami. I to właśnie zadzwonił ten drugi.

Nie wiedziałem, kto dzwoni, pomimo, że było już po godzinie dwudziestej, więc na wszelki wypadek powiedziałem do słuchawki:

- Dyżurny PKT bombardier, Chojnowski.

- Dobra, dobra – usłyszałem głos Piotrka – jak wam tam idzie?

- Spoko dziadku – odpowiedziałem – jeszcze jakieś piętnaście minut i będzie koniec.

- Ok. Jak skończycie to zabierzcie wszystko ze sobą i dawać na baterie.

- W porządku dziadku.

- I od dzisiaj nie ma dziadku – powiedział Piotrek, po czym usłyszałem dźwięk odkładającej słuchawki.

- Słyszałeś Marek? Czyżby dziś miał nastąpić ten dzień? Wyraźnie powiedział, że koniec z dziadkowaniem.

- Całkiem możliwe. Zobaczymy. Kończmy to.

Zapakowaliśmy chustę oraz przybory pod bluzy i poszliśmy do koszarowca. Wszędzie było cicho. Była sobota. Większość starych żołnierzy oglądało western w świetlicy.

Na korytarzu widać było tylko podoficera z dyżurnym. Z dość niemrawymi minami weszliśmy do sali. Pięciu naszych „dziadków” siedziało na łózkach. Na nasz widok zaprzestali rozmów. Piotrek podniósł się ospale z łóżka i powiedział:

- No pokażcie jak wyszła.

Wyciągnąłem chustę za pazuchy i rozłożyłem ją na stoliku. Podeszli wszyscy i patrzyli. Piotrek podniósł ją i zarzuciwszy ją na ramiona zapytał pozostałych:

- I jak chłopcy?

- Zajebiście – powiedział Marek M. – ale moja i tak jest lepsza.

- A tam pierdolisz. Wszystkie są takie same.

- No przecież żartuję.

- Dobra idę ją schować. Zaraz wracam.

Wyszedł na korytarz. My staliśmy na środku pokoju i patrzyliśmy w ich stronę.

- Zaraz wróci Piotrek to pogadamy – powiedział jeden z nich.

Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Piotrek. Zamknął za sobą starannie drzwi i dosiadł się do pozostałych.

- No schowałem ją głęboko, bo jakby tak któryś ją znalazł to stary wyszedłby bez chusty.

- A co ty myślisz, że trepy nie wiedzą o tym. Jakby chcieli to wszystkie by znaleźli i tyle by z tego było. A już na pewno K. Ten to ma nosa – powiedział Marek M., po czym z lekkim uśmiechem zwrócił się do nas:

- Doszły nas słuchy, że w klatce z królikami coś chomikujecie. Nie wnikiem, co, tylko tak sobie doszliśmy do porozumienia, że może to się zepsuć. Dzisiaj jest sobota, więc można sobie chlapanąć a wy szykujcie dupska. Możecie wyjść. Zawołamy was. Pojedynczo!

Wyszliśmy z Markiem na korytarz. Otworzył on szatnię.

- No to Marek doczekaliśmy się. Nareszcie. Zero porządków i luz- powiedziałem- boisz się?

- E tam. Jakoś to będzie. Przecież wszyscy przez to przeszli – odpowiedział z niezbyt wesołą miną.

- Marek!! – usłyszeliśmy wołanie. A więc nie T. tylko Marek.

- Trzymaj się ziomal – powiedziałem za odchodzącym kolegą.

Przez zamknięte drzwi dotarły do moich uszu słowa „raz”, po czym dał się słyszeć odgłos spadających pasów na miejsce, w którym plecy tracą swą szlachetną nazwę, „dwa” i to samo, „trzy” i jeszcze raz. Otwierają się drzwi i wyskakuje Marek krzycząc – Trzysta sześćdziesiąt pięć!!

Ta liczba to ilość dni do naszego wyjścia do cywila. Marek uśmiechnięty podbiega do mnie. Widzę, że jest pełen radości.

- Jest ok. – mówi szeptem.

- Janek!!

O kurwa. Czas na mnie. Na ugiętych nogach wchodzę do pokoju. Widzę zsunięte trzy taborety nakryte kocem. Dziadki stoją obok nich uzbrojeni w skórzane pasy. Marek M. podchodzi do mnie i sprawdza czy nie mam jakiegoś zabezpieczenia.

Nic nie wyczuwa, bo każe mi się położyć na taboretach. I tak jak poprzednio usłyszałem. Rytuał się powtarza: „raz”, „dwa”, „trzy”. Za każdym razem pasy spadają na moja pewną część ciała. O dziwo nie bardzo to czuję. Pod spodniami moro mieliśmy ubrane z Markiem spodnie dresowe. Nie wyczuli ich a my nie odczuliśmy tych razów zadawanych przez naszych „dziadków”.

Wybiegam na korytarz i również wykrzykuję liczbę 365.

Podbiegam do szatni. Marek czeka tam na mnie. Wpadamy sobie w objęcia jak bracia. Wtedy dopiero dociera do nas to, że skończył się dla nas ten gorszy czas. Teraz będzie lepiej a nawet bardzo dobrze. Popuszczamy pasy, ale bez przesady, opinacze na ostatnią dziurkę i patrzymy w lustro.

- Marek. Nie wierzę własnym oczom. Ja pierdolę, nareszcie - ziomal.

- Nareszcie. Teraz będzie naprawdę z górki.

Zamykamy szatnię i wchodzimy na salę. Popatrzyli na nas, uśmiechnęli się.

- No. Teraz wyglądacie tak jak powinno się wyglądać – powiedział Piotrek.

A Marek dodał:

- Dokładnie. To, co? Dostaniemy coś za to?

- No jasne „dziadku”, to znaczy Marek – poprawilem się.

- Z początku tak będzie. Później przywykniecie.

Poszliśmy z Markiem w stronę klatek. W jednej z nich króliki pilnie strzegły nasze alkoholowe akcesoria. Chowamy je pod bluzy i od tyłu budynku pukamy w okno. Po chwili podajemy butelki przez szparę. Inaczej nie dało rady. Przejście obok dyżurki z alkoholem w dniu dzisiejszym byłoby ryzykiem. Służbę oficera pełnił chorąży Tomasz O. A co by było jakby tak przyszło mu do głowy, aby sprawdzić, co tam taszczymy schowane pod bluzami. Masakra.

Wracamy do pokoju. Światło jest zgaszone jednak przez otwarte drzwi do izby dociera blask lamp z korytarza. Wódka poszła w ruch. Zakąska na szafkach. Popitka też. Ok.

Jest wesoło. Żartujemy, opowiadamy sobie kawały. My z Markiem nie pijemy. Ja mam służbę na PKT a on po prostu sam nie chciał. Im to pasuje. Więcej dla nich. Spoglądam na zegarek – „O kurwa. Za piętnaście dziesiąta”. Ubieram czapkę i biegiem na PKT. Wszystko jest w porządku. Idę na plac samochodowy. Garaże pozamykane, zaplombowane. Słyszać lekki szum wiatru, który buszuje w liściach drzew. Mam wrażenie jakby szeleściły one na moją cześć. Podchodzę do okienka dyżurki i składam meldunek chorążemu.

- A co tak późno? – pyta.

- Zrobiłem dokładny obchód garaży obywatelu chorąży – odpowiadam.

- Tak? A ja myślałem, że poszedłeś na lewiznę.

- *Gdzieżbym śmiał. Służba to służba. A zresztą ja na lewizny nie chodzę.*

- *No popatrz, jaki porządny – wychylił się przez okienko – a ten pas to jaj ci nie upierdoli?*

- *Nie ma obawy obywatelu chorąży, jakoś tak mi się zsunął.*

- *Dobra, dobra. Wiem, co jest grane. Jak wszystko jest w porządku to spać. I żadnych wygłupów.*

- *Rozkaz obywatelu chorąży. Odmeldowuję się – oddałem honory i rażnym krokiem przekroczyłem progi budynku. Marek jeszcze nie spał. Cekał na mój powrót. Prawdziwy przyjaciel. Ubrany był w pidżamę. Rozebrałem moro i udałem się do umywalni. Po raz pierwszy bez komendy, zbiórki i bez biegu. Odkręciłem kurek z wodą. Przemyłem twarz i spojrzałem w lustro. Uśmiechnąłem się do własnego odbicia i cicho powiedziałem: „wąsy szybko urosną, czekałeś na to bardzo długo”.*

Po powrocie do pokoju nie zastaliśmy tam starych. Pewnie poszli oglądać film albo może szukali czegoś żeby się dopić. W pokoju zostało nas sześciu. Koledzy złożyli nam gratulacje. Długo nie mogłem usnąć. W końcu dzień był pełen wrażeń. Marek również kręcił się na łóżku. Bezsennność dotknęła również jego.

Poniedziałek. Z samego rana dowiaduję się, że przez cały tydzień nie będzie porucznika B. a więc jakby, co to mam się kontaktować z

zastępcą dowódcy do spraw technicznych, majorem Aleksandrem B. Spoko. Już wtedy mówiliśmy we własnym gronie na niego Oluś.

Od rana nasza jednostka pełniła dyżur bojowy. Major był na terenie jednostki prawie przez cały czas. Generalnie w razie nieobecności porucznika B. wszelkie sprawy zgłaszałem majorowi albo sierżantowi Zbigniewowi S.

Po południu przyjmuję służbę na PKT. Tym razem już na luzie i spokojnie. Oczywiście wszystko odbywa się regulaminowo, poczynawszy od odprawy służb i wart, a skończywszy na fizycznym objęciu stanowiska dyżurnego punktu kontroli technicznej. Na drugi dzień rano meldunek składam sierżantowi S., ponieważ major znajduje się na strefie bojowej. Okazuje się, że sierżant ma jakąś robotę papierkową dla mnie związaną z plutonem transportowo-gospodarczym. Siadam u niego w kancelarii i piszę miesięczny plan zajęć szkoleniowych. Robię to spokojnie i dokładnie. Staram się jak mogę, bo sierżant jest naprawdę super gość.

- Skończyłeś? – usłyszałem pytanie od wchodzącego sierżanta.

- No prawie sierżancie koniec.

- To dobrze. Jak skończysz to pójdziesz na park samochodowy i tam poćwiczycie sobie cofanie i jazdę po łuku. W piątek ty, Marek M., Marek T., i jeszcze ktoś tam, pojedziecie do Gryfic autobusem na egzamin kategorii E prawa jazdy, chyba, że nie chcesz?

- No jak nie chcę – odpowiadam – przecież dodatkowa kategoria w cywilu się przyda.

- W cywilu? A nie zastanawiałeś się nigdy żeby zostać w armii?

- I co miałbym tu robić?- zapytałem.

- Z tego, co wiem, to jeździłbyś jako kierowca autobusu. Pensja w miarę, do tego mieszkanie, jakieś tam pieniądze na zagospodarowanie i inne duperele.

- Powiem szczerze, że z początku myślałem o tym. Ale mnie sierżant teraz zaskoczył.

- No spokojnie. Nie oczekuje odpowiedzi już. Ja wiem, że to trudna i bardzo odpowiedzialna służba, dlatego pomyśl a może przy okazji porozmawiaj z T., Kto wie czy też nie chciałby zostać. Dobra, szoruj teraz poćwiczyć.

Idąc na plac zastanawiałem się nad propozycją sierżanta. Podejrzewałem, że musiało to wyjść od kogoś „wyższego”, a on tylko mi to przekazał. Ciekawe. Może faktycznie było by dobrze. Od najmłodszych lat wojsko było dla mnie bardzo ciekawą instytucją, ale żebym miał być żołnierzem zawodowym, o tym nie myślałem.

Na placu poćwiczyliśmy trochę technikę jazdy. Raz szło lepiej a raz gorzej. Po południu w pokoju PTG przepytywaliśmy się z zakresu przepisów ruchu drogowego. Egzamin praktyczny swoją drogą a testy swoją.

W piątek rano, naszym autobusem pojechaliśmy do Gryfic. Wjechaliśmy na teren jednostki numer 3692. Popatrzyłem dookoła. Tu wszystko się zaczęło. Przyjazd, fryzjer, mundur, kaprale, strach i panika. Jakże inaczej czułem się obecnie. Pełny luz.

Weszliśmy do pokoju szkoleń kierowców i tam rozwiązywaliśmy testy. Nie zrobiłem ani jednego błędu. Następnie na placu czekał na nas egzamin praktyczny. Jedni zdawali na kategorię E, a inni na D. Ci, co na autobus poszli w kierunku prawym, my na kategorię E na lewo. Czekał tam na nas Star 29 wraz z przyczepą. Całość, oplandekowana, także nie było mowy, aby zerknąć z kabiny do tyłu przez lewe ramię. Tylko jazda „na lusterka”.

Egzaminatorem był oficer w stopniu majora. Usiadłem za kierownicą. Wyregulowałem sobie lusterko.

- Nazwisko – usłyszałem.

- Bombardier Chojnowski – odpowiedziałem.

- Chojnowski? Czy ty czasami nie jesteś pisarzem u porucznika B.?

– zapytał major.

- Tak jest obywatelu majorze!

- Acha. Czyli rozumiem, że egzamin zdasz śpiewająco. Kto, jak kto ale pisarz szefa służby samochodowo-czołgowej musi świecić przykładem.

„No ładny gips” – pomyślałem – „przykładem, tylko, że jak przyjdzie cofnąć to zobaczy, jaki ze mnie przykład”.

- Dobra. Odpalamy maszynę i jedziemy na wprost. Pomiędzy myjką a murkiem z prawej strony trzeba przejechać prawie na styk. Jak nie zarysujesz, będzie dobrze.

Włączyłem drugi bieg i powoli przejechałem przez wskazane miejsce.

- No całkiem dobrze – pochwalił mnie major – teraz kierunek na plac i tam zrobisz ósemkę. Jak się wyrobisz, będzie dobrze.

Wjechałem na plac i powoli wykonałem zadanie. W lusterku sprawdzałem tor jazdy przyczepy. Nie było najgorzej, zwłaszcza, że praktykę posiadałem z jazdy Krazem na poligon.

- Dobrze. A teraz cofniemy sobie. Jak cofniesz długość Stara z przyczepą to zdałeś. Masz trzy podejścia.

Pierwsze podejście. Po cofnięciu około pięciu metrów, przyczepa załamała się. Podjechałem do przodu, aby wyrównać zestaw.

Podejście drugie. To samo i to na tej samej długości.

Próbuję po raz trzeci. To samo.

„No to egzamin mam z głowy” – pomyślałem.

Zgasiłem silnik.

- No i co bombardierze – powiedział major – ja egzamin zdałem, a ty....Też zdałeś. Mocowanie dyszla ma luz i dlatego przyczepa ci uciekała. Wołaj następnego.

A więc kategoria E w kieszeni. Super. Nikt nie został przez majora obłany. Zdali wszyscy.

Wróciliśmy do naszej jednostki. Porucznik B. złożył nam gratulacje. W końcu zdało sto procent stanu osobowego.

Jakże wszystko inaczej wyglądało. W drodze powrotnej kupiliśmy piwo. Siedzieliśmy na sali i się nim raczyliśmy. I my i rezerwa.

Rano pobudka normalnie, ale do umywalni już nie biegiem i bez zbiórki. Owszem porządku trzeba było robić a służby nadal pełnić.

Jednak to wszystko było na luzie. Pasy nie uciskały już naszych żołądków a opinacze butów nie ściskały kostek u nóg. Można było nosić szelki, dzięki czemu spodnie trzymały się tak jak powinny. I ta atmosfera. Jakaś taka lepsza i spokojna. Nie byliśmy rezerwą, ale nasza służba obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni.

9. POZA JEDNOSTKĄ Z GIWERĄ W RĘKU

Zostałem powiadomiony przez podoficera dyżurnego, że mam zameldować się do porucznika B. Zapukałem do drzwi i po zezwoleniu na wejście zameldowałem się regulaminowo.

Porucznik, jak zwykle z uśmiechem, kazał mi usiąść i oznajmił mi nowinę.

- Jurto facet, razem z Pawłem W. i sierżantem P. jedziecie Krazem do Pyrzyc. Tam ładujecie sprzęt na wagon i lecicie z tym do Głowna. Kraz idzie do remontu. Oczywiście macie go pilnować jak oka w głowie. Nie ukrywam, że wasza podróż potrwa z cztery do pięciu dni. Nie chlać mi tam wody ani piwską. Z powrotem wracacie normalnym pociągami osobowym. Zrozumiano.

- Tak jest poruczniku – odpowiedziałem.

- No to dobrze. Widzę, że wąż ci się sypnął – dodał śmiejąc się.

- A no rośnie.

- No dobrze. Rano po apelu, weźmiecie swoje giwery, w Kraza i do Pyrzyc. Na wagonie zabezpieczycie go i już. Reszta jakby, co, to jutro.

- Poruczniku. A po co nam giwery? Przecież to tylko samochód a nie rakiety – zapytałem.

- Ach facet. Nie zadawaj mi takich pytań. Tak ma być i już.

- Trochę szkoda poruczniku, że aż pięć dni. Akurat moi starzy wychodzą do cywila. Trzeba będzie się z nimi jeszcze dziś pożegnać.

- Rób jak chcesz. W każdym bądź razie na jutro masz być gotowy.

- Rozkaz obywatelu poruczniku!

Podszedłem do drzwi.

- Obywatelu poruczniku, proszę o pozwolenie wyjścia.

- Dobra. Spadaj facet – odpowiedział, machając ręką.

Na baterii, jak zwykle podzieliłem się tą wiadomością z Markiem.

Obok stał Paweł.

- I co Janku? Jedziemy razem do Główna.

- Ano jedziemy – odpowiedziałem – a z nami jedzie Rumcajs.

- Tak, wiem już.

- Tylko żebyście się nie schlali po drodze – powiedział Marek.

- Tak jakbym słyszał B. – odpowiedziałem.

- Wiem jak to jest. Lejce popuszczone, bo za jednostką. Wszystko się może zdarzyć. A jeszcze jedziecie z Rumcajsem, no to już luz pełny.

Dobra. Idziemy do garażu, bo K. czeka tam na nas.

Poszliśmy wszyscy na park samochodowy. Cekał tam na nas sierżant K.

- Gościowie. Dlaczego w garażu nie jest pozamiatane? Co?

- Oj sierżancie – odpowiedział Paweł i dodał z uśmiechem – mamy za cienko na taką robotę.

- Za cienko? Jak chcesz W. to mogę ci zaraz pogrubić. Już w głowach się wam przewraca? Porządki mają być, bo jak nie to dopierdolę wam wszystkim i będzie odjazd do...

- Tak wiemy sierżancie – przerwał mu Paweł – na Podjuchy.

- No dokładnie. Za pół godziny sprawdzę – powiedział i wyszedł do kantyny. Lubił tam przebywać, zwłaszcza, że pracowała tam jego żona.

- No dobra chłopaki – rzekł Marek – bierzemy miotły i moment robimy porządk. Potem możemy się poopierniczać.

W przeciągu piętnastu minut garaż był posprzątany. Faktycznie, za pół godziny sierżant przyszedł sprawdzić. I chyba według niego było dobrze, bo kazał nam iść na papierosa.

Po apelu popołudniowym spakowaliśmy z Pawłem swoje rzeczy, które potrzebowaliśmy w podróży. Resztę, Marek schował do szatni. Poszliśmy do pokoju PTG gdzie zebrali się wszyscy rezerwiści i pożegnaliśmy się. Wiedzieli, że jutro mamy wyjazd i nie będziemy widzieć ich wyjścia. Nawiasem mówiąc przez dwa lata nie widziałem wyjścia do cywila żadnego rocznika. Albo byłem na urlopie, albo miałem wyjazd poza teren jednostki.

Rano, po apelu pobraliśmy broń i puste magazynki. Amunicję miał sierżant P. Wyjechalem Krazem z garażu i wraz z sierżantem oraz Pawłem skierowaliśmy się do Pyrzyc na bocznice załadowniczą. Po wjechaniu na wagon tzw. lorę, obsługa pociągu pokazała nam jak zabezpieczyć pojazd w razie ostrego hamowania składu. Były to grube, mocne druty, mocowane od zaczepów w samochodzie do specjalnych uszu w wagonie. Nasza podróż miała się odbywać w wagonie towarowym, ale przeznaczonym do przewozu osób. Frajda niesamowita.

Żadnego nadzoru. O przepraszam. Był sierżant P., ale nie wnikał zupełnie, co robimy. Oczywiście nie pozwalał nam na jakieś wybryki, ale też specjalnie nie naprzykrzał się nam. A wyznaczono go, dlatego, że Kraz ten był do obsługi stanowiska dystrybucji powietrza, którego był dowódcą.

We wcześniejszej treści tej książki opisałem, że raz wycelowałem w człowieka z broni. Tylko raz i to z pustym magazynkiem, właśnie w Pyrzycach.

Pod wieczór, siedząc razem w wagonie usłyszeliśmy odgłos cichego pukania, w zbiorniki paliwa samochodu. Wyskoczyliśmy z Pawłem na ziemię i zobaczyliśmy dwóch mężczyzn, którzy zagiętymi palcami, stukając w zbiorniki, sprawdzali ile w nich jest ropy.

Nie zastanawiając się, zdjąłem z ramienia broń. Zamek broni szczeknął złowrogo a oni chyba znali ten odgłos, bo tak jak byli pochyleni w takiej pozycji pozostali. Magazynki były bez naboji, ale o tym wiedzieliśmy tylko my.

- No i co panowie – powiedziałem – mała kradzież, tak?

- Schodzić z wagonu – rzekł Paweł, również trzymając kalacha skierowanego w ich stronę. Za moment był przy nas sierżant.

- Panowie żołnierze – odezwał się jeden z nich – my nic nie kradniemy. Byliśmy tylko ciekawi ile wchodzi tu litrów ropy. Takie wielkie te beczki. Ot zwykła ciekawość.

- I co? – zapytał sierżant – w palcach macie miarki. Pierdolenie o Szopenie. A te kanistry obok to też do mierzenia?

Nic nie odpowiedzieli. Wiadomo było, co chcieli zrobić. Zbiorniki ogromne to było by, z czego „doić”.

- No to jak będzie panowie? – zapytał sierżant.

- Panie sierżancie. Puśćcie nas – zaskamlał jeden z nich – obiecujemy, że więcej nas tu nie zobaczycie. Wynagrodzimy się jakoś.

- Zalatwajcie to z chłopakami – powiedział sierżant – jak wam odpuszczą to dobrze a jak nie traficie w odpowiednie ręce.

Taki był sierżant P. Bardzo go szanowaliśmy i to nie przez tą sprawę. Na co dzień był super. Traktował nas jak kolegów, przez co przebieg ćwiczeń zawsze był na medal. To samo mogę powiedzieć o chorążym Tomaszu O. Surowy, ale bardzo sprawiedliwy. Co się tyczy naszego sierżanta Kazimierza K. to bez komentarza. Super gość.

Podszedłem do Pawła, który cały czas trzymał ich pod bronią. Powiedziałem mu, co mamy robić.

- Ile macie tych baniaków? – zapytałem

- Dwa. Po dwadzieścia litrów. Ale możemy je wam zostawić, tylko dajcie nam spokój.

- A węża też macie?

- Tak. Mamy.

- Dobra. Zabierajcie to ze sobą i wypad do domu.

Chyba nie spodziewali się takiego obrotu sprawy, bo z tego wrażenia aż jeden z nich spadł z wagonu.

- No tak. Jeszcze chłopie giry sobie połam do szczęścia.

Jeden z nich wyciągnął pieniądze z kieszeni. Nie wiem ile tego było. Popatrzyliśmy z Pawłem na siebie.

- Nie róbcie z nas dziadów ani sprzedawczyków – powiedział Paweł.

- To podziękowanie – rzekł jeden z nich.

- Nie trzeba – powiedziałem – nam wystarczy tylko dobre słowo, o żołnierzach Ludowego Wojska Polskiego.

Okolo godziny dwudziestej pod skład podczepiła się lokomotywa. Obsługa składu sprawdziła czy wszystko jest w porządku, po czym pociąg ruszył powoli nabierając szybkości.

Obudziło nas szarpnięcie wagonów. Pociąg zatrzymał się przed stacją dość dużego miasta. Wychyliłem się z wagonu w momencie jak podchodził do niego maszynista.

- No chłopaki, macie przerwę. Ruszamy o osiemnastej, tak, więc cały dzień przed wami. Możecie nawet iść sobie do miasta, tylko pamiętajcie o odjeździe. Do osiemnastej nie ruszymy się z tego miejsca. Przed odjazdem dopiero przyleci lokomotywa z nową obsługą, więc życzę wam powodzenia, bo nasza robota się zakończyła. Trzymajcie się.

Poszedł w stronę lokomotywy, która po chwili odjechała. Zrobiliśmy śniadanie. Poranna toaleta odbyła się w wagonie.

- Sierżancie. Może tak skoczymy z Pawłem na miasto? – zapytałem.

- A co? Na zakupy?

- No tak. Może kupimy fajki i jakieś parę browarów, to podróż będzie miłsza.

- Dobra, ale pod jednym warunkiem. Najpóźniej za dwie godziny jesteście z powrotem. Acha, i zostawić giwery. Nie będziecie paradować z bronią po sklepach.

- W porządku. To my lecimy.

Poszliśmy przez tory prosto w kierunku gdzie było widać z daleka szyldy sklepów. Jakiś kilometr. W pierwszym napotkanym sklepie kupiliśmy papierosy i dosłownie cały plecak piwa. W tył zwrot i wróciliśmy do pociągu.

Przez ten czas sierżant namalował na wewnętrznej ścianie wagonu karykaturę Pawła, która przedstawiała wojskowy termos z rękoma i nogami oraz twarzą. Paweł nosił przydomek „Termos”. Tuż obok narysowana była mysz w wojskowym mundurze. To ja. Na drugiej stronie wagonu widniała na ścianie postać rozebranej kobiety. Możecie mi wierzyć albo nie. Jak przyszła później obsługa to nie mogli się napatrzeć. Nasz sierżant P. naprawdę miał talent. I to wszystko było w kolorach.

Zajrzał nam do plecaka, który Paweł wtarmosił do wagonu.

- No chyba lekka przesada – powiedział, – co to sklep monopolowy żeście ograbili?

- E tam sierżancie – odpowiedział Paweł – przed nami jeszcze cztery dni jazdy to kupiliśmy żeby się nie nudzić.

- No to dawajcie jedno. Mogę wam potowarzyszyć.

Otworzyliśmy butelki i sącząc piwo, opowiadaliśmy sobie różne historie z cywila. Sierżant od czasu do czasu też wspominał swoje młodościowe lata. Dowiedzieliśmy się nawet, że jest zapalonym modelarzem i nawet w Chojnowie ma znajomego, też modelarza, z którym utrzymuje stały kontakt. Tak zleciał nam czas do południa. Około czternastej przyszedł kolejarz i zawiadomił nas, że dziś nie pojedziemy. Skład ruszy jutro o siódmej rano. A więc następne piwo, i następne. W głowach nam szumiało, humor dobry. Siedzieliśmy w drzwiach wagonu.

Butelka w rękę, papieros w ustach i ciągnęliśmy opowiadania. Noc mieliśmy spokojną, ponieważ staliśmy na bocznicach.

Rano poczuliśmy szarpnięcie podczepianej lokomotywy. Przyszła nowa obsada i sprawdzwszy czy wszystko jest w porządku poinformowała nas, że jak tylko będą mieli zielone światło to ruszają. Po pół godziny skład ruszył. Jazda w dzień była dużo ciekawsza. Mijaliśmy wioski i miasteczka. Dość często nasz skład zatrzymywał się przed semaforami. Ale nie dziwota. To pociąg towarowy, więc pierwszeństwa na pewno nie ma. Przez pozostałe dni było tak samo. Gdy dotarliśmy, do Główna, w zakładach remontowych sprzętu wojskowego zostawiliśmy nasze „bydlę” i w drogę powrotną. Wracaliśmy oczywiście pociągiem osobowym do Gryfina. Z pod dworca do jednostki zabrał nas kolega Nysa. Sierżant został w domu.

Tak wyglądała nasza podróż do Głowna, podczas której po raz pierwszy i chyba ostatni skierowałem broń w stronę człowieka.

10. SZALONY SYLWESTER I NAUKA JAZDY

Do naszej jednostki zawitała unitarka poboru jesiennego. Porucznik B. obarczył mnie obowiązkami instruktora nauki jazdy. Jeździłem z nimi tak jak kiedyś jeździliśmy my, podczas szkolenia unitaryjnego. Najczęściej była to jazda na dwa samochody. W pierwszym jako dysponent jechał sierżant S. Przeważnie był to Star 29. Na skrzyni ładunkowej pod opieką dowódcy drużyny siedzieli przyszli kierowcy. Ja jechałem jako drugi, Zilem 157KW. Siłą rzeczy w kabinie miałem dwóch kursantów i to wszystko. Był to ciągnik siodłowy, więc nikogo z tyłu nie miałem. Nie byłem zbyt wymagający, pomimo, że byli to nasi młodzi. Chwilami patrząc na nich przypominałem sobie swoje szkolenie. Nieraz widziałem w ich oczach strach jak podniosłem głos, ale po chwili już byłem łagodny, bo wiedziałem, co to znaczy pierwsze dni w wojsku.

Jeździliśmy sobie po Ziemi Szczecińskiej. Niektórym szło dobrze, ale byli też tacy, przy których nogę trzymałem przy pedale hamulca a rękę blisko kierownicy. Oczywiście oprócz nauki jazdy nadal byłem pisarzem oraz pełniłem służby na PKT.

Chwilami dochodziło do krótkich spięć z sierżantem K. Wcale się nie dziwiłem. Ja byłem poza jednostką albo na służbie, Marek najczęściej pełnił służby podoficera dyżurnego baterii i był pomocnikiem szefa, a w garażu urzędował sam Paweł.

Sierżant K. bardzo często jak nas już dorwał mówił o moim pisaniu a Markowi przypominał fakt liczenia gaci. Ale pomimo tego bardzo go lubiliśmy i w miarę możliwości utrzymywaliśmy sprzęt w pełnej gotowości.

Na dworze było już zimno, wiadomo grudzień. Święta Bożego Narodzenia spędziłem w jednostce, Nowy Rok również. Zaraz po świętach dowiedzieliśmy się, że chorąży Leszek K. dostał od dowódcy zakaz opuszczania koszar. Widocznie w czymś podpadł i już. Któregoś wieczoru przyszedł na baterię i powiedział do mnie żebym odwiózł go do domu, ale tak, żeby nikt się o tym nie dowiedział.

- Pamiętaj, ani słowa. A kilometry to sobie rozpiszesz na nauce jazdy.

Z jednostki do Gryfina i z powrotem wychodziło 36 kilometrów. Obróciłem to moment. Jak mi nakazał, nikomu nie powiedziałem ani słowa. Jedyńm, któremu się zwierzyłem był Marek. Ale to, co innego. Do niego miałem pełne zaufanie.

Na drugi dzień, chorąży, który przyjechał do jednostki grubo przed kadrą, zawołał mnie na bok i zapytał:

- Powiedziałeś komuś?

- No, co chorąży?

- Jak już to obywatelu chorąży – dodał.

- Tak jest obywatelu chorąży.

- No. Już lepiej. I pamiętaj. Nawet rodzonej matce ani ojcu ani wujkowi, nie mówiąc tu o kadrze. Jakbym się dowiedział, że mnie sprzedałeś to do końca służby byś płakał.

- Może chorąży spać spokojnie. O przepraszam. Obywatelu chorąży. Ja nie jestem z tych, co to latają z wywieszonymi jęzorami i odstającymi uszami.

- Dobra. Trzymam cię za słowo.

W okresie między świętami a nowym rokiem do jednostki przyjeżdżało mniej kadry niż zazwyczaj. W końcu każdy miał rodzinę, żonę, dzieci. Nie znaczy to, że nic nie robiliśmy. Zajęcia odbywały się normalnie aczkolwiek w mniejszym składzie osobowym. Sporo kolegów wyjechała do domu na urlopy. Marek również pojechał. Zresztą jemu przysługiwał urlop rozłakowy. Na sali zostało nas tylko czterech. Cisza i spokój.

Po świętach część wróciła a co niektórzy pojechali witać sylwester we własnych domach. Marek wrócił też. Bardzo często chodziliśmy popołudniami do kancelarii porucznika B. Szybko załatwiałem sprawy papierkowe, po czym robiliśmy sobie herbatę lub kawę i obżeraliśmy się tym, co przywiózł z domu. Naszym przysmakiem był świeży chleb posmarowany stopionym smalcem z cebulką. Pychota. Zresztą od początku trzymaliśmy się razem i dzieliliśmy się wszystkim, co mieliśmy.

Sylwester oraz nowy 1987 rok zbliżały się szybko. W sylwestra z samego rana czekały na nas dwie wiadomości. Jedna dobra natomiast druga bardzo zła. Pierwsza to taka, że w autobusie zobaczyliśmy tylko kilku oficerów natomiast druga, że na bocznicę kolejowej tuż przy elektrowni Dolna Odra stoją wagony z koksem dla naszej jednostki. Bagatela – 360 t. Większa ilość miała trafić do Czarnówka, pozostała ilość do kotłowni w budynku zamieszkiwanym przez kadrę w Gryfinie.

Do akcji rozładunku i transportu zostały uruchomione trzy Stary, tyle samo Krazów oraz ciągnik rolniczy z ładowarką typu „Cyklop”. Oczywiście zostali też zaangażowani wszyscy ci, co nie mieli służb. Opał trzeba było załadować ręcznie, ponieważ ładowarka nie wszędzie dała sobie radę, natomiast rozładunek odbywał się tylko za pomocą łopat. W naszej jednostce wywrotek nie było.

Marek usiadł za kierownicą Kraza, ja Stara.

Podczas wyjazdu z jednostki wraz z dysponentem, który był w stopniu plutonowego, poczułem, że coś jest nie tak z hamulcami. Owszem, samochód hamował, ale pedał hamulca nie wracał do góry. Trzeba było wyciągać go nogą. A tu zima. Na drogach leżał zmarznięty śnieg a nawierzchnia świeciła się od lodu. Powoli jakoś dojechaliśmy do drogi głównej prowadzącej do Gryfina. Tam można było już lekko przyspieszyć.

Gdy wjeżdżaliśmy na bocznicę tuż za zakrętem zobaczyłem zamarznąłą, ogromną kałużę, obok której stał sierżant, na co dzień

odpowiedzialny za stację paliw MPS, oraz chorąży Leszek K. Pamiętając o defekcie hamulców w mgnieniu oka podjąłem decyzję, żeby nie hamować i nie wpaść w poślizg, tylko przejechać dalej i tam wytracić szybkość. Niestety, nie spodziewałem się, że pod ciężarem samochodu lód pęknie. I tak się stało. Fontanna brudnej wody pomieszana z błotem i pyłem węglowym trafiła prosto w sierżanta i chorążego. Pomimo ciemności zdążyłem tylko zauważyć w lusterku ich próbę odskoku od kałuży. Nawróciłem Starem i zatrzymałem się blisko wagonów pod załadunek. Drzwi od szoferki otworzyły się z ogromnym zamachem i zobaczyłem chorążego. Z oczu dosłownie tryskały mu błyskawice. Jego płaszcz był cały w czarnych plamach.

- Kurwa!. Chojnowski z wozu! – padła komenda.

Wyskoczyłem z kabiny.

- Co ty odpierdalasz?! Popatrz jak my wyglądamy! Popierdoliło cię czy co?!

- Obywatelu chorąży – odpowiedziałem – mam mały defekt hamulca. Miałem do wyboru: zahamować, ale mogłem wpaść w poślizg i wtedy tragedia gotowa albo przejechać i dopiero za nią się zatrzymać.

- Co ty mi pierdolisz?! Jaki defekt?! Kurwa mać, popatrz na mnie jak ja wyglądam! No nie teraz to już ja ci dopierdołę, że popamiętasz! Baczość! Za niebezpieczną jazdę karzę was czternastoma dniami ZOMZ!

- Kara – odpowiedziałem.

- Kurwa ma!. Hamulce nie działają – sapał dalej chorąży – dzisiaj sylwester a ja wyglądam ja nie wiem, kto. A ten będzie mi tu pierdolił trzy po trzy. Biegiem do rozładunku!

Zamiast posłuchać jego i zabrać się do pracy, wsiałem do kabiny Stara, w której cały czas siedział mój dysponent, odpaliłem silnik i z lekkim zrywem ruszyłem w kierunku Gryfina.

- Co ty robisz? – zapytał plutonowy.

Cały dygotałem. Ręce trzęsły mi się jakbym miał atak febry, suchość w gardle i pot na czole.

- Obywatelu plutonowy – odpowiedziałem – pierdolę to. Być może uratowałem im życie i taka nagroda mnie spotkała w sylwestra. Ni chuja, nie będę jeździł.

- Ale gdzie ty jedziesz?

- Do majora B.

- Po co?

- A mam na szczęście asa w rękawie na chorążego. Jak mi nie cofnie tej kary to sprzedam go, i nie będę się z tym pierdolił. Niech się dzieje, co chce.

Popatrzył na mnie i spokojnie powiedział:

- Zatrzymaj się tu z boku. Daj sobie spokój. Dzisiaj trzeba załatwić sprawę szybko, bo wagony nie mogą stać załadowane. A kary nie dostaniesz. Przejdzie mu.

- Tak. Przejdzie albo nie.

- Spokojnie. Wracaj jakby nigdy nic.

Zawróciłem i podjechałem pod wagony.

I znów drzwi otwały się na oścież.

- Gdzie ty kurwa się wybierasz?! – usłyszałem – mało ci jeszcze?!

Jak chcesz to mogę ci dopierdolić jeszcze więcej!

- Leszek. Daj spokój – powiedział plutonowy – pojechaliśmy sprawdzić hamulce i faktycznie coś z nimi jest nie tak.

- Chuj mnie to interesuje! – odpowiedział – moja decyzja jest ostateczna. I bierz się w końcu do roboty, bo za chwilę dostanę kurwizny!

- To w końcu mam jeździć czy rozładowywać, bo już za chorązym kurwa nie nadążam?

- Tylko nie kurwuj mi tu i obywatelu chorąży. Co, myślisz, że jak jesteś przy B. to wszystko ci wolno? Nawet on cię nie wybroni.

Powiedziawszy to odszedł wycierając plamy i rzucając przekleństwa w moją stronę.

Nie wysiadłem z kabiny. Chłopaki bardzo szybko załadowali koks na samochód, z którym pojechałem do jednostki. Wszystkim się spieszyło. Raz, że sylwester a dwa, że było bardzo zimno. W jednostce rozładunek i powrót do Dolnej Odry. I tak do godziny 23.

Ostatnim kursem rozładowałem opał pod kotłownią budynku kadry. Plutonowy wpisał mi w rozkaz wyjazdu adnotację, że kierowca do jednostki wraca sam, po czym, życząc mi szczęśliwego nowego roku, udał się do domu.

W drodze powrotnej przeanalizowałem sobie jeszcze raz dzisiejszą sytuację.

„Gdybym zahamował, to chyba bym w nich uderzył. Miałbym dwoje ludzi na sumieniu, a tak to przecież tylko dwa płaszcze do prania i już. Ale mi się zaczyna ten nowy rok, nie ma, co. Dopierdolił mi, trudno, jakoś to zniosę. Do majora go nie podpierdolę. Nie jestem taki”.

Wjechałem przez bramę na teren jednostki i wstawiłem Stara do garażu. Na baterii umyłem się szybko, bo za chwilę mieliśmy przywitać nowy rok.

- Ale żeś ich ochlapał – powiedział Marek – nie widziałem jak to zrobiłeś, ale zauważyłem jak wycierali się z błota. Ładny chuj. Z tego, co słyszałem to załapałeś się na czternaście dni ZOMZ.

- Tak dokładnie – odpowiedział Markowi – uratowałem być może im życie i taka mnie spotkała nagroda.

Mówiąc to Markowi czułem żal, który ścisnął mnie za gardło.

- Spokojnie ziomal. Dasz radę. A może mu minie.

- Oj chyba nie. Żebyś ty widział, jaki był wkurwiony. Nie przebiegał w słowach. Kurwy i chuje sypały się jak z rękawa. Trudno, jakoś to będzie.

Przywitaliśmy wspólnie nowy rok. Niestety nie szampanem tylko oranżadą. Zbyszek M. i Waldek J. z PTG śmiali się z tego, ale mi do śmiechu nie było. Niepewność została ze mną jeszcze na dwa dni. Czekałem na przyjazd kadry po święcie i dalszy rozwój wypadków.

Drugiego stycznia autobusem przyjechało prawie sto procent kadry.

Staliśmy przy oknie w palarni i patrzyliśmy jak pojedynczo wychodzili i kierowali się w stronę budynku koszarowca. Mój niepokój przez te dwa dni lekko osłabł, ale jak zobaczyłem chorążego to momentalnie się wzmógł. Marek, który pełnił służbę podoficera dyżurnego baterii złożył meldunek naszemu dowódcy, majorowi W.

- Chojnowski do mnie – usłyszałem.

Odwrociłem się i zobaczyłem chorążego. Płaszcz faktycznie musiał chyba wyprać, bo był w nienagannym stanie.

- To, co? Piszemy w rozkazie dzisiejszym i od jutra zaczyna się kara – powiedział.

- Nie ma sprawy obywatelu chorąży – odpowiedziałem i ścisząc głos dodałem – szkoda tylko, że obywatel chorąży zapomniał już o naszej podróży do Gryfina samochodem nauki jazdy. Ale trudno, kara to kara.

Przez moment nie odzywał się. Przypatrywał się mi, lekko potarł dłońią policzek i również cicho powiedział:

- Więc tak mnie podchodzisz? Dobra. Uważam, że sprawy nie było. Ja zapominam, co zrobiłeś, a ty o tamtym dniu. Pasuje?

- Pasuje, obywatelu chorąży.

Podał mi rękę na zgodę, a ja uściskawszy ją, oddałem mu honory i poszedłem na palarnię. Nie pamiętam dokładnie, ale chyba spaliłem wtedy ze trzy papierosy jeden za drugim.

Oczywiście podzieliłem się z Markiem, tą radosną dla mnie nowiną. Marek poklepał mnie po plecach.

- No widzisz ziomuś. Wszystko dobre, co dobrze się kończy.

Od tego dnia nasze drogi z chorążym znów wróciły na prostą. Nigdy już nie wspominaliśmy tego, co zaszło między nami. Po jakimś czasie zauważyłem, że stosunek chorążego do mnie uległ nawet poprawie. Często rozmawialiśmy i to na wesoło. Jedyne, co mu pozostało to uczulenie na kogoś, kto nie powiedział „obywatelu”.

Zaczęły się normalne zajęcia i szkolenie. Jeżeli chodzi o popołudnia, gdy nie było kadry to czas wolny spędzaliśmy z Markiem jak dotychczas, oczywiście po warunkiem, że nie byliśmy obciążeni służbami. Nadal dużo przebywaliśmy w kancelarii porucznika B. gdzie oprócz obowiązków związanych z samochodówką produkowaliśmy...fałę i chusty. Mieliśmy już taką wprawę, że szło nam to bardzo szybko i sprawnie. Pamiętam jak któregoś popołudnia siedząc samotnie przy biurku, zostałem złapany na gorącym uczynku przez porucznika B.

Kończyłem kolorowanie herbu Chojnowa, gdy nagle otworzyły się drzwi i staną w nich porucznik. Na śmierć zapomniałem, że obejmował dziś służbę oficera dyżurnego. O schowaniu chusty nie było mowy. Wszedł, popatrzył i powiedział:

- No tak facet. Ładne rzeczy ja tu widzę. To tak się prowadzi dokumentację.

- Poruczniku. I co ja mam powiedzieć – rzekłem, patrząc mu prosto w oczy – stało się i już. Zostałem przyłapany, ale z drugiej strony, czy tu czy na baterii albo PKT i tak bym to robił i tak. Szkoda tylko, bo już prawie skończyłem a tu widzę, że będę musiał zaczynać wszystko od początku.

- A ta druga to czyja? – zapytał.

- Marka T. – odpowiedziałem – niech porucznik, chociaż jego nie zabiera.

- Ale, o czym ty mówisz – dodał z uśmiechem – ja ich nie zabiorę, tylko musisz bardziej uważać, bo jakby wszedł tu ktoś inny to na pewno byś je stracił.

- No to super poruczniku – powiedziałem z ulgą.

- Mam jeszcze propozycję. Jak chcecie, możecie schować je do mojego sejfu. Na bank nikt ich tam nie znajdzie i będą bardzo bezpieczne. Daję na to słowo.

Od tamtego dnia, faktycznie nasze chusty spoczywały sobie schowane na dnie szafy pancерnej. Leżały tam, oczekując dnia, kiedy zostaną założone na nasze ramiona.

11. PANIKA

Na apelu porannym zostaliśmy poinformowani przez dowódcę jednostki, że startujemy we współzawodnictwie dywizjonów OPK. Zaraz po apelu zaczęły się przygotowania. Generalnie rywalizacja była we wszystkim.

Zaraz na drugi dzień zaczęły się zajęcia z musztry, i to dla całego stanu osobowego. Nie zwalniano z nich nawet dyżurnego PKT czy strażaka. Marsz, meldunki, zwroty, itd. Setki razy. Oprócz tego praca bojowa na sprzęcie. Nasz dowódca, sierżant K. nie dał nam taryfy ulgowej. Samochody lśniły i bez przesady, były na 100% sprawne. Naczepy STZ, pomalowane, lśniły w słońcu. Nawet opony sprawiały wrażenie jakby wyszły dopiero z fabryki. Porządki na pododdziałach, robione były do przesady. Na terenie jednostki jak również wokół niej nie znalazłby nikt zbędnej kępki trawy. Żadnych krecich kopców nie mówiąc już o papierkach, niedopalkach a nawet liściach. W garażach odmalowaliśmy farbą olejną linie wyznaczające stanowiska na samochody. Nawet szyby na wysokości pięciu metrów były wzorowo umyte. Wszelkie ptactwo, które dotychczas gnieździło się w pomieszczeniach, zostało wyeksmitowane. Żadnych ptasich odchodów a mysie dziurki zalatane i pomalowane.

I tak dzień w dzień musztra, musztra i jeszcze raz musztra. Pozostałe baterie to samo, plus praca bojowa. Non stop.

- Bombardier Chojnowski!

- Jestem!

- Do mnie!

- Obywatelu sierżancie. Bombardier Chojnowski melduje się na rozkaz! – powiedziałem, trzymając dystans jednego kroku za przelożonym w czasie marszu.

- Wstąp!

Po chwili:

- Bateria baczność! W prawo zwrot, w lewo zwrot, w tył zwrot. W czwórki w lewo zwrot. Równym krokiem marsz. Biegiem. W tył na lewo.

I tak w kółko. Dawno tak nie dostaliśmy popalić jak na tych przygotowaniach. Równocześnie z nami ćwiczyła kadra. Najczęściej pod dowództwem szefa sztabu, majora K.

Tam też nie było taryfy ulgowej.

Zmieniło się też na ten okres życie na baterii. Zajęcia odbywały się jak dotychczas z tą jednak różnicą, że nie było mowy o jakichkolwiek ulgach. Uczestniczyli wszyscy, czy ktoś chciał czy nie. Nasz szef baterii codziennie dokonywał sprawdzania porządków w izbach żołnierskich, umywalni, toalecie. Każdy najmniejszy brud, rzucony papierek czy chociażby okruszek ciastka spotykał się z atakiem wściekłości, ze strony chorążego. A ile razy nasze wyposażenie dosłownie „fruwało” po pokojach. W magazynie broni nawet paski od hełmów były czyszczone szczotkami.

Dwa dni przed wizytą generała szef zrobił zbiórkę na korytarzu całego stanu osobowego.

- Bateria baczność! Bateria spocznij! Żołnierze. Pojutrze czeka nas bardzo poważny egzamin i nie ukrywam tego, że najwięcej zależy od was, jaką dostaniemy ocenę i czy nasz dywizjon będzie mógł się poszczycić zdobyciem wysokiego miejsca we współzawodnictwie dywizjonów OPK. Tak jak powiedziałem, dużo zależy od was, a tu, co? Rano jak byliście na zajęciach sprawdziłem wasze plecaki. Wyrywkowo. Powiem krótko. Za chwilę każdy wywali z niego wszystko, co tam ma, po czym od nowa spakujecie swoje manele od nowa, ale tak jak powinno to być. To przechodzi ludzkie pojęcie żeby trzymać takie rzeczy.

Odwrócił głowę w prawo i spojrzawszy w stronę gdzie stał pluton transportowo-gospodarczy powiedział:

- J. po jaką kurwę trzymacie w plecaku starą gazetę? No pytam po chuj? Albo następny orzeł – schował do plecaka żyletki. Zużyte! Szkoda, że nie ma tam zużytych kondomów? A może ktoś trzyma tylko ja o tym nie wiem? Do sal rozejść się! Rozpakować plecaki i ustawić całe ich wyposażenie obok swojego łóżka. Za pięć minut przyjdę sprawdzić.

W sali opróżniliśmy plecaki. Wszystko, co w nich było, a raczej, co być powinno, ułożyliśmy obok koi, natomiast pozostałe rzeczy chowaliśmy do kieszeń, pod materace lub wynosiliśmy poza izbę. A trochę tego było. Tadek z Pawłem O. pobiegli żeby ukryć radio

tranzystorowe, Marian rozglądał się gdzie ukryć buzałę do grzania wody. Ja w kieszeniach mora miałem już kredki i pisaki. Marek za pazuchę schował frędzelki do obszycia chusty. Dosłownie, nie było chyba nikogo, kto czegoś by tam nie chomikował. Całe szczęście, że szef nie zajrzał do tych plecaków, w których były prawdziwe „skarby”.

- Bateria baczność! – usłyszeliśmy komendę na korytarzu, po czym otworzyły się drzwi do naszej sali i wszedł chorąży K.

- No, sprawdzimy teraz, co wy tu macie – powiedział lekko się uśmiechając.

Znaliśmy ten jego uśmiech, który nigdy nie wróżył niczego dobrego.

- Odnoszę wrażenie, że zrobiliście porządną przeglądnę. Zastanawia mnie tylko gdzie tym razem to upchaliście? Nie, Chojnowski. Gdzie dałeś przybory do pisania, co? Ja wiem, że jesteś pisarzem, ale to chyba nie powód żeby chować ołówki i pisaki do plecaka. Albo W. Po jakiego czorta w plecaku schowałeś plastikowy kubek? Teraz spakujecie wszystko tak jak ma być. Sprawdzę i jednocześnie ostrzegam, że sprawdzę inne miejsca, więc jeśli coś jest nie tak proponuję od razu to uporządkować. Mam nadzieję, że pod materacami niczego nie trzymacie?

- Obywatelu chorąży – odezwałem się – czy chorąży myśli, że jakiś tam generał będzie zaglądał do szafek czy pod łóżka?

- Chojnowski. Nie pierdol mi tu takich rzeczy. Generał ma to gdzieś, ale kontroli dokonywać będzie cały sztab ludzi, którzy z nim

przyjadą. Więc nie widzę powodu do dalszej dyskusji. Zresztą ma być tak jak powiedziałem i koniec. Mamy być najlepsi.

Przez parę dni od przyjazdu osób, które dosłownie patrzyły nam na ręce, wszystko wykonywane było wzorowo. Jeżeli coś miało znajdować się po prawej stronie, to tam się znajdowało. Pobudka, punkt szósta, zaprawa, poranna toaleta. Przy wejściu na stołówkę każdy musiał przystanąć w drzwiach i skłonić głowę. Żadnych rozmów, postawa wyprostowana. Za każdym razem zbiórki i marsz. Zajęcia na najwyższym stopniu. Alarmy, wyjazdy samochodami, praca na sprzęcie, napelnianie rakiet paliwem i utleniaczem oraz powietrzem, dowóz i załadunek na wyrzutnie. Sprawdziany z musztry, meldunki, stan umundurowania. Kontrole pełnienia służb na każdym kroku. Tu nie można było sobie już pofolgować. Oczywiście przez ten okres nie chodziłem do kancelarii porucznika B. Brakowało tylko tego, żebym został złapany w sztabowcu, po południu z kluczem i referentką do plombowania sejfu. O nie. Woląłem nie ryzykować.

W ostatni dzień kontroli przyjechał generał. Myśleliśmy, że będzie to się wiązało z jakimś alarmem bojowym, ale gdzie tam. Owszem, poszedł w asyście na strefę bojową, ale tylko po to żeby popatrzeć.

My mieliśmy zajęcia w świetlicy. Tematem była aktualna polityka w naszym kraju jak również braterska „pomoc” związku radzieckiego. Gdy chorąży Andrzej Ł. ogłosił przerwę, aby nie robić balaganu w salach, wszyscy, ci, co palili i nie palili, weszli do palarni. Trzydzieści parę osób. Wystarczyło, że tylko połowa zapaliła a po chwili w tak małym pomieszczeniu nie było, czym oddychać. Wprawdzie okno było uchylone, ale jak na złość dym nie raczył szybko uciekać na zewnątrz. Stojąc pod oknem, dosłownie nie widziałem twarzy tych, którzy znajdowali się obok drzwi, tak było nakopcone. I w tym momencie, usłyszeliśmy jak podoficer zaczyna składać meldunek generałowi. Nasza bateria była na parterze a więc praktycznie zawsze wszystko zaczynało się od nas. Siedzieliśmy cicho w palarni. Słyszał było otwieranie i zamykanie drzwi do sal, kroki na korytarzu i strzępy dolatujących rozmów. W pewnej chwili otworzyły się drzwi i zobaczyliśmy postać generała. Cały dym, który zebrął się w palarni, jak na złość „zaatakował” go, stojącego na korytarzu. Nikt nie powiedział ani słówka. Popatrzył na nas, uśmiechnął się, zamknął drzwi i tyle go widzieliśmy.

Po krótkim czasie dowiedzieliśmy się, że we współzawodnictwie dywizjonów OPK zajęliśmy...pierwsze miejsce!!

Ale się wtedy działo. Uroczysty apel, na którym dowódca podsumował całą kontrolę. Oczywiście z uśmiechem napomknął również wizytę generała na naszej palarni. „Posypały” się nagrody, odznaczenia i awanse. Generalnie to nie było nikogo, kto by w jakiś sposób nie był nagrodzony.

- No i widzi chorąży – powiedziałem do naszego szefa baterii – wszystko było ok. A taka była panika.

- A jakby wyszło nie tak? – odpowiedział – to byłby wasz marny los.

- To znaczy, że jak my zajęliśmy pierwsze miejsce a inne dywizjony dalsze, to mają przesrane?

- Chojnowski. Weź się za jakąś robotę, bo pierdolisz jak potłuczony. Naszym założeniem było zdobycie mistrzostwa i tak się stało. Mam nadzieję, że taki porządek będzie, na co dzień?

- Będzie obywatelu chorąży – odezwał się Marek – a już na naszej baterii to na pewno.

12. DOCIERANIE

Nadszedł luty. Był bardzo mroźny. Nie wiem, z jakiego powodu zostałem mianowany dowódcą drużyny wozów specjalnych. W czasie apelów, to ja teraz składałem meldunek dla szefa baterii. Gdy był sierżant K. robił to on. Jednak w większości mało z nami przebywał. Albo miał służby albo po prostu go nie było.

Na baterie trafili już nasi młodzi. Na razie mieli z nami spokój, chociaż co powiedzieliśmy to robić musieli. W granicach rozsądku oczywiście. Nie mieliśmy jeszcze dużego prawa do nich. Na baterii rządziła wiosna. Chwilami byłem świadkiem jak docierali swoją młodzież. Różnie to wyglądało. Pompki z przyklaskiem, albo dzięki gonitwy. Zdarzały się też meldunki do kaloryfera albo leżenie pod łóżkiem w pozycji, która się nazywała „kot zdechl”.

Nasz szef baterii już z góry upatrzył sobie następcę na stanowisko Marka. Miał tę świadomość, że jeszcze trochę i nas nie będzie. Jeżeli chodzi o mnie to następcy jeszcze nie miałem.

Pewnego wieczoru, Tadek F. i Janek P. w jakiś sposób załatwili piwo. To znaczy przemycili je na teren jednostki. Około dwudziestej rozpoczęliśmy libację i to dość w szybkim tempie. W głowach szumiało nam już niezłe. Języki plątały się a nogi odmawiały posłuszeństwa. Dobre jest powiedzenie, że „od wódki rozum krótki”. To samo dotyczy innych alkoholi.

Niby nie mieliśmy jeszcze pełnego prawa do naszych kotów, ale nikt tak naprawdę w to nie wnikał.

Siedzieliśmy w izbie na łóżkach, pijąc piwo. Byliśmy tylko my, to znaczy z poboru jesiennego.

Nasi młodzi wchodząc na salę pytali nas o pozwolenie położenia się do łóżka.

- Granat synku – powiedział Janek P. – zalega za łóżkiem i pompuje.

Po chwili weszło dwóch następnych.

- Możemy się położyć? – zapytał jeden z nich.

- No chyba was pojebało – odpowiedziałem – stary jeszcze nie śpi a wy już do wyra. Jeden wskakuje pod łóżko i „kot zdechl”, a drugi opowiada kawały, tylko śmieszne. A jak nie to też granat i pompuje do odwołania.

Chyba nie znał żadnego albo wołał zaprawę fizyczną, bo po chwili znalazł się obok swojego kolegi i zaczął „pompować”.

- A sierściuchy – krzyknął Tadek F. – nie znacie żadnych kawałów? Żaden się nie odezwał. Ta sytuacja trwała do 23. Gdy sen zaczął nas morzyć daliśmy im spokój.

Przez następne dni wykonywali popołudniami nasze polecenia. Robili kawę, herbatę. Czasami musieli wieczorem iść do kuchni i jakimś sposobem usmażyć dla nas frytki, czy też przygotować specjalny, wymyślony przez nas posiłek.

Jeszcze parę miesięcy temu, to my biegaliśmy z wywieszonymi jezorami i spełnialiśmy zachcianki naszych dziadków. Teraz byliśmy na górze.

Na początku marca, wezwał mnie porucznik B.

- Facet. Nie spodziewałem się takich rzeczy po tobie. Ty, taki spokojny i miły, robisz takie numery?

- Ale, o co chodzi, poruczniku?

- Nic ci nie powiem. Dowiesz się od swojego szefa baterii. Możesz iść.

Odmeldowałem się, strzeliłem obcasami i wróciłem na pododdział. Po chwili przyszedł szef baterii chorąży Andrzej K. Zrobił zbiórkę i bez zbędnych słów oznajmił:

- T. otwórz szatnię i wydaj mundury wyjściowe dla Chojnowskiego, F., P., i P. Mundury mają być wyprasowane, wyczyszczone i o trzynastej cała czwórka staje do raportu karnego u dowódcy jednostki, pułkownika G. Wykonać.

Szok. Skóra ścierpła nam na plecach. Spodziewaliśmy się różnych rzeczy, ale żeby aż do dowódcy jednostki.

Pobraliśmy mundury. Marek patrzył na mnie i jak nikogo przy nas nie było, powiedział szeptem:

- Przejebane. Mnie nie podpierdolili. Ciekawe, co stary z wami zrobi. Zresztą on jak on. Gorzej może być ze strony szefa sztabu albo politruka. Trzymajcie się i nie dajcie się.

Słowa otuchy jakoś nie dotarły do mnie. Myślami byłem już w gabinecie dowódcy. Nie miałem zielonego pojęcia, co mam powiedzieć na zadawane pytania. Trudno. Spodziewać się należy najgorszego. Szef sztabu major K. nie znał litości dla fali. Pół biedy jak skończy się na Podjuchach, mogliśmy przecież trafić nawet do Orzysza gdzie mieściła się jednostka karna.

Przed godziną trzynastą szef baterii zaprowadził nas pod drzwi dowódcy jednostki. Bez słów poprawialiśmy swój wygląd. Włosy uczesane, mundury jak od krawca, pasy dociągnięte a opinacze butów zapięte jak na unitarce. W głowie mętlik. Ja byłem trzeci w kolejce. Pierwszy kolega po wyjściu z gabinetu minę miał nie wesołą. Nic jednak nam nie powiedział, bo obok stał szef i wszystko by słyszał. Po dziesięciu minutach wszedłem ja.

Oprócz dowódcy jednostki w kancelarii siedzieli: szef sztabu, zastępca dowódcy do spraw politycznych i dowódca III baterii, major W.

Zameldowałem się regulaminowo i stałem cały czas w pozycji na baczność.

Pierwszy odezwał się dowódca, pułkownik G.

- Wiecie żołnierzu, dlaczego tu jesteście? – zapytał.

- Tak jest, obywatelu pułkowniku – odpowiedziałem.

- No i co możecie nam powiedzieć w tej sprawie?

- Obywatelu pułkowniku, panowie oficerowie. Ot zwykła głupota.

Nie mam pojęcia, dlaczego tak się zachowałem.

- Nie wiecie!? – *podniesionym głosem zapytał szef sztabu – to ja wam powiem. Brak wam zajęcia i obowiązków. Takie durnoty wyprawiacie i myślicie, że przymkniemy na to oczy. Na pewno nie. Poniesiecie karę i to dotkliwą. W naszej jednostce nie będziemy tolerować takiego zachowania! Czy ktoś chce jeszcze coś dodać?* – *zwrócił się do pozostałych oficerów.*

Głos zabrał „politruk” porucznik M.

- Nie spodziewałem się po tobie czegoś takiego – rzekł łagodnie – żołnierz zdyscyplinowany, pomocny, wesoły a tu takie rzeczy. Powinieneś dawać wzór pozostałym, zwłaszcza, że jesteś dowódcą drużyny, że nie wspomnę o funkcji pisarza u porucznika B.

- On jest pisarzem? – *zapytał szef sztabu major K.*

- Tak.

- No to ładnie. Już ja się postaram, żebyś karę odczuł dotkliwie. Czy to już wszystkie pytania?

Nikt się nie odezwał tylko każdy z nich gestem ręki zaprzeczył.

- Skoro tak to jesteście wolni. Jutro na apel poranny stawicie się w mundurze wyjściowym. To wszystko.

- Obywatelu pułkownika, proszę o pozwolenie wyjścia.

- Idźcie – powiedział dowódca, pułkownik G.

Wyszedłem na korytarz. Ręce mi się trzęsły do tego stopnia, że nie mogłem ubrać czapki. Policzki rozgrzane miałem do granic wytrzymałości. W gardle sucho jakbym znajdował się na pustyni.

- Możesz iść na baterie – powiedział szef chorągwy K.

- Rozkaz obywatelu chorąży.

Poszedłem na pododdział. Munduru nawet nie zdawałem do szatni tylko powiesiłem na wieszaku i przebrałem się w moro. Marek podszedł do mnie i zapytał:

- No i co?

- Nie mam pojęcia – odpowiedziałem – za wesoło to nie było. I podejrzewam, że wesoło to się nie skończy. Jutro na wyjściowo. Na apel. A potem dowiem się, co i jak. Najwyżej spakuję się i będę miał odjazd na Podjuchy albo i gorzej. Na Mazury.

- E. Chyba nie będzie tak źle. B. cię z tego wyciągnie.

- No, co ty? Nie ma szans. Żebyś ty widział minę K. Myślałem, że od razu mi dowali. Oj nie do śmiechu mi.

- Zobaczymy jutro – powiedział Marek – pogadamy jak wyjedzie kadra a ja już zaopiekuję się młodzieżą. Regulaminowo.

Kadra wyjechała. Poszliśmy na obiad. Koledzy z innych baterii starali się dowiedzieć o naszym raporcie karnym, ale odpowiadaliśmy pół gębą, cicho i w skupieniu.

Gdy wróciliśmy z obiadu na baterii zastaliśmy oficera dyżurnego jednostki, chorążego Ch.

- Podoficer – zwrócił się do Marka – zrobić zbiórkę.

- III bateria i PTG na korytarzu zbiórka!

Ustawiliśmy się w dwuszeregu.

- Tak moi drodzy. Nie chcę przynajmniej do końca mojej służby, do godziny osiemnastej, żadnych ekscesów. Całość udaje się do zajęć

popołudniowych według planu. Podoficer jest za to odpowiedzialny. Żadnych samowolnych wyjść. To wszystko. Rozejść się!

Usiedliśmy na łóżkach w sali.

- I jak myślicie? – zapytał Janek P. – dopierdolą nam?

- Nie – powiedział Tadek F. – po głowie cię pogłaskają. Pewnie, że dopierdolą. Ot, sierściuchy jedne. Za dobrze chyba mieli.

- Jutro się okaże – powiedziałem – w każdym bądź razie musimy przygotować się na najgorsze.

- Ja dzisiaj obejmuję podoficera – powiedział Paweł O. – młodzież będzie fruwała na wysokości lamperii. Porządki będą robić wszędzie, nawet pod wykładziną.

Po kolacji, Paweł zrobił zbiórkę młodych i wyznaczył im rejony do sprzątnia. Co chwilę sprawdzał i za każdym razem wytykał im niedociągnięcia. Praktycznie trwało to od dziewiętnastej do dwudziestej pierwszej z pół godzinną przerwą na dziennik telewizyjny,

O 22 zaległa cisza. Jak nigdy. Położyliśmy się spać, myśląc o dniu jutrzejszym.

Rano, ubrani w mundury wyjściowe stanęliśmy wraz z naszą baterią na placu apelowym. Po przyjsciu kadry szef sztabu wysunął się o krok przed dowódcą jednostki i z groźną miną rozkazał.

- Bombardier P., bombardier F., bombardier P., bombardier Chojnowski, wystąp!

Krokiem defiladowym stanęliśmy przed szykiem jednostki.

Szef sztabu cofnął się i zabrał głos dowódca, pułkownik G.

- Za naruszanie stosunków międzyludzkich, bombardier F., degraduję was do stopnia kanoniera, bombardier P., degraduję was do stopnia kanoniera, bombardier P. i bombardier Chojnowski, pozbawiam was funkcji dowódców drużyn.

Każdy z nas odpowiedział „kara”. Poczulem jak „kamień spadł mi z serca”.

„A więc tylko taka kara. Nie muszę być dowódcą drużyny. O jeden strup mniej na głowie”

- Wstąp! – rozkazał dowódca.

Wróciliśmy do swoich. Obok mnie stał Marek. Mrugnął okiem i lekko się uśmiechnął. Dowódca, pułkownik G. ciągnął dalej.

- Tak, więc dziś, żołnierze, byliście świadkami ukarania tych, którzy nie potrafią normalnie się zachowywać. Ich stosunek do żołnierzy młodego rocznika można porównać do zachowania dzikich bestii. To normalne zbydlęcenie. Mam nadzieję, że wszyscy wezmą sobie to do serca i więcej nie będzie takich ekscesów. Teraz dowódcy baterii udadzą się do mnie, pozostali do zajęć rozejść się!

Koniec apelu. Idziemy na baterię. Zdajemy mundury do szatni. Janek i Tadek odpruwają z mundurów swoje dystynkcje. Przebieramy się w moro, po czym ja, Marek, Paweł i młody udajemy się do garażu. Jest tam już sierżant K.

- No goście – zaczął – od dziś wszystko ma być na medal. Żadnych durnych myśli. Praca, praca, i jeszcze raz praca. To wam dobrze robi.

- Tak jest sierżancie.

- No. Ja idę teraz wiadomo gdzie. Wrócę za godzinę a wy wiecie, co macie robić.

Odszedł jak zwykle w stronę kantyny.

- Dziadku – powiedział młody – co mam robić?

- Ja ci dam dziadku – odpowiedziałem ze złością – od dzisiaj obywatelu bombardierze i chuj. A zresztą ja nie jestem dowódcą drużyny, więc wali mnie to.

Zwiesił głowę i podszedł do Marka. Po zameldowaniu się, otrzymał zadanie. My poszliśmy na palarnię. Paląc papierosy rozmawialiśmy o zaistniałej sytuacji.

- Młodzież się poskarżyła – powiedziałem.

- Ano tak – potwierdził Paweł – widocznie mieli za dobrze.

- Trudno. Stało się i już. Podejrzewam, że sprzedali nas do chorążego K. a wiecie, jakie on ma podejście. Zresztą jest szefem baterii i musiał zareagować.

- Tak, musiał – powiedział Marek – tylko szkoda, że najpierw nie przetrawił tego z nami. Skurwiałe kociska. Rozpuścili jęzory.

- Daj spokój Marek. Nie ma, co się denerwować. Jakoś to będzie, a młodzież odczuje to na własnej sierści. Regulaminowo.

- *No dokładnie ziomal, tak jak mówisz. Dobra. Kończymy palenie, bo zaraz wróci Kaziu z kantyny. Trzeba sprawdzić jeszcze czy młody wszystko zrobił.*

Po powrocie do garażu stwierdziliśmy, że jest czysto. Było pozamiatane, śmieci wyniesione a on czyścił szmatką samochody.

Po chwili wrócił nasz sierżant. Porozglądał się dookoła.

- *Widzę, że tylko jeden pracuje, bo wy ręce macie jak lekarz przed operacją. T. i W. odpalcie Ziły i jedźcie je zatankować a ty Chojnowski szoruj do B. Ma jakąś sprawę do ciebie. Tylko szybko wracaj.*

Poszedłem do porucznika B. Był sam w kancelarii. Kazał mi usiąść, po czym jak zwykle lekko szarpiąc koniuszek wąsa powiedział:

- *No facet, chyba daleś sobie na wstrzymanie, co?*

- *A czy ja kiedykolwiek poruczniku byłem agresywny? Ot głupota i za dużo alkoholu.*

- *Jakiego alkoholu, facet. Nawet nie chcę o tym słyszeć. Chcecie się nachlać to iść na przepustki, jechać na urlop i tam wyczyniać orgie.*

Nie chciałbym stracić przez waszą głupotę pisarza. Zrozumiano.

- *Tak jest poruczniku.*

- *No to dobrze. Mam nadzieję, że nie będziemy musieli więcej wracać do tego tematu. Możesz iść. Jutro masz służbę, więc po apelu przyjdiesz do mnie. Mamy trochę zaległych prac. Szoruj do siebie.*

Stuknąłem obcasami i wyszedłem.

Od tego dnia wszyscy młodzi zwracali się do nas obywatelu bombardierze, kapralu i kanonierze. Nie było słowa „dziadku”. Wszystko odbywało się zgodnie z regulaminem. To znaczy prawie. Przy porządkach czy też na zajęciach zawsze musieli wykonać swoją pracę perfekcyjnie pod okiem dowódcy drużyny czy też podoficera dyżurnego.

Po około dwóch tygodniach od tych zajęć szedłem z Markiem na park samochodowy. Pośrodku placu spotkaliśmy się z dowódcą jednostki, który wraz z szefem sztabu robili sobie obchód. Oddaliśmy honory krokiem defiladowym. Po przejściu około pięciu metrów usłyszałem głos pułkownika.

- Chojnowski. Do mnie!

Podbiegłem. Zapamiętał moje nazwisko. „Czyżby znowu coś nie tak?”.

- Obywatelu pułkowniku. Bombardier Chojnowski melduje się na rozkaz.

- Słuchajcie żołnierzu. Już niebawem przybędą do naszej jednostki żołnierze młodego rocznika, czyli unitarka. Tak wraz z szefem sztabu pomyśleliśmy sobie na spokojnie i doszliśmy do wniosku, aby was zrobić dowódcą jednej z drużyn. Co wy na to?

- Obywatelu pułkowniku, ale ja nie mogę.

- A niby, dlaczego? Co dostaliście okres czy jesteście w ciąży?

- No nie. Obywatel pułkownik pozbawił mnie funkcji dowódcy drużyny. Stawałem przecież do raportu.

- Dobra, dobra. Tamtą sprawę uważam za zakończoną i myślę, że to była jednorazowa wpadka. Chyba mam rację?

- Oczywiście obywatelu pułkowniku.

- No to dobrze. Pomimo tego, co się stało macie dobrą opinię wśród kadry i żołnierzy służby zasadniczej tak, więc oczekuję akceptacji z waszej strony.

- Rozkaz obywatelu pułkowniku!

- No i to chcieliśmy usłyszeć.

Podał mi rękę, którą uściśnąłem i patrząc na dowódcę zauważyłem lekki uśmiech na jego twarzy. To samo zrobił major K. z tym, że z jego strony uśmiechu nie zobaczyłem. Był jak zawsze bardzo poważny.

Poszedłem do garażu. Marek schowany za drzwiami obserwował naszą rozmowę jednak nie doleciało do niego nic oprócz „rozkaz obywatelu pułkowniku!”

Opowiedziałem mu wszystko z detalami.

- No to masz fuchę nie do wyjebania – skomentował.

- No niby tak. Nie wiem, kto będzie drugim dowódcą drużyny, ale na pewno dowiemy się bardzo szybko.

- A kto będzie dowódcą plutonu?

- Tego też nie wiem – odpowiedziałem – czas pokaże.

Na apelu popołudniowym szef baterii chorąży K. odczytał rozkaz. Drugim dowódcą drużyny został mianowany kolega z poboru wiosennego, bombardier Zbigniew K. Nazywaliśmy go Kryśka.

Unitarka miała być na naszej, III baterii. Całość to przyszli kierowcy, a dowódcą plutonu został...porucznik B.

„Ach to jego sprawka” – pomyślałem.

Gdy kadra wyjechała, po obiedzie poszliśmy z Markiem do kancelarii. Zrobiliśmy sobie kawę i paląc papierosy, snuliśmy marzenia na przyszłość. Muszę tu nadmienić, że palenie odbywało się przy otwartym oknie. Z trzech oficerów, którzy zasiadali w tym pomieszczeniu, jeden, czyli porucznik B. nie palił i był wrogiem palaczy. Tamci dwaj palili jak smoki.

Nazajutrz spotkałem się z porucznikiem B. na korytarzu sztabowca.

- Co facet? Idziesz do mnie? – zapytał.

- Tak jest obywatelu poruczniku – odpowiedziałem.

Położył mi rękę na ramieniu.

- No to chodź.

Weszliśmy do kancelarii. Siedział tam chorąży z sierżantem. Napalone było tak ostro, że można było przysłowiową siekierę powiesić.

- Ale żeście tu nakopcili. Przez was moje kwiatki padną w doniczkach – powiedział porucznik.

- Nie marudź już Krzysiek. Nic ci nie będzie – odpowiedział sierżant i wydmuchał w jego stronę obłok niebieskiego dymu.

- No jeszcze mam się zaciągać. Weź wyrzuc już tego kiepa, bo nie ma, czym oddychać. Chojnowski ty też palisz?

- Palę poruczniku.

- Ale mam nadzieję, że po południu jak tu siedzisz to wychodzisz z papierosem?

- No jasne.

Sierżant spojrział na mnie i rozbawiony odpowiedział:

- Tak wychodzi. Jak kiedyś wszedłem tu po południu to było jak w wędzarni. Jara więcej niż my.

- No facet – porucznik pogroził mi palcem – żeby to było po raz ostatni.

- Dobrze poruczniku – odpowiedziałem.

- No. A teraz do rzeczy. Przychodzą młodzi kierowcy i rzuciłem propozycję żebyś został jednym z dowódców drużyn. Podejrzewam, że wiesz już o tym?

- Tak od wczoraj.

- Super. A jak wiesz ja będę dowódcą plutonu. Drugim dowódcą drużyny będzie Zbigniew K., ale on ma rok do wyjścia natomiast ty pół. Zgodnie z waszą falą on będzie ich szkolił, bo ty masz jak to mówicie za cienko a ciebie będę mógł wtedy wykorzystać na maksa. Pisarz, dyżurny PKT, dowódca drużyny i kierowca, a i jeszcze instruktor nauki jazdy. No i wśród nich będziesz jeszcze musiał mi znaleźć swojego następcę. Cieszysz się?

- Jak cholera poruczniku. Najlepiej jeszcze przyczepić mi do dupy pług, że jak będę szedł to za sobą odstawię orkę.

- Facet. Nie przesadzaj. Chyba nie jest ci źle ze mną?

- *Tego nie powiedziałem poruczniku. Jest bardzo dobrze i nigdy złego słowa o poruczniku nie powiedziałem.*

- *Dobra. Cieszy mnie to. Coś jeszcze?*

- *Podejrzewam, że sierżant K. wyjdzie z siebie i stanie obok.*

- *Nie będzie tak źle. Kazik to fajny chłop. Dobra zmykaj teraz do siebie i popal trochę głupa w garażu. Widziałem, że twój szef poszedł w tamta stronę.*

W garażu zastałem tylko Pawła z sierżantem. Marek został wezwany przez szefa baterii a młody był na warcie.

- *A jesteś. A gdzie T.? – zapytał.*

- *Szef go wezwał – odpowiedziałem, tłumiąc śmiech, bo wiedziałem, co za chwilę padnie z jego ust.*

- *Co? Znowu kurwa gacie liczy?*

Nie wytrzymałem i zaśmiałem się głośno.

- *No i czego się cieszysz? Rżysz jak kobyła.*

- *No, bo sierżant jak zwykle o tych gaciach.*

- *A co? Nie mam racji. Jeden na warcie, drugi u B. a trzeci gacie liczy. Dobrze, chociaż że jest W. bo sam bym sobie wydawał polecenia. Jak znam życie to po przyjściu unitarki w ogóle już cię nie będę widywał, co?*

- *Takie jest życie sierżancie – odpowiedziałem.*

- *Uważaj żebyś ci tego życia nie osłodził Podjuchami.*

W tym momencie Paweł, który przysłuchiwał się naszej rozmowie nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Po chwili śmialiśmy się już wszyscy. Sierżant również nie wytrzymał.

13. SAMOWOLKA

Odkąd znaleźliśmy się z Markiem w 39 dywizjonie raketowym WOPK Gryfino, nigdy, do ostatnich dni naszej służby nie byliśmy na samowolce. A jednak ponieśliśmy za to karę. Jak to możliwe?

Sobotę i niedzielę spędziliśmy bez służb. Nie za bardzo było, co oglądać w telewizji, więc poszliśmy do kancelarii porucznika B.

W radiu leciała jakaś audycja muzyczna nadawana ze Szczecina. Dość dużo muzyki. Zaopatrzyliśmy się w chleb i pastę z boczku a na miejscu zaparzyliśmy herbatę. Pracy papierkowej nie miałem, więc mogliśmy poświęcić czas tylko i wyłącznie na leniuchowaniu. Dwie kromki, do tego szklanka herbaty i z papierosem w ustach snuliśmy plany na przyszłość.

- Co zamierzasz robić po wojsku? – zapytałem.

- Jeszcze nie wiem – odpowiedział Marek – może będę kierowcą? A ty?

- No nie wiem za bardzo. Albo usiądę za fajerą albo wrócę na kolej. Jakby dobrze poszło poszedłbym do jazdy jako młodszy maszynista. Wiesz, robota w miarę a i kasa niezła.

- A nie myślałeś żeby zostać na trepa?

- Myślałem i wiesz, że dość często biję się z myślami.

- Ja też. Tu również jest niezła kasa, mieszkanie a i robota w miarę. Popatrzyłem Markowi prosto w oczy i się zaśmiałem.

- Kazik byłby twoim kumplem i nie musiałbyś do niego mówić obywatelu sierżancie.

- Niby tak, ale to wszystko wiąże się z tym, że Asia musiałaby przenieść się tutaj. No nie wiem. Zresztą mamy jeszcze kupę czasu. Pomyślimy.

- Jasne. Jakby to brzmiało, plutonowy T.

- Tak. Albo plutonowy Chojnowski.

- Powiem ci, że gdybym miał zostać na pewno nie skończyłoby się to na plutonowym. Chyba poszedłbym na chorążówkę a potem próbowałbym się drapać wyżej, żeby zostać, co najmniej porucznikiem.

- O! Wysoko mierzysz, ale masz rację. Jak już zostać to z wysoką rangą.

W tym momencie na biurku zadzwonił telefon. O tej godzinie? W sobotę?

Podniosłem słuchawkę – bombardier Chojnowski, słucham.

- Dawajcie na baterię – usłyszałem głos Pawła O. – za pięć minut, sprawdzenie stanu osobowego.

- Dobra, już idziemy.

- Chodź Marek idziemy. Paweł mówił, że zaraz będzie sprawdzenie stanu.

- Normalne. Sobota.

Zamknąłem kancelarię i poszliśmy na baterie. Trwały tam już przygotowania do zbiórki.

- Co Paweł? Już się komuś styki jarają.

- A co? Nie wiecie, kto ma dziś oficera?- odpowiedział i krzyknął w stronę sal – no dają szybciej na zbiórkę! Mam wam pomóc grzbiety jedne!

Po chwili wszyscy młodzi stali w dwuszeregu. My w drzwiach do palarni obserwowaliśmy nadejście oficera dyżurnego jednostki.

Sprawdzenie stanu osobowego miało na celu skontrolowanie czy wszyscy są na miejscu, wykluczając oczywiście osoby pełniące wartę lub służby oraz żołnierzy znajdujących się na urlopach i przepustkach.

Po chwili zobaczyliśmy zbliżającego się oficera. Stanęliśmy również w dwuszeregu. Otworzyły się drzwi do budynku i wszedł sierżant N.

Już sam jego widok rozśmieszał nas do granic wytrzymałości. Średniego wzrostu z dość okazałym brzuszkiem. Czapka głęboko nasunięta, pasek od niej zapięty pod brodą, pas prawie na klatce piersiowej.

- Bateria baczność! Obywatelu sierżancie! Podoficer dyżurny III baterii, bombardier O. melduje baterię gotową do sprawdzenia osobowego.

- Dajcie spocznij.

- Bateria spocznij!

- Pokażcie książkę ewidencji osobowej baterii.

Gdy ją otrzymał, chwilę czytał wykaz, po czym zakomenderował:

- Kolejno odlicz!

- Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, pełny!- odliczyliśmy.

- Czternastu. Kto na służbie?

- Pięciu, obywatelu sierżancie – odpowiedział Paweł.

- Ja nie pytam ilu tylko, kto?

Paweł wziął do rąk książkę bateryjną i odczytał:

- F. strażak dyżurny, S. kucharz, B. kucharz, P. kucharz i G. warta.

Pozostali są. Ni chuja, nikogo nie brakuje.

- Ja ci dam ni chuja. Koniec zbiórki – powiedział sierżant i poszedł na I piętro gdzie mieściły się bateria I i II.

To powiedzenie „ni chuja”, było jego ulubionym. Jednak był bardzo wyczulony, gdy któryś z nas za często go używał.

- Bateria rozejść się. Młodzież poprawia porządki. Za dziesięć minut zbiórka do toalety wieczornej.

Nie wróciliśmy z Markiem do kancelarii. Znając sierżanta, wiedzieliśmy, że będzie buszował po całej jednostce. Zobaczy światło zapalone w kancelarii i zaraz tam przyjdzie. Może gdybym miał robotę było by inaczej, ale w tym przypadku lepiej było sobie odpuścić.

Poszliśmy do świetlicy. Koszmar. Po dzienniku wyświetlany był film „Świat się śmieje”. Produkcji radzieckiej.

„Czy naprawdę telewizja polska nie ma nic innego” – pomyślałem – „w Londynie w zeszłym roku był koncert Queen, są filmy fantastyczne, komedie, sensacyjne, a oni karmią nas jakimś

badziewiem czort wie, z którego roku, i to jeszcze za wschodniej granicy”.

Wróciliśmy do siebie. Młodzież akurat biegła z umywalni i o mało, co nie stratowali nas po drodze.

- No jeszcze ruchnij mnie na korytarzu, młody! – krzyknąłem, gdy jeden z nich prawie się ze mną zderzył. Zrobił się czerwony na twarzy i pobiegł dalej.

- Wróć! Co kurwa, pocieniało ci sierściuchu? Ile ty masz, że olewasz bombardiera, co?

Zwróciłem się do Pawła:

- Podoficer, może wy macie wpływ na niego. Staranował bombardiera i nawet nie powiedział słowa „przepraszam albo pocałuj mnie w dupę”. Może trzeba mu zrobić dodatkowe szkolenie z zakresu zachowania się w stosunku do starszych stopniem. Jak chcą traktowania regulaminowo to niech mają, bo znów polecą do K. żeby nas podpierdolić.

Paweł mrugnął jednym okiem, lekko się uśmiechnął i krzyknął w stronę młodego:

- Kanonier W. do mnie. Masz tu regulamin i przestudiuj go szczegółowo. Do jutra masz go znać na pamięć. Sprawdzę.

Podał mu regulamin, jeszcze raz mrugnął okiem w moja stronę i rzucił komendę:

- Do sali, biegiem!

Młody pobiegł w stronę izby z niezbyt wesołą miną, ale skoro chcieli traktowania regulaminowego to go mieli. Kadry nie było w jednostce, więc podoficer dyżurny miał władzę na baterii.

- Ale się wkurwiłeś – powiedział Marek, gdy wróciłem do izby.

- E tam wkurwiłeś – odpowiedziałem – spoko, tylko nie będzie mi kocisko skakało po pagonach.

- A jak znów nas podjebią?

- A chuj mi mogą zrobić. Wszystko odbywa się regulaminowo i nie ma tu naruszania stosunków międzyludzkich. Wojsko to jest wojsko a nie burdel – ciągnąłem dalej – albo się podporządkują albo będą zapierdalać na wysokości lamperii. Zresztą czy tak czy inaczej to loty na tej wysokości są przez nich nieuniknione.

- No jasne.

Poszedłem do umywalni i wziąłem prysznic. Nie chciało mi się ubierać w pidżamę, więc w samych spodenkach położyłem się spać. Na sali zaległa cisza tylko obok drzwi gdzie spał Tadek F. cichutko grało radio. Akurat leciała audycja, która nadawała piosenki „do poduszki”. Generalnie posiadanie radia w izbie było karalne, ale nie takie rzeczy posiadaliśmy. A schowki były tak dobrze zabezpieczone, że byliśmy spokojni o swoje nielegalne mienie.

Słuchając cichej muzyki, po chwili usnąłem.

- Na trzeciej baterii godzina siódma!

„No tak. Przecież to dziś niedziela” – pomyślałem, przecierając zaspane oczy – „O kurwa, ale mnie gnaty bolą. Coś chyba krzywo spałem”.

Wszedł Paweł. Porozglądał się dookoła i zwrócił się do nas:

- Wstawajcie. Zaraz pewnie przyleci N. i robi sprawdzenie stanu osobowego. Wicie jak jest. Dla niego nie ma tego czy jest piątek, sobota czy niedziela.

- Dobra, dobra Paweł, już wstajemy – odpowiedział Marek, gramoląc się z łóżka - Oj coś głodny jestem.

- Marek – powiedziałem – jeszcze się ksiądz nie wysrał a ty już o żarcie.

- No, bo mnie ssie w żołądku – odpowiedział i pogłaskał się po brzuchu - trzeba coś rzucić na ruszt.

Ubrałem moro i trampki. Dziś niedziela, więc buty zostawiam w spokoju. Idziemy z Markiem na stołówkę. Normalny niedzielny jadłospis: śniadanie – parówka, chleb, musztarda, herbata. Obiad – rosół, ziemniaki, kurczak, surówka, kompot. Kolacja – kaszanka, chleb, herbata.

Marek bardzo szybko uporał się ze swoją porcją i pijąc herbatę patrzył jak powoli przeżuwa parówkę.

- Coś ci nie idzie dziś jedzenie. Co? Nerwy ci nie puściły od wczoraj?

- A nie. Pieprzę to – odpowiedziałem – jakoś nie mam apetytu.

W końcu dokończyłem śniadanie i wróciliśmy do siebie. Jeszcze dobrze nie weszliśmy do budynku jak Paweł, donośnym głosem poinformował nas o sprawdzeniu stanu osobowego.

- No ja pierdolę – powiedziałem – on chyba naprawdę się nudzi. Nie ma zajęcia czy jaki chuj?

- Chyba się nudzi – odpowiedział Marian K. – co ma robić w niedzielę?

I znów jak wczoraj ustawiliśmy się, w dwuszeregu. Ta sama procedura. Tym razem jednak zaczął się mały problem. Z początku był mały, ale po krótkim czasie zaczął narastać..

- Podoficer. Coś tu nie gra – zasapał sierżant N. – gdzie jest P.

- Ma służbę na kuchni, jako pomocnik kucharza.

- Ni chuja. Nie ma go tam.

- To może poszedł do magazynu po żywność. Nie wiem obywatelu sierżancie, przecież ja nie wychodzę poza baterię.

- Dobra. Idę na kuchnię sprawdzić i zaraz tu wrócę. Nie rozchodź się – powiedział i prawie biegiem wyszedł.

- No ja pierdolę – powiedział Tadek – będziemy tu stać do usranej śmierci, bo on ma jakieś swoje wizje. Nawiedzony czy co?

- A żeby mu język stanął jak biednemu w burdelu – rzekł Marian – nawet w niedzielę nie da sobie na wstrzymanie. Chodźcie zajarać.

- E. Chłopaki. Nie rozchodźcie się – powiedział Paweł – on zaraz wróci.

- Spoko Paweł – powiedziałem – jak będzie szedł to wrócimy.

Zdażyłem zaciągnąć się ze dwa razy jak zobaczyłem biegnącego w stronę budynku sierżanta N. Położyłem papierosa na lastrykowym parapecie i wróciłem na korytarz.

- Już tu leci – powiedziałem do Pawła – zapierdala jak mały odrzutowiec.

Sierżant wbiegł. Był zasapany i czerwony na twarzy. Z pod daszka czapki, małymi kropelkami ściekał mu po czole pot.

- Podoficer! Ni chuja, nie ma go nigdzie! – dosłownie krzyczał.

- No to, co ja mam zrobić, obywatelu sierżancie – przecież poszedł na służbę, do kuchni.

- Ale tam go nie ma. A widziałeś go dzisiaj?

- Nie widziałem, bo spałem a czuwał dyżurny. Kucharze wychodzą przed pobudką.

- Dyżurny – zwrócił się sierżant do Piotrka M. – widziałeś dziś P.

- Obywatelu sierżancie. Rano wychodzili około szóstej trzydzieści, ale nie zwróciłem uwagi, ilu i kto wychodził.

- Kurwa mać zajebana by to była. No ni chuja nie ma go nigdzie. Podoficer! Zarządzam poszukiwania na terenie jednostki. Cały stan osobowy baterii i PTG bierze się za szukanie.

- A może sierżancie jest w kiblu – powiedział Tadek.

- Nie wkurwiał mnie F. Ile można srać. Godzinę. Ni chuja. Natychmiast rozpocząć poszukiwania.

Wyszliśmy przed budynek. Rozdzieliliśmy się. Jedni poszli w stronę strzelnicy, drudzy na strefę bojową, jeszcze inni za budynki

koszarowca i sztabowca. Zajrzeliśmy do izby chorych i wartownię. Pochodziliśmy po sadzie. Za świniaarnię. Obok klatek z królikami. Nawet sprawdziliśmy za budynkami WAK i za garażami. Nigdzie go nie było.

- Wiesz, co Janku? – powiedział Marek – jego faktycznie nigdzie nie ma. Może poszedł na lewiznę.

- A czort jego wie. Może i tak – odpowiedziałem – wyskoczył wczoraj wieczorem, załapał się na zabawę w Lubiczu albo w Babinku a może nawet w Widuchowej, poznał jakąś panienkę i teraz śpi sobie u niej. A ta pewnie przycisnęła go nogą i już.

- Tak albo nie, ale wiesz, co ten będzie wyczyniał. Zaraz zleci się tu cały sztab. On nie popuści.

- A mam to w dupie. Niech go szukają. Co to, cycem mam go karmić czy co? Gówniarzem nie jest i swój rozum ma. Jak mu dojebią to pójdzie po rozum do głowy. Też nie miał sobie, kiedy wybrać lewizny tylko na służbie N.

- Szkoda mi Pawła. Wiesz jak to jest. Zawsze podoficer odpowiada za to.

- Chuja mu zrobią. Ma służbę na baterii a nie w kuchni. A przecież nie jest powiedziane, że Arek urwał się z sali. Może dał nogę ze stołówki?

Wróciliśmy pod dyżurkę oficera. Sierżant N. wprost miotał się dookoła jak szczur w potrzasku. Pot dosłownie zalewał mu oczy. Co

chwilę wycierał czoło, ale czapki nie zdjął a pas podciągał, non stop do góry.

- I co? – zwrócił się do nas – nie ma go?

- No nie ma nigdzie, sierżancie – odpowiedział Marek i dodał – a może przez ten czas wrócił na baterię?

- Ni chuja. Tam go nie ma. Wszyscy na baterię!

Wróciliśmy do siebie. Dosłownie za chwilę przybiegł sierżant. Kazał Pawłowi zrobić zbiórkę i sprawdził czy jeszcze kogoś nie brakuje. Wydał rozkaz zakazujący opuszczanie budynku bez jego wiedzy. Był na pewno bardzo zdenerwowany, bo zauważyliśmy plamy potu, który przesiąknął przez mundur. Wcale mu się nie dziwiłem. Takie rzeczy jak samowolne oddalenie nie należały do przyjemności zwłaszcza dla osób pełniących w tym czasie służby.

- Trafiłem do woja a znalazłem się w anclu - powiedziałem zapalając papierosa od ognia zapalniczki, którą podał mi Marek.

- A chuj z tym – tym razem odezwał się Marian – najgorsze to jest to, że Arek będzie miał przesrane. No i nie wiadomo, co z Pawłem?

- Zobaczymy jutro. A może wróci do rana? – wyrokował Tadek.

- I co z tego? – odpowiedział Marek – i tak wszyscy będą o tym wiedzieli. Na sto procent, już zadzwonił do Gryfina. Człowieku, on poruszy niebo i ziemię. Ni chuja, nie podaruje.

- A zresztą – dodał Tadek - niech sobie trepostwo z tym daje radę. Ja mam na to wyjebane. Co to? Ja mam pięćset do cywila, żeby tym się przejmować?

- *Niby tak, tylko to odbije się na nas wszystkich – dodał Marek.*
 - *A jebał to pies – powiedział Paweł i dodał – przeżyliśmy najazd szwedzki, przeżyjemy i radziecki.*
-

Rano, na apelu aż grzmiało od rozkazów. Oczywiście zostaliśmy oficjalnie poinformowani o samowolce Arka. Już nie tylko nasza bateria, ale wszystkie łącznie z PTG i plutonem ochrony była pod czujnym okiem kadry. Na zajęcia zbiórka. Po zajęciach zbiórka. To samo przed apelem i po apelu oraz przed obiadem i po nim. Dosłownie jak na unitarce.

Przed osiemnastą widzimy jak z autobusu oprócz oficera dyżurnego i jego pomocnika wysiada nasz dowódca baterii, major W., szef chorąży Andrzej K., chorąży Leszek K., chorąży Tomasz O., i sierżant Zdzisław P.

„O kurwa. Coś się szykuje” – pomyślałem.

- Marek widziałeś? – zapytałem.

- No widziałem. Prawie wszyscy nasi przyjechali. Ale, po co? Będą nas pilnować w nocy czy co?

- Oj chyba chodzi tu, o co innego?

- Bateria baczność! – pada ze strony podoficera.

- Spocznij. Podoficer. Ogłosić alarm bojowy na baterii. Pobieramy tylko hełmy, broń, maski i OP1. Wykonać!

- Rozkaz! Na trzeciej baterii alarm bojowy!! Przygotowanie baterii do pobrania broni, hełmów, masek przeciwgazowych i OP1. Plecaki pozostawiamy w salach!

- Drużyna montażu! Zbiórka przed magazynem broni!

- Na to wychodzi – mówię do Tadka, – że biorą nas na przepierdolenie.

- Chyba tak – odpowiada i dodaje – ale, że bez plecaków to aż się sam dziwię.

- Drużyna dystrybucji, przed magazynem broni zbiórka! Przygotowanie do pobrania broni plutonu PTG! – słyszymy.

Giwera w łapę, hełm na głowę. Prze ramię przewieszam torbę z maską i drugą z OP1. „Kurwa mać. Wojna”.

- Trzecia bateria i PTG w dwus szeregu przed budynkiem, zbiórka! Stoimy przed koszarowcem. Wraz z Markiem i Takiem mamy nie zapięte paski od hełmów, co od razu rzuca się w oczy szefowi baterii.

- Co to? US Army? – krzyczy chorąży K. – zapiąć te hełmy.

Poprawiamy nasz ekwipunek. Widzimy jak pozostałe pododdziały z zainteresowaniem patrzą na nas z okien. Pada komenda „w lewo zwrot. Na wprost marsz”.

Wychodzimy przez bramę poza teren jednostki. Znajduje się tu tzw. aleja śliwkowa. Swą nazwę zawdzięcza bardzo dużą ilością rosnących tu drzew owocowych. Zapada zmrok. Idziemy prawie po ciemku. Kadra przyświeca latarkami, ale tylko sobie pod nogi.

Ziemia pod nogami jest miękka i błotnista. W południe padał dość intensywnie deszcz. Kadra omija kałuże i większe skupiska błota. My nie.

Tam gdzie jest najwięcej błota, zaczynają padać komendy „lotnik z prawej. Kryć się!”. „Lotnik z lewej”. „Padnij”. ”Czołganiem na wprost”. „Pogotowie gazowe. Maski włoż”.

Z początku staramy się jak najmniej zaliczyć błota, jednak jest jego tak dużo, że nie bardzo nam to wychodzi.

- Maski zdjąć. Pięć minut przerwy – pada rozkaz.

Zapalamy papierosy. Na niebie zaczyna świecić księżyc. Jest widniej. Kadra z jednej strony my z drugiej. Szybko i cicho umawiamy się, co do zachowania jak padnie jeszcze raz komenda o lotniku albo padnij.

- Koniec przerwy! Pogotowie gazowe. Maski włoż.

I od początku to samo. Tym razem nie oszczędzamy się jednak. Gdy pada komenda „lotnik z prawej”, wybieram sobie największą kałużę i padam w nią całym ciałem jak deska. Błoto rozpryskuje się na boki. Zza brudnych szybek maski widzę, jaki to dało efekt. Szefa baterii moro jest w oplakany stanie. Inni również nie wyglądają lepiej. Odsuwają się od nas na bezpieczną odległość, ale jest już za późno. Są ochlapani trochę mniej niż my. U nas sytuacja jest o tyle gorsza, że błoto mamy wszędzie. W kieszeniach, butach, rękawach i nogawkach.

Cała ta „zabawa” trwa do pierwszej w nocy”. Ze śpiewem na ustach i krokiem defiladowym wchodzimy na teren jednostki. Czyścimy broń z błota. Wkładamy kalachy pod wodę, co nie wolno było robić, ale w ten sposób można dokładnie wypłukać błoto. Po chwili trafia na giwery duża ilość oliwy do konserwacji. To samo robimy z maskami i hełmami. Suszymy to, czym się da, po czym oddajemy cały majdan do magazynu. Jest prawie trzecia. Kadra pojechała a nas czeka jeszcze pranie umundurowania, czyszczenie butów i kąpiel. W zimnej wodzie. Około czwartej kładziemy się do łóżek. O szóstej jest pobudka i ni chuja, trzeba będzie wstać.

Jeszcze dobrze nie zasnęliśmy a już ogłoszona jest pobudka. Ubieramy mundury polowe. Są mokre. To samo z butami. Po apelu i śniadaniu wracamy na baterię.

- Wiecie, co? – mówię do kolegów – jak młodzi nas podjebali i żyją regulaminem, to my zrobmy to samo.

- To znaczy jak? – pyta Zbyszek M.

- Przyjdzie do wyjazdu po zaopatrzenie czy też po jakąś inną kurwę, to powiemy, że według regulaminu nie mieliśmy przysługującego nam odpoczynku i nie pojedziemy. Boimy się spowodowania zagrożenia w ruchu lądowym i chuj.

- Faktycznie. Masz rację – odpowiedział Waldek J. – a jak się uprą?

- No to, co ci zrobią? Ma być regulaminowo, to będzie. Nie łam się. Będzie dobrze. Tylko wszyscy mają się tego trzymać, bo jak któryś się wyłamie to dupa zimna.

- Nie ma nawet takiej opcji żeby któryś pojechał. Albo wszyscy albo nikt.

Okolo dziewiątej zaczęła się „przepychanka” z kadrą. Nie ma, kto jechać starem, a trzeba w Gryfinie odebrać mięso. Brak obsady na nysę, nawet nie ma, kto wyprowadzić stara strażackiego. Rozpoczyna się „wojna” słowna. Zostaje wezwany major B. i jako zastępca dowódcy do spraw technicznych staje...po naszej stronie. Oczywiście na baterii jesteśmy poinformowani, że nocne zajęcia spowodowane były samowolnym oddaleniem Arka P.

A co my mamy z tym wspólnego? Jesteśmy jego opiekunem czy co?

Ale tak w armii było – jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

„Kto nie maszeruje z nami, maszeruje przeciw nam”.

Generalnie nie pojechał nikt z nas. Na stara usiadł sierżant S. a nysą wyjechał nasz sierżant K.

Po dwóch godzinach dowódca baterii podjął decyzję o zakończeniu zajęć. Udaliśmy się do swoich sal i otrzymaliśmy pozwolenie na położenie się do łóżek. My, ale nie młodzi. Po nocnych manewrach w izbach i na korytarzu za czysto nie było. Kadra opuściła baterię, więc podoficer a miał tą służbę Krzysztof S. wziął do galopu wszystkich młodych. Porządki miały być zrobione na cacy.

Zaczęli od mycia okien. Na podłogę korytarza powędrowało parę wiader wody i trociny. Potem pasta i froterowanie. Następnie izby. Wszystko zgodnie z regulaminem. My leżeliśmy na łóżkach a oni uwijali się jak w ukropie. Najgorzej mieli w pobliżu naszych łóżek. Każde stuknięcie miotłą o element naszych koi spotykał się z dużym niezadowoleniem z naszej strony.

- Co ty odpierdalasz młody! – krzyknął Janek – nie widzisz, że śpię.

- Przepraszam, ale jakoś tak zahaczyłem – odpowiedział jeden z nich.

- Wali mnie to. Masz to tak robić, żebym mógł spać. Zrozumiano?

- Tak jest.

Faktycznie chodzili jak na paluszkach. Sala świeciła się dosłownie, ale dla Krzyśka było to mało.

Zrobił zbiórkę na korytarzu. My generalnie i tak nie spaliśmy.

Wyszliśmy w trójkę na palarnię i obserwowaliśmy, co będzie dalej.

- Porządki zrobione? – zapytał Krzysiek.

- Tak jest – odpowiedzieli razem.

- Zobaczymy.

Podszedł do obrazu wiszącego na ścianie i zdjął go. Przeciągnął palcem po wewnętrznej stronie ramy i eksponując swój zakurzony palec młodym powiedział:

- A to, co? Chcecie żeby wszyscy nabawili się pylicy. Dają z powrotem z wiadrami, wodą i szmatami.

Po chwili wszystko rozpoczęło się od nowa. Woda, trociny, pasta i froterowanie.

Po godzinie, Krzysiek znów przystąpił do sprawdzania efektów ich pracy. Tym razem wpadł na pomysł, żeby włożyć zapalną z nawiniętą na nią watą w dziurkę od klucza.

- No nie – powiedział – widzę nadal syf i brud. Co to? Pająki zaległy się w drzwiach.

I znów od początku: woda, trociny, pasta i froterowanie. I tak do godziny trzynastej trzydzieści. O dziwo, przez cały okres ich sprzątkania na baterii nikt z naszej kadry nie pokazał się.

- Skończyli? – zapytał Krzysiek.

- Tak jest!

- Dobra. Chowają sprzęt i przygotowują się do apelu. Pasuje wam to? Chcecie regulaminu to go macie.

- Ale czy to jest w regulaminie, żeby tak ciągle sprzątać? – zapytał jeden z nich – ja też chciałbym się położyć.

- Co ty pierdolisz?! Chciałbyś wleźć do wyra? Chcesz żeby moro na tobie się spaliło. Kurwa, chłopie, o czym ty do mnie pierdolisz. A poza tym to może byś złożył meldunek, chyba widzisz, co mam na pagonach.

- Ale inni też tak myślą.

- Nie czytałeś regulaminu, że w imieniu innych głos zabiera dowódca drużyny. O kurwa, to tak znacie regulamin. Po obiedzie

każdy uczy się jego na pamięć. Macie na to dwie godziny. Potem was przepytam i porządków ciąg dalszy. Wykonać!

Arek na samowolce był cztery dni. Zanim powrócił do nas, odbył karę aresztu w ilości czternastu dni w Gryficach. Jak mówili oficerowie, potraktowany został bardzo łagodnie.

Jeżeli chodzi o młodych, to nastąpiła pewna zmiana. Sami zebrali się razem i przyszedli w momencie, gdy wszyscy rezerwiści znajdowali się na sali montażu.

- No, co chcecie? – zapytał Sylwek.

Jeden z nich, przestępując z nogi na nogę, widać było po nim, że z trwogą, powiedział:

- My byśmy chcieli jak dawniej. Nie regulaminowo.

- Tak? A za dwa dni znajdziemy się u dowódcy do raportu – powiedział Tadek – nie ma takiej zajebanej opcji. Już raz nas podpierdoliliście i co? Wyszło wam to na dobre. Chyba nie?

- A po za tym – dopowiedziałem – to wasze zachowanie doprowadziło do upodlenia nas w oczach całej rezerwy jednostki. Popatrzcie na młodych I i II baterii. Bez burzenia się dają sobie radę, posiadają już jakieś tam drobne przywileje, a wy, co?

- No jak to, co? – powiedział Marek – chcą chyba zostać grzbietami.

- Nie. Nie chcemy.

- Teraz nie chcecie a jutro o wszystkim zameldujecie szefowi, co?

- Nie. Nic takiego nie zrobimy .

- Dobra. Wypierdalać na korytarz. Musimy pogadać, co z wami zrobić. Dyżurny! – krzyknąłem.

Wszedł kolega z poboru wiosennego tzw. Wicek.

- Daj im coś do roboty, bo się nudzą. My musimy spokojnie pogadać. Jakby ktoś szedł daj cynk. Postaw jednego młodego na czujce.

- Dobra. Zrobi się.

Po ich wyjściu patrzyliśmy na siebie przez chwilę.

- I co wy na to? – zapytałem.

- Ja to bym ich pierdolil – powiedział Janek – to, co zrobili woła o pomstę do nieba.

- A może trochę im zlużujemy – zaproponował Staszek, który był kucharzem.

- Tak. Ty im zlużujesz a oni na drugi dzień cię podpierdolą.

- Słuchajcie – powiedział Marek – nie ma, co się kłócić. Moja propozycja jest taka. Robią wszystko, co dotychczas i zamiast dziadku mówią rezerwisto. To po pierwsze. Po drugie jak jest kadra zwracają się do nas obywatelu kapralu, czy bombardierze, zależy, jaki kto ma stopień. A po trzecie to jakbyśmy doszli do porozumienia o obcince, to niech sobie poczekają dłużej niż pozostali.

- *O kurwa. Marek – powiedziałem, – ale pierdolnąłeś teraz przemówienie, jak szef sztabu.*

- *No dobra – rzekł Paweł – trzeba ich zawołać i przekazać, co nieco. Młodzi wysłuchali nas uważnie. Odczuliśmy to, że są zadowoleni z naszej postawy. Na pewno zazdrościli swoim kolegom na innych bateriach, że tamci mogą nosić szelki czy też nie musieli poruszać się biegiem. Ich to szczęście jak na razie ominęło. O ewentualnej obcinie nawet nie wspomnieliśmy. Niech na razie biją się z myślami. Karę za znieważenie rezerwy ponieść muszą.*

My coraz częściej, wieczorami przy zgaszonych światłach snuliśmy plany na przyszłość i pół głosem śpiewaliśmy piosenki o rezerwie.

*„Cywil, cywil, i jeszcze raz cywil,
o cywilu ja marzę i śnię.*

*Bo w cywilu jest tyle panienek,
może któraś zechciała by mnie”.*

Sprawdziła mi się ta piosenka. W niecały rok po wyjściu do cywila, poznałem swoją przyszłą żonę. Trzy lata później, pobraliśmy się. Im bliżej końca, tym bardziej przeżywaliśmy to. Z drugiej strony mieliśmy tą świadomość, że po krótkim czasie od opuszczenia

*murów jednostki, zapomnimy o sobie. Każdy pójdzie w swoją stronę.
Każdy lepiej lub gorzej ułoży sobie życie. Ale to było nieuniknione.*

14. PRZYBYLI...KIEROWCY

Pewnego popołudnia, przybyła do nas unitarka, którą to wraz ze Zbyszkciem mieliśmy szkolić. Dlaczego my nie pojechaliśmy po nich do Gryfic, nie wiedzieliśmy?

Gdy weszli na baterię a było ich trzydziestu dwóch, stanęły mi przed oczami moje pierwsze dni w wojsku. Miny wystraszone, wzrok błędny a oczy szeroko otwarte i rozbiegane dookoła. Przyprowadził ich szef baterii, chorąży K. Zostawili swój dobytek w salach i stanęli na korytarzu, na pierwszej zbiorce. W nieładzie i krzywo. Szef śpieszył się do domu, dlatego bardzo szybko przedstawił nas jako dowódców drużyn, po czym pojechał do Gryfina. Patrzyli na nas a my patrzyliśmy na nich. Żeby rozładować napiętą sytuację, lekko się uśmiechnąłem i powiedziałem:

- Jesteście na III baterii technicznej. Wiecie już zapewne, że trafiliście do, rakietówki, czyli wojsk obrony powietrznej kraju. Jak widzicie jednym dowódcą drużyny jest Zbigniew K. a drugim ja. Od jutra zaczynamy szkolenie. Za chwilę napiszecie na kartkach swoje dane i jeden z was pozbiera i odda mi je. Waszym dowódcą, a jesteście plutonem kierowców, jest porucznik B. Jak już uporacie się z waszymi danymi to zapiszecie sobie na kartkach stopnie oraz nazwiska dowództwa naszej jednostki, dowódców baterii, plutonów i drużyn. Nawet jak obudzimy was w środku nocy macie je znać śpiąc. Są pytania?

- Ja mam – powiedział jeden z nich.

- Nie ja, tylko mówisz swój stopień i nazwisko a potem dopiero prosisz o pozwolenie zapytania, oczywiście zwracając się do nas obywatelu bombardierze. Acha. Właśnie. U nas nie ma szeregowego tylko kanonier, a starszy szeregowy to bombardier. No a teraz słucham żołnierzu.

- Obywatelu bombardierze, gdzie tu jest toaleta?

Wybuchnąłem śmiechem.

- Jeszcze któryś chce do kibla?

Większość podniosła ręce do góry.

- No dobra. Tu po prawej stronie jest palarnia, i pierwsze drzwi za wejściem prowadzą do toalety. Idźcie teraz załatwić swoje potrzeby, jak ktoś chce zapalić to tylko w palarni a potem brać się za swoje dane.

Poszli prawie wszyscy, pomimo, że były tylko trzy kabiny.

- Tylko żebyście nie wyruchali się tam nawzajem – krzyknął Zbyszek za nimi.

Usłyszeliśmy śmiech z ich strony.

- Było się śmiać? – krzyknąłem.

- Jutro już nie będą tacy weseli.

- Normalne – powiedziałem – od jutra zaczną im się wojsko. Acha. Zapomniałem im powiedzieć, ale załatw to ty. Niech do jutra, co niektórzy ogolą się dokładnie i pobudka normalnie o szóstej, ale bez

zaprawy. Ja idę do kancelarii i wrócę za jakieś pół godziny. Dopilnuj ich.

- Nie ma sprawy.

Gdy wróciłem, Zbyszek miał już zebrane kartki z ich danymi i właśnie dyktował stopnie i nazwiska, które mieli się nauczyć. Popatrzyłem na nich. „Ja pierdolę. Tak zaczynałem. Ile to dni przed nimi, ile musztry, alarmów, panik. Ja wyjdę a oni jeszcze półtora roku tu będą gnić. Kurwa mać, trochę mi ich szkoda, ale tak zaczynali wszyscy”.

- Słuchają mnie teraz wszyscy – powiedziałem.

Popatrzyli na mnie z zainteresowaniem.

- W wojsku wszystko wykonujemy na komendę i za pozwoleniem przełożonego. Ja dziś obejmuję służbę, więc bombardier K. przyuczy was abyście od jutra zaczęli zachowywać się jak przystało na żołnierzy. Pamiętajcie, że nie ma samowolnego chodzenia gdziekolwiek. O wszystko zwracamy się do dowódcy drużyny lub podoficera baterii. Na pewno jutro poznacie dowódcę plutonu, porucznika B. Jutro pierwszy apel. Ale o szczegółach poinformuje was bombardier K., bo ja muszę już iść na odprawę. Czy są jakieś pytania? Nie ma? Dobra. Widzimy się jutro o szóstej. Jak wejść rano na salę to nie chcę widzieć nikogo w łóżku. To wszystko. Zbyszek, wprowadź ich w szczegóły. Jak będzie spokojnie to jeszcze dziś wpadnę do was na salę.

Wyszedłem na zewnątrz i udałem się na plac apelowy celem odprawy wart i służb. W oczekiwaniu na oficera dyżurnego, koledzy pytali mnie o unitarkę.

- Co ja mogę wam powiedzieć? Na razie są wystraszeni i tyle. Kryśka się nimi opiekuję, ale po odprawie też do nich zajrzę.

- Kurwa mać – powiedział dowódca warty – fuchę załapałeś super. Zero zajęć.

- Niby tak, ale za nim oni wszystkiego się nauczą to pół mojego zdrowia pójdzie. Chyba, że szybko załapią. Dobra. Stajemy. Idzie chorąży.

Po odprawie poszedłem na PKT. Przyjąłem służbę i wróciłem na baterię. Unitarka była zgrupowana w jednej sali. Zbyszek miał już zebrane kartki z ich danymi. Przejrzałem je pobieżnie. Charakter pisma na trzech z nich był ładny, pozostałe jak kura pazurem. Zanotowałem sobie nazwiska tych, którzy wykazali się dużym talentem w piśmie. Uczyli się stopni i nazwisk kadry a w międzyczasie Zbyszek odpowiadał na zadawane przez nich pytania. Zrobiliśmy im to, co od biedy można było nazwać zbiórką i pierwsza drużyna pobięła się umyć a druga czyniła ku temu przygotowania. Gdy wszyscy byli umyć, znów spotkali się w jednej izbie. Powtarzali stopnie i nazwiska. Wszedłem do sali i w tym momencie usłyszałem komendę wydana przez Zbyszka:

- Pluton powstań. Baczność

Musiałem chyba zrobić niezbyt mądrą minę, bo uśmiechnął się szelmowsko do mnie i zameldował:

- Obywatelu bombardierze. Dowódca drugiej drużyny plutonu kierowców, bombardier K. melduję pluton podczas nauki stopni i nazwisk, kadry naszej jednostki.

- Dajcie spocznij – odpowiedziałem, tłumiąc śmiech.

- Pluton baczność! Pluton spocznij!

- Siadajcie i uczcie się dalej. To, co przed chwila widzieliście czeka was na porządku dziennym. My mamy równe stopnie i zrobione to było na pokaz dla was, ale macie dowódcę plutonu, szefa baterii, dowódcę baterii, dowódcę jednostki itd., więc lepiej zapamiętajcie sobie tą formułkę. Jeżeli nas by na sali nie było a wszedłby tu ktoś starszy stopniem, należy zawsze złożyć meldunek. Robi to żołnierz, który znajduje się najbliżej drzwi. Oczywiście meldunek musi być sformułowany daną sytuacją, w której się znajdujecie, czyli podczas pisania, czasu wolnego, zajęć itp.

- A tobie też trzeba meldować? – zapytał jeden z nich.

- Ej. Żołnierzu. A od kiedy do dowódcy drużyny zwracamy się na ty? – powiedział Zbyszek – co? Nie widać, stopnia na pagonach?

- No właśnie – powiedziałem – dla was jestem dowódcą pierwszej drużyny plutonu kierowców bombardier Chojnowski. Zrozumiano?

- Tak.

- W wojsku odpowiadamy razem i głośno „tak jest”!

- Tak jest – poprawili się, jednak nie na tyle, żeby nas zadowolić.

- Nie słyszałem.

- Tak jest!! –wrzasnęli tym razem głośno i równo.

- Całkiem, całkiem. Dobra. My teraz wychodzimy a wy powtarzajcie sobie jeszcze stopnie i najlepiej przepytujcie się nawzajem. Jest godzina dwudziesta trzydzieści. Do łóżek kładziemy się o godzinie 22. Zrozumiałeś żołnierzu – powiedziałem zwracając się do niskiego wzrostu, pulchnego grubaska, który pakował się pod koce – O 22.

Wyszliśmy ze Zbyszkciem na korytarz.

- Oj ciężko będzie – rzekł „Kryśka”.

- Nie będzie tak źle. My byliśmy inni? Trzeba tylko do tego podejść w sposób zdecydowany. Jak to mówią twardą ręką, głośnym rozkazem i szybkim wykonaniem. Słuchaj, zrobimy próbę. Wejdiesz za chwilę do nich i zobaczymy jak im wyjdzie meldunek. Ja wejdę za tobą.

Podeszliśmy pod drzwi. Zbyszek zdecydowanym ruchem nacisnął klamkę i przekroczyliśmy próg sali. Nie wierzyliśmy własnym oczom. Wszyscy powchodzili za ostatnie łóżka, ściskając się jak śledzie. Po środku pokoju nie było nikogo. Stanęliśmy dwa kroki od drzwi i patrzyliśmy w ich stronę. Zaczęli się przepychać i jeden , drugiego próbował wypchnąć na środek.

„A tu was mamy” – pomyślałem – „żaden nie chce czy też boi się złożyć meldunek”.

- Pojebało was czy co? – krzyknął Zbyszek – przecież za chwilę się stratujecie jak stado baranów. Nie ma odważnego do zameldowania?

Chwilę trwała konsternacja, po czym wypchnęli jednego. Podszedł do nas, zasalutował do gołej głowy i powiedział do nas:

- Obywatele dowódcy, bombardierzy. Składam meldunek, że uczymy się na pamięć stopni i nazwisk ludzi z wojska.

Parsknęliśmy śmiechem. Nie mogliśmy się powstrzymać.

Zbyszek ochłonął pierwszy.

- Ludzie. Przecież to normalna kaszana. Ja pierdolę. Jak by tu wszedł teraz ktoś z kadry zamiast nas, to chyba by was powystrzelał.

- Dobra, Zbyszek. Ja idę na PKT a ty poćwicz z nimi, żeby nie było wpadki – powiedziałem i wyszedłem z pokoju trzymając się ze śmiechu za brzuch.

Rano, wraz ze słowami podoficera o pobudce otworzyłem gwałtownie drzwi do ich sali. Oprócz jednego wszyscy stali przy swoich łózkach. W dniu dzisiejszym z zaprawy porannej byli zwolnieni. Podszedłem do łóżka, na którym nakryty prawie po czubek nosa leżał jeden z unitarków.

- A to, co gościu? Pobudka nie rusza. Wszyscy koledzy są na nogach, a ty, co? Z wyra!

- Yyy – dało się słyszeć z pod koca.

- *Co ty powiedziałeś? Jeszcze raz powtarzam, wypad z wyra!*
- *Yyy – doleciało do mnie.*
- *Zbyszek! – zawolałem. Po chwili wszedł „Kryśka”.*
- *Ty widziałeś takie coś? Wszyscy na nogach a temu tylko oczy wystają z pod koca.*

Nie zastanawiał się długo. Jednym sprawnym szarpnięciem pozbawił go nakrycia i oczom naszym ukazała się twarz z sumiastymi wąsami.

- *A, to tu cię boli? Dlaczego żołnierz jest nieogolony? Powstań!*
- Trochę leniwym ruchem podniósł się i stanął obok łóżka.*
- *Czegoś wczoraj nie zrozumiałeś? Chłopie, jesteś drugi dzień w wojsku i zaczynasz fisiować.*
- *Przygotowanie I drużyny do porannej toalety. Czas 10 sekund – powiedziałem i wyszedłem ze Zbyszkiem na korytarz.*
- *Kurwa mać – zaklnął Zbyszek – psychiczny czy co?*
- *Nie mam pojęcia? – odpowiedziałem – dawaj Kryśka. Rób zbiórkę.*
- *I drużyna, na korytarzu biegiem zbiórka!*

Wybiegli na korytarz i w miarę równo ustawili się pod ścianą.

- *Wszyscy, wszystko mają? – zapytał.*
- *Tak.*
- *Nie słyszałem. Wszyscy, wszystko mają?*
- *Tak jest!!!*
- *No. Teraz lepiej. W celu umycia się oraz ogolenia kolegi do umywalni, biegiem marsz!*

Wszedłem za nimi do umywalni. Walka o ogień to za mało powiedziane. Dosłownie tratowali się przy umywalkach. Kłócili się, wyzywali nawzajem.

- Co jest kurwa! – krzyknąłem, – kto pozwolił gadać! Myją się szybko. Za chwilę idziemy na śniadanie. Od jutra będzie jeszcze zaprawa. Ciekaw jestem jak się wyrobicie? Musicie się ubrać i zaścielić łóżka, a wy, co tu odpierdalacie?

Zaczęli się myć w ciszy i spokoju. Wyszedłem przed umywalnię. Zauważyłem, że Zbyszek robi zbiórkę swojej drużynie.

- Kończą mycie! – zawolałem – czas 10 sekund.

- Chyba go pojebało – dało się słyszeć z umywalni.

- I drużyna na korytarzu biegiem zbiórka!

Stanęli pod ścianą wycierając ręcznikami nie zmyte mydło z twarzy. Zbyszek zagonił swoich. Przebiegli obok nas truchtem.

- Chciałbym się dowiedzieć – powiedziałem – o kim mówiliście w umywalni, „że go pojebało”.

Cisza. Gdyby w powietrzu znajdowała się mucha, podejrzewam, że słychać by było jej bzyczenie.

- Co? Nie ma odważnego teraz. Czyli to mnie pojebało, tak!

Cisza.

- Dobra. Do sali biegiem marsz. Ubierają się, ścielą łóżka. Przygotowanie drużyny do wyjścia na śniadanie.

Nie wchodziłem za nimi. Słyszałem jak trzeszczały sprężyny łóżek, przewracały się w pośpiechu taborety. Ale tym razem żadnych epitetów na mój temat nie usłyszałem.

- Słyszałeś Zbyszek. W umywalni któryś z nich powiedział, że mnie pojechało.

- Poważnie?

- No poważnie. Nie wiem, który ale widzę, że chyba trzeba będzie z nimi popracować trochę ostrzej.

- Zrobi się. Nie ma, co im popuszczać od pierwszego dnia.

Zaprowadziliśmy ich na stołówkę. Pobrali posiłek w pierwszej kolejności. My na końcu. Nasze talerze świeciły już pustkami, gdy co niektórzy z nich dopiero zaczynali.

- Ruchy wojsko, ruchy. Za chwilę przyjdą tu pozostałe baterie i trzeba im zrobić miejsce.

Przyśpieszyli. Wyprowadziliśmy ich na zewnątrz w momencie jak do drzwi stołówki podchodzili żołnierze z trzech baterii.

- Dają do swoich izb. Poprawiają porządki – zakomenderował Zbyszek.

Niektóre łóżka zaścielone były tak jakby przed chwilą przeszedł tajfun. Z naszą pomocą doprowadzili je do porządku. Zwracaliśmy zawsze wielką uwagę na to, żeby wszystko było ładnie ułożone, łóżka wzorowo zaścielone a izby w nienagannym stanie. Z naszym szefem baterii, żartów nie było.

Zaczęły się zajęcia z musztry i przygotowania do przysięgi. Podczas pełnienia służby przez któregoś z nas, zawsze mogliśmy liczyć na pomoc ze strony Marka i Pawła.

Powoli zacząłem również przyuczać mojego następcę. Dość dobrze radził sobie z zagadnieniami dotyczącymi samochodówki. Oczywiście w międzyczasie trwała nauka jazdy. Praktycznie harmonogram obowiązków miałem bardzo napięty. Po około dwóch tygodniach marsz, meldunki, ścielenie łóżek i zbiórki mieli opanowane w stopniu dobrym.

Pewnego dnia poszliśmy na zajęcia taktyczne. Generalnie było ich bardzo mało w planie szkoleń, ale od czasu do czasu się zdarzały. Tematem ćwiczeń było okopywanie w pozycji leżącej. Każdy z nich otrzymał karabin PM oraz saperkę. Do tego hełm na głowie i jazda w miękkim i bagnistym terenie. Zbyszek wyznaczył każdemu z nich kawałek terenu i donośnym głosem ogłosił rozpoczęcie zajęć. Złapali łopatkami w dłonie i rozpoczęli kopanie. Zadanie to mieli wykonać w określonym czasie. Po paru chwilach zauważyłem, że niektórzy odstawili na bok broń, która przeszkadzała im w kopaniu. Byli tak zajęci, że nie zwrócili uwagi na to, że...zginęła im broń. Kryśka szybkim krokiem przemierzał teren od jednego do drugiego, natomiast ja jak lis zakradłem się i „podprowadziłem” im giwery. Zbyszek ogłosił koniec zajęć i zbiórkę w dwuszeregu, i wtedy zaczęły się „schody”.

- O kurwa! Gdzie moja broń?

- Mojej też nie ma. Ja pierdolę ktoś ukradł!

Stanęli na zbiorce. Popatrzyłem na nich dość groźnie. Chyba zrozumieli wtedy, że to nasza sprawka.

W miejscu gdzie stałem ze Zbyszkciem rosła dość wysoka trawa i krzak głogu. Giwery były pod nim schowane. Pięć sztuk. Nieopodal była kałuża błota, która nie wyschła jeszcze po niedawnych opadach.

- A co to za kurwowanie? – zapytałem – jakiś problem?

- Obywatelu bombardierze – powiedział jeden z nich – podczas zajęć ktoś nam ukradł broń.

- Jak to ukradł?! Żołnierz nie ma prawa porzucać broni na polu walki. Lepiej zgubić całomiesięczny żołd niż broń. I co teraz będzie? Każdy, kto nie ma broni zostanie ukarany, a być może nawet rozstrzelany – zażartowałem.

Nie wiedzieli czy żartuję czy mówię na poważnie.

- No dobra – powiedziałem i schyliłem się pod krzak. Podniosłem pierwszego PM-a i odczytałem jego numer.

- Kogo to broń?

Nikt się nie zgłosił. Tak jak stałem wrzuciłem ją do kałuży. Broń zniknęła pod wodą.

- A więc nie ma właściciela? Dobrze. Jedziemy dalej. SK 14577.

Cisza.

- O! Też nie ma właściciela – i bęc ją do wody.

- Następna. KJ 34597.

Cisza. I znów bęc do wody.

Gdy podniosłem czwartą, to jeszcze nie zdążyłem odczytać numeru a już się zameldował jej właściciel.

- A więc to twoja? Jak się nią opiekujesz? Przecież to tak wygląda jakbyś porzucił swoją dziewczynę albo żonę.

- No, bo dowódca mi ja podpierdolił.

- Co zrobiłem? Widzę, że oprócz czyszczenia broni czeka was jeszcze dziś nauka słów, których używamy w stosunku do przełożonych. Wrócimy do tego. Pięć minut na papierosa i wyciągnijcie z błota broń.

Odszedłem na bok ze Zbyszkciem. Zapaliłem papierosa. On był niepalący.

- Słuchaj Kryśka. Ja idę pierwszy na baterię. Schowam się i zobaczymy, co będą mieli do powiedzenia na mój temat, a ty powoli ich prowadź.

- Dobrze. Tylko ukryj się, żeby cię nie widzieli.

- Nie ma obawy.

Poszedłem szybkim krokiem w kierunku koszarowca. Przy stoliku na korytarzu siedział Marek, który miał dziś podoficera dyżurnego baterii.

- Co się stało? – zapytał – wyglądasz jakby cię stado wilków goniło.

- No, bo prawie mnie gonią – odpowiedziałem.

Szybko zrelacjonowałem mu, o co chodzi. Roześmiał się.

- Już to słyszę, co będą mieli do powiedzenia. Schowaj się szybko, bo chyba wracają. O i to na pewno, bo Kryśka się wścieka. Pewnie znów coś nawywijali po drodze.

Wbiegłem do sali mojej drużyny i położyłem się pod łóżkiem. Dało się słyszeć ciężkie kroki i sapanie. Weszli do izby i zamknęli za sobą drzwi.

- Przygotowanie plutonu kierowców do czyszczenia broni – usłyszałem komendę wydaną przez Zbyska.

- Jak ja to teraz wyczyszczę? – zapytał właściciel „utopionego” karabinu.

- Najlepiej pod wodą, bo błoto powłaziło wszędzie. I trzeba to zrobić bardzo dokładnie, bo pewnie „Kryśka” sprawdzi czystość wata.

- Ale odjechał nam numer. Kurwa, jak go spotkam w cywilu to marny będzie jego los. Tak mu jebnę, że spadnie mu wąż z tej kociej mordy.

- Przejdzie ci. Ale swoją drogą to mnie też wkurwił. Wielki dowódca drużyny. On jest chyba podpadziochą, bo ma bombardiera a nie kaprala.

- A chuj z tym. Jak się wkurwię to jeszcze dziś mu mordę oklepię. A Kryśka to lepszy? Taki sam pustak.

Nie czekałem już na więcej epitetów z ich strony na nasz temat. Sprawnym ruchem podniosłem się z pod łóżka i stanąłem pośród nich. To, co zobaczyłem w ich oczach, można porównać do otarcia

się o śmierć. Złapał ich taki paraliż, że jak któryś był schylony to w takiej pozycji pozostał.

Popatrzyłem na nich i bez słowa wyszedłem zamykając drzwi.

Kiwnąłem ręką na Marka i Zbyska. Weszliśmy do palarni. Tam im opowiedziałem wszystko ze szczegółami.

- Ja im teraz dopierdolę – zasapał Zbyszek – dam im pustaka. Koty pierdolone.

- Kryśka. Daj spokój – powiedziałem – chcesz się wkopać. Spokojnie. Po obiedzie pójdziemy razem na zajęcia z musztry. Rozumiesz chyba.

- Jasne.

- A swoją drogą – dodał Marek – to my na unitarce, wkurwialiśmy się, ale nigdy nikt nie powiedział takich słów. Ot, wojsko się zmienia. Jeszcze parę lat i skończy się kociarstwo i fala. Bezpowrotnie.

Po wyczyszczeniu, sprawdzeniu i zdaniu broni do magazynu, poszliśmy na obiad. Zero rozmów. Jak nieraz klócili się o byle drobnostkę, do tego stopnia, że musieliśmy ze Zbyskiem interweniować, tak dziś jak makiem zasiał. W milczeniu pobrali posiłek, w milczeniu go spożyli i w milczeniu oddali brudne naczynia do okienka. Od czasu do czasu, rzucali spojrzenia w naszą stronę, ale udawaliśmy, że nie zwracamy na to uwagi.

Po powrocie na pododdział daliśmy im pół godziny spokoju. Stanąłem pod drzwiami ich sali. Nic. Cisza.

Jak, na co dzień większość komend wydawał Zbyszek, tak dzisiaj ja, z drzwi palarni, krzyknąłem:

- Przygotowanie plutonu kierowców do wyjścia na zajęcia z musztry. Czas – dwadzieścia sekund!!!!

Kryśka długim susem przemierzył korytarz i otwierając jedno a potem drugie drzwi, poganiał ich.

- Pluton kierowców! Na korytarzu biegiem zbiórka!

Ustawili się w dwuszeregu. Stanąłem przed nimi. Obok mnie Zbyszek i Marek.

- Udajemy się teraz na zajęcia z musztry, a podoficer – tu zwróciłem się w stronę Marka – sprawdzi porządki, po opuszczeniu drużyn swoich pomieszczeń. Myślę, że nikt z was nie jest pustakiem i pozostawił po sobie ład i porządek. Zresztą podoficer sprawdzi. W lewo zwrot. Wychodzimy.

Uśmiechnąłem się skrycie do Marka i wyszliśmy na zewnątrz.

Na placu apelowym zaczęło się. Ja podchodziłem do tego jeszcze w miarę spokojnie, ale Zbyszek...

Wszędzie go było pełno, do każdego podbiegł, każdego puszczał biegiem za drobne niedociągnięcia. Nie wiem skąd u niego tyle energii?

Miotał przekleństwami na prawo i lewo.

Widocznie dość głośno, bo z dyżurki wyszedł sierżant S., poprawił pas i pasek pod brodą i podszedł do mnie.

- Co tu się dzieje Janusz?

- A nic sierżancie. Młodzież ma popuszczane lejce i zaczyna się im w głowach przewracać.

Opowiedziałem mu na osobności, co się wydarzyło i w związku z tym, dlaczego jest tak głośno.

- Mówisz poważnie? – zapytał.

- Oczywiście sierżancie.

- Zrób zbiórkę.

- Pluton kierowców! W dwuszuregu biegiem zbiórka!

Ustawili się momentalnie. Podszedłem do sierżanta.

- Obywatelu sierżancie! Dowódca pierwszej drużyny, plutonu kierowców, bombardier Chojnowski, melduje pluton podczas zajęć z musztry!

- Daj spocznij.

- Pluton baczność! Pluton spocznij!

Sierżant podparł się na boki i zrobił dość groźną minę. A wierzcie mi był w tym mistrzem.

To, co im powiedział, to, żeby mnie kroili i solili, w życiu bym nie powiedział, że wstawi im taką gadkę.

- Żołnierze młodego rocznika! Przypadkowo dowiedziałem się dziś, jakie macie zdanie o swoich dowódcach drużyn. Wprost brakuje mi słów. Wy koty zapchłone! To tak szanujecie swoich przełożonych? Dostaliście dwóch, naprawdę dobrych dowódców. Przemykają oczy na wasze wybryki, ukrywają to przed kadrą, a wy tak się odpłacacie. O nie! Tego już za wiele! Kurwa mać! Dwa tygodnie w wojsku i już

wam rogi powyrastały. Powinniście mieć szczególny szacunek dla nich. Nie dośpią, nie dojedzą, żeby zrobić z was pełnowartościowych żołnierzy a wy wyzywacie ich od pustaków i straszycie pobiciem. Teraz to ja się za was wezmę! Jeszcze kurwa poczujecie moją rękę! Czy dowódcy drużyn mają coś jeszcze do dodania? – zapytał.

Aż mi dech zaparło. Wiedzieliśmy, że sierżant jest naszym przyjacielem, ale nie wiedzieliśmy, że aż do tego stopnia.

- Obywatelu sierżancie. Jeśli można – powiedziałem – to chciałbym, aby w obecności obywatela sierżanta, wszyscy, którzy mają na to ochotę wpierdolili mi jak to obiecali. Mogą pojedynczo albo wszyscy naraz.

Żaden się nie odezwał. Pospuszczali wzrok ku ziemi.

- A jak już tak strasznie chcecie wiedzieć, dlaczego mam bombardiera a nie kaprala, to wam powiem. Na stopień kaprala trzeba sobie zasłużyć. Jest to wyróżnienie, na które trzeba sobie zapracować. Skończyłem sierżancie.

- Czy drugi dowódca drużyny chce coś dodać? – zapytał sierżant.

- Nie obywatelu sierżancie. Pustak K. nie ma nic do dodania – rzekł Zbyszek.

- Dobrze. Dowódcy drużyn. Proszę prowadzić nadal zajęcia. Marsz krokiem defiladowym ma być taki, żeby dzwoniły szklanki u mnie na dyżurce! Zobaczymy, jaka będzie reakcja porucznika B. jak się jutro o tym dowie. Skończyłem!

Poszedł w kierunku dyżurki. Dalsze zajęcia prowadził Zbyszek. Ja udałem się na swoją baterię.

- Kurwa ziomal. Nawet w budynku słysząc było jak S. się darł. Dał im do wiwatu. Co? – powiedział Marek.

- Chłopie. W życiu bym się nie spodziewał czegoś takiego z jego strony – odpowiedziałem – jak ryknął to aż im uszy zwiędły. Ale on jest super gość.

- Dokładnie. Popatrz. Nikt jeszcze nigdy nie powiedział o nim złego słowa. A wcale nie jest łagodny. Zajebisty facet.

- A jak tam Marku porządk?

- Możesz sprawdzić. Wszystko jest pod kontrolą.

Otworzyłem drzwi do pierwszej izby. Szok. Jakby przeszedł tajfun.

Otworzyłem do drugiej izby. Istne trzęsienie ziemi.

- To ty im tak zrobiłeś? – zapytałem.

- No, co ty? Ja mam za cienko. Dyżurny wpadł na dwie minuty do ich pokoi i zrobił, co trzeba. Chłopie. Co oni mieli schowane pod materacami. Chleb i to na dodatek suchy, cukierki, papierosy, szelki, brudne skarpety. U jednego znalazł nawet radio. No mówię ci masakra.

- Jak przyjdą to będą mieli czas do capstrzyku, żeby to uporządkować.

- Dokładnie. I trzeba chyba częściej strzelać im rentgena, bo jak któregoś dnia zrobi to szef, to matko i córko.

W trakcie szkolenia unitarki, nasi młodzi przeszli ceremoniał obcinki. Doszliśmy razem do porozumienia, że my i tak już niedługo wychodzimy, więc srał ich pies. Oczywiście nadal mieli do wykonania określone obowiązki, ale już bardziej na luzie.

My, szkoliliśmy przyszłych żołnierzy. Każdy z nich miał już przejechaną ilość godzin na starze i zile. W ruch poszły Krazy. I tak jak kiedyś my, tak teraz oni przemierzali szczecińskie drogi. Wielkimi krokami zbliżała się przysięga. Prawie non stop odbywały się zajęcia z musztry z bronią jak i w umundurowaniu wyjściowym. Kryśka jak zwykle szalał podczas tych szkoleń, ja, trochę mniej.

- Pluton! Na wprost marsz! – wydał komendę – równy krok!

Przy zbliżaniu się do trybuny honorowej, padł rozkaz – Baczność!

Krok defiladowy mieli już opanowany dość dobrze. Buty mocno przybijali do asfaltu.

- Na prawo patrz! – zakomenderowałem, po czym stanąłem z boku i obserwowałem ich marsz.

- Wyżej nogi, wyżej. Ej, G. pocieniało ci? Chyba była komenda na prawo patrz? Gdzie się rozgląda? Szukasz dnia wczorajszego? Pluton stój! W lewo zwrot! Spocznij!

Stanęliśmy z Kryską przed nimi.

- Ludzie. Przecież ja za chwilę wyjdę z siebie i stanę obok! – donośnym głosem oznajmił Zbyszek – szlag mnie trafi jak jeszcze

jeden z was będzie się rozglądał. Na prawo patrz to na prawo patrz, a nie szukanie czegoś obok. Na przysiedze macie wypaść najlepiej z wszystkich dywizjonów. Zrozumiano!?

- Tak jest!

- No to zaczynamy od początku – powiedziałem – wracamy na plac apelowy. W prawo zwrot! Na wprost marsz!

Na placu wszystko zaczęliśmy od początku łącznie z rotą przysięgi. Tym razem wypadło całkiem dobrze. Podczas marszu każdy był wyprostowany jak struna i nikt nie rzucał spojrzeń na boki. Do naszych zajęć dołączył szef baterii, chorąży Andrzej K.

I znów wszystko od początku. Wyszło dobrze, bo kazał zakończyć zajęcia na dzień dzisiejszy, oddać broń i mundury wyjściowe.

Na pododdziale zrobił zbiórkę unitarki.

- Dowódcy drużyn! Do mnie!

Podeszliśmy z Kryską.

- Obywatelu chorąży! Bombardier K. plus jeden meldują się na rozkaz.

- W czasie zajęć przeprowadziłem sobie przegląd izb żołnierskich. To woła o pomstę do nieba! Czy dowódcy drużyn nie sprawdzają porządków? Pod materacami jest pełno chleba. Jak tak dalej pójdzie to zalęgną się tam szczury. Co? Wojsko nie chodzi na posiłki? To sprawa pierwsza. Sprawa druga to szafki. Już dawno nie widziałem takiego burdelu. Wszystko wymieszane. Jakieś książki, zeszyty i inne duperele. Nie mówię, że tego ma nie być, tylko

całość ma być równo poukładane. Dowódcy drużyn! Macie godzinę na zrobienie z tym porządków. Wykonać!

- Rozkaz obywatelu chorąży!

Weszliśmy do izb. Kazaliśmy stanąć każdemu przy swoim łóżku.

W pierwszej szafce znalazłem pokruszone ciastka i papierki po cukierkach. W drugiej dwie kromki chleba schowane pod zeszytem.

Pod materacem, ukryte były skarpety. Nawet nie wnikałem czy czyste czy brudne. Tego było już za wiele. Wszystko zaczęło dosłownie fruwać po pokoju. Nikt nie poruszył się nawet. Wyrzucałem wszystko na podłogę. Za ścianą dało się słyszeć jak Zbyszek również dokonuje przeglądu porządków, ale tam w ruch poszły nawet taborety. Zrobiliśmy zbiórkę na korytarzu.

- Czy was naprawdę już popierdoliło? Co wy tam trzymacie? W jednostce nie brak jest śmietników. I ten chleb. Co to? Jesteście głodni czy macie za mało czasu na posiłek? – zacząłem – od dnia dzisiejszego nie chcę widzieć niczego poza tym, co żołnierz ma posiadać. Dlaczego trzymacie skarpety pod materacami? Nie ma dla nich miejsca? Myślicie, że będziemy za was dostawać opierdół od szefa. O, na pewno nie. Brać się za porządki. Za pół godziny sprawdzę i naprawdę marny wasz los jak coś będzie nie tak! Zrozumiano!

- Tak jest!

- Do sal biegiem rozejść się!

Wbiegli do swoich pokoi. My ze Zbyszkciem staliśmy na korytarzu. Po chwili podszedł Marek z Pawłem.

- Ale odjebali wam numer – powiedział Paweł – jak was nie było to K. szalał tutaj.

- Przeszli samych siebie – dopowiedział Marek – rozumiem jakieś lakocie, ale chleb. Szef dostał szalu jak znalazł skarpety pod materacem.

- A daj spokój – powiedział Zbyszek – to już przechodzi ludzkie pojęcie. Jeszcze trochę i faktycznie jak mówił K., szczury się załęgnał. No ja im dzisiaj dam popalić. Zero czasu wolnego. Jak dostaną porządnie w pizdę to zapamiętają to sobie na całe życie.

Po pół godzinie sprawdziliśmy porządki. W plastikowym worku zebrali wszystkie śmieci. Wierzyć mi się nie chciało ile tego było. Łóżka były wzorowo zaścielone, taborety równo ustawione a w szafkach wszystko poukładane. Ręczniki przewieszane przez poręcze łóżek naciągnięte, kapcie i trampki ustawione równiutko.

- No i tak ma być codziennie – powiedziałem – nie będzie tu burdelu. W domu to możecie sobie syfić i czekać aż mama posprząta. Tu jest wojsko i sprzątaczkci armia jak na razie nie zatrudniła. Zrozumieli!?

- Tak jest.

- Nie usłyszałem. Zrozumieli!?

- Tak jest!!!

W tym momencie wszedł szef baterii.

- Baczość! Obywatelu chorąży! Dowódca pierwszej drużyny plutonu kierowców, bombardier Chojnowski, melduje drużynę podczas robienia porządków.

- Spocznij! No zobaczmy jak to teraz wygląda.

Zaczął od szafek. Przeglądał wszystkie. Wkładał ręce pod materace i zaglądał pod łóżka. Jak myślałem, że już nie ma, do czego się przyczepić, pod materacem ostatniego łóżka pod oknem znalazł jakieś zdjęcia.

- Czyje to łóżko? – zapytał z groźną miną.

- Moje – odpowiedział jego właściciel.

- Jakie moje?! Kurwa mać! – wrzasnąłem – nie wiecie żołnierzu jak należy zwracać się do przełożonego? Jeszcze kurwa wam mało?

- Spokojnie Chojnowski, spokojnie – powiedział chorąży i dodał – dowódca drużyny chyba już setki razy mówił wam o tym, jak należy się zwracać do starszych stopniem. Co to ma być?

- To są zdjęcia mojej dziewczyny obywatelu chorąży.

- No przecież widzę, że nie mapa polski, ale co one tu robią?

Nic na to nie odpowiedział.

- Dowódca drużyny. Zacząć porządki od początku!

Wyszedł z pokoju trzasnąwszy drzwiami.

Popatrzyłem prosto w oczy właścicielowi zdjęć. Patrzył na mnie ze strachem. Paroma mocnymi kopniakami rozrzuciłem po pokoju taborety, kapcie i trampki. Porozrzuciłem pościel a z szafek

wygarniałem wszystko, na co tylko trafiłem. Stali bez ruchu patrząc na moja wściekłość.

- Kurwa mać! – krzyknąłem – za piętnaście minut ma tu być porządek i chuj mnie interesuje czy się wyrobicie czy nie? Widzę, że nadal olewacie mnie i drugiego dowódcę drużyny. Za dobrze macie a więc teraz wam polepszę. To ja mam zbierać joby za was od szefa!? Dość. Jak nie potraficie uszanować dobroci z naszej strony to będziecie mieli, co pół godziny takie naloty. Skończyłem! Idę, bo mnie za chwilę szlag trafi. I brać się kurwa za porządki!

Wyszedłem na korytarz. Stał tam już Zbyszek. Widać było po nim, że również jest wściekły. Marek z Pawłem i Tadkiem stali w drzwiach palarni. Patrzyli na nas i nie odzywali się. Widocznie nie chcieli dolewać oliwy do ognia.

Po około pół godzinie sprawdziłem stan izby jednak za nim to nastąpiło, znów musiałem się na nich wydrzeć.

Po wejściu do pokoju, żaden z nich nie zareagował na moje wejście. To, że byli zajęci wypieszczaniem łóżek, nie znaczy, że jeden z nich nie miał zameldować regulaminowo drużyny.

- No i co kurwa! Stoję w tych drzwiach jak chuj na weselu i nic. Normalnie totalna olewka. Macie mnie centralnie w dupie!

- Obywatelu bombardierze... – zaczął jeden z nich.

- Teraz dopiero zaskoczyliście – przerwałem mu – generalnie wali mnie to. Pamiętajcie, że mnie już niedługo tu nie będzie. Wy traficie

do innych jednostek. Tam wam dadzą popalić, że ruski rok popamiętacie. Porządki zrobione?

- Tak jest!!

Przejrzałem salę. Faktycznie postarali się, ale brak mi już było zaufania do nich, jeżeli chodzi o chomikarstwo łózkowe.

- Na pewno nic nie znajdę w łózkach?

- Nie obywatelu bombardierze!

- Dobra. Pamiętajcie, jeszcze jedna taka wpadka i naprawdę pożałujecie tego wszyscy. A teraz przygotowanie do apelu.

Po apelu poszliśmy na obiad. Stołówka była pusta. Ustawili się w kolejce po posiłek. Zanim my dostaliśmy obiad, oni już jedli. Oczywiście nie obyło się bez rozmów z ich strony.

- Co tam mruczycie pod nosami? – zapytał Zbyszek – teraz gadacie a potem znów będziecie przemycali chleb, bo nie zdążyliście zjeść?

- No właśnie – dodałem – wojsko je bez rozmów.

Zaległa cisza. Słyszeć było tylko szcęk sztućców i pomlaskiwanie. Gdy skończyliśmy z Kryską posiłek, zauważyliśmy, że wszyscy są już przygotowani do wyjścia. „No, chyba w końcu zatrybili” – pomyślałem, a donośnym głosem oznajmiłem.

- Kończą jedzenie!

- Wszyscy zjedli?!

- Tak jest!!

- Czy jest ktoś głodny?!!

- Nie!

- Dobra. Powstań wychodzić. Przed stołówką w dwuszeregu zbiórka.

Zbyszek zaprowadził ich na baterie. Ja poszedłem zajrzeć na PKT bo dziś przyjmowałem służbę.

Dobrze, że to dziś był piątek. W sobotę zdam służbę i weekend będę miał wolny. No może nie tak dosłownie, ale zawsze człowiek odpocznie.

Na odprawę wart i służb przyszedł porucznik B., który objął obowiązki oficera dyżurnego jednostki.

Dość szybko uporał się z odprawą.

Jeszcze dobrze nie ulokowałem się w budynku PKT, gdy zadzwonił telefon.

- Melduje się dyżurny PKT, bombardier Chojnowski.

- Facet. Do mnie, na dyżurkę – usłyszałem głos porucznika, po czym dźwięk odkładanej słuchawki.

Podszedłem pod budynek gdzie mieściła się siedziba oficera dyżurnego i uchyliwszy okienko, zameldowałem:

- Obywatelu poruczniku! Dyżurny PKT bombardier Chojnowski melduje się na rozkaz!

- Dobra. Idziemy do kancelarii. Kazik, za pół godziny jestem z powrotem – powiedział do pomocnika, sierżanta K.

Weszliśmy do kancelarii. Usiadł na krześle i zdjął czapkę.

- *Jak idzie szkolenie? – zapytał.*
- *W porządku, obywatelu poruczniku. Gotowi do przysięgi.*
- *Ja nie pytam o pluton, tylko o twojego następcę.*
- *Całkiem dobrze poruczniku. Te rozkazy – wskazałem palcem na biurko gdzie leżały dokumenty – pisał sam. Trochę go jeszcze kontroluję, ale ma dobry zaskok.*
- *No to dobrze. A tak w ogóle, jak pozostali?*
- *Nie najgorzej. Nieraz mnie wkurwiają i trzeba im wstawić w dupę, ale dają radę.*
- *Tylko pamiętaj, żadnych specjalnych docierek. Trzymać się regulaminu.*
- *Tak jest – odpowiedziałem.*
- *A jak tam Zbyszek? Dalej taki nerwus?*
- *Trochę więcej niż ja, ale też lekko sfolgował. Szkoda zdrowia. Reasumując, powinien porucznik z naszego szkolenia być zadowolony.*
- *Zobaczymy facet jak wypadną na przysiędze. Wiesz chyba, że wy nie pojedziecie z nimi do Gryfic. Tak jest zawsze. Oczywiście po przysiędze będą nadal pod waszymi skrzydłami. Potem część rozjedzie się a część zostanie u nas. Tak jak wy kiedyś.*
- *Tak jest poruczniku. Jak ten czas zleciał. Jeszcze niedawno byłem kotem a tu, trzeba szykować się do wyjścia.*
- *Tęsknisz za domem? – zapytał.*

- *Tęsknię poruczniku. Dwa lata to dużo. Wprawdzie nie uważam, że to czas stracony, bo wojsko to dobra szkoła życia. W domu nieraz nie chciało mi się zaścielać a tu, tak koce są naciągnięte, że opuszczone pudełko zapalek odbije się ze trzy razy.*

- *Masz rację – powiedział porucznik – wojsko to dobra szkoła życia. Popatrzył na mnie jak zwykle z uśmiechem, ubrał czapkę, założył pasek pod brodę i dodał:*

- *Dobra. Jutro po apelu przyjdiesz tu z młodym i ćwicz go do bólu.*

- *Rozkaz obywatelu poruczniku!*

Wyszliśmy na zewnątrz. Porucznik poszedł na dyżurkę, ja na pododdział.

Kryśka właśnie robił zbiórkę to wieczornej toalety. Wszedłem do izby, usiadłem na łóżku i zdjąłem czapkę. Marek pisał list. Jak mnie zobaczył, odłożył długopis i zapytał:

- *Coś nie tak ziomal? Marnie wyglądasz.*

- *Nie. Wszystko dobrze, ale brak mi chwilami już sił. Chyba czas do cywila.*

- *Już niedługo – uśmiechnął się i dodał – szybko zleciało. Z początku myślałem o tych dwóch latach a tu patrz, jak z bicia strzelił.*

- *Jasne, jasne. Jeszcze trochę i koniec.*

Pluton kierowców wrócił w niedzielę około 21 z Gryfic, gdzie składali przysięgę. Siedzieliśmy z Markiem na palarni i paląc papierosy, czyściliśmy buty. Obok nas stał oparty o parapet, Zbyszek. Wprawdzie nie palił, ale wizyta na palarni nie przeszkadzała mu.

- Patrz Janek, przyjechali – powiedział, prostując się – ciekaw jestem czy trzeźwi?

- To się Kryśka okaże – powiedziałem – siedź tu na razie, niech się rozłokują. Potem sobie ich obejrzymy.

Marek poszedł przyjąć od nich mundury do szatni. Wraz ze Zbyszkciem wszedłem do naszego pokoju.

Po około pół godzinie otworzyły się drzwi i wszedł jeden z uczestników przysięgi, kanonier G.

- Obywatelu bombardierze. Kanonier G. melduję się z zapytaniem.

- Słucham kanonierze – odpowiedziałem.

- Występuję tu w imieniu całego plutonu. Czy dowódcy drużyn mogliby przyjść do sali pierwszej drużyny?

- A co? Chcecie nam wpierdolić? – zapytałem z uśmiechem.

- E nie. Chłopaki zapraszają.

- Dobra. Za pięć minut przyjdziemy.

- Obywatelu bombardierze. Proszę o pozwolenie wyjścia.

- Fruwaj.

Poszliśmy po chwili ze Zbyszkciem do izby mojej drużyny. Po otwarciu drzwi usłyszeliśmy:

- Pluton baczność! Obywatelu bombardierze...

- Dobra, dobra. Starczy tej gimnastyki – przerwałem mu – co jest grane?

- Chcielibyśmy trochę ugościć naszych dowódców drużyn. Rodziny dały nam jedzenie i słodycze. Jest trochę owoców i...

- I co jeszcze?

- No mamy wódeczkę.

- Acha. Wódeczkę. Czyli wojsko będzie pijane, tak?

- Nie, nie będzie. Tak tylko symbolicznie. Przysięga wypadła bardzo dobrze. Dowództwo było zadowolone, rodzice też. Kazali nam obywatelom bombardierom podziękować za dobre szkolenie.

- Bardzo nas to cieszy – powiedział Zbyszek – może chwilami byliście na nas wkurwieni, ale chyba się opłaciło, co?

- Nie było tak źle – rzekł kanonier P. – owszem mieliśmy nieraz ochotę na bijatykę, ale to tylko chwilowo. Wiemy teraz, że wojsko to wojsko i taryfy ulgowej tu nie ma. Dobra, chłopaki pozsuwajcie taborety, trzeba do gdzieś ułożyć.

Zrobili prowizoryczną ławę. Czego tam nie było? Pieczone kurczaki, kotlety schabowe i mielone. Różnego rodzaju sałatki, owoce, słodycze. Pod taboretami znalazło się parę butelek wódki.

Zjedliśmy ze Zbyszkciem po kawałku kurczaka. W tym czasie zawołali Marka i Pawła. Oni również poczęstowali się jedzeniem.

Wypiliśmy wódkę z plastikowych kubków, jako, że szklanymi naczyniami nie dysponowaliśmy.

- Dziękujemy wam bardzo za poczęstunek – powiedziałem – w waszych listach do rodziców, proszę o słowa podziękowania dla nich od nas. A teraz posprzątać tu i spać. Niestety, ale jutro pobudka normalnie o szóstej.

15. CZAS DO CYWILA

Dwa lata. 726 dni. To dużo, ale jakoś minęło nam to szybko. Marek i ja mieliśmy już dobrze wyszkolonych następców. Przyszły pomocnik szefa baterii oraz pisarz u szefa służby samochodowo-czołgowej dawali sobie radę bez nas. Po podsumowaniu urlopu taryfowego za drugi rok służby oraz dodatkowych dni wolnych, które otrzymałem jako urlop nagrodowy, okazało się, że aż na 19 dni pojadę do domu. Szok.

- No ziomal – powiedziałem do Marka - jutro jadę na chatę. Trochę mnie nie będzie. Od razu przywiozę sobie ciuchy cywilne. Jak nie masz nic przeciw temu, to wziąłbym twój neseser, bo w czymś je muszę przytarmosić.

- Nie ma sprawy – odpowiedział.

- Ja pierdolę. 19 dni wolności. Ciężko będzie wracać po tylu dniach wolnego.

- Może i ciężko, ale jak wrócisz to zostanie nam tylko 50 do cywila. Kurwa mać! 50 dni i cywil!!!

Tak długi pobyt w domu zaowocował tym, że zapomniałem częściowo o codziennym życiu w wojsku. Spotykałem się z

kolegami, odwiedziłem zakład pracy i skompletowałem sobie ubranie, w którym to miałem wyjść do cywila. Myślałem, że wezmę ubranie z domu. Niestety, okazało się za ciasne. W wojsku przytyłem. Parę razy jeździłem do Legnicy, żeby w tamtejszych prywatnych sklepikach dokonać zakupu spodni, koszuli i kurtki. Ciężko było dostać od razu wszystko, ponieważ sklepiki te oblegane były przez żołnierzy armii czerwonej, których w Legnicy nie brakowało. Mała Moskwa. Ale jakoś udało mi się kupić to, co zamierzałem. Wszystko to, zapakowałem do Markowego neseserka i odstawiłem na szafę. Czas mijał nieubłagalnie. Miałem tą świadomość, że za parę dni będę musiał wracać do, Czarnówka, ale jakże w innym nastroju. Jednocześnie dużo myślałem o moim dalszym życiu. Już wtedy podjąłem decyzję, że jeśli nie zostanę na żołnierza zawodowego to do byłego zakładu pracy nie wrócę.

- Obywatelu sierżancie! Bombardier Chojnowski melduje powrót z urlopu taryfowego – zameldowałem oficerowi dyżurnemu jednostki.

- Co tam taszczysz w tej walizeczce? – zapytał.

- Ciuchy cywilne, sierżancie i trochę żarcia.

- A no tak. Już nie długo wychodźcie do cywila, bombardierze, chociaż może należałoby już do was mówić, kapralu.

- Kapralu? Co sierżant miał na myśli?

- Ja? Nic. Dowiesz się w odpowiedniej chwili, a teraz zmykaj na pododdział.

- Odmeldowuje się obywatelu sierżancie.

Wszedłem na swoją baterie. Przy stoliku siedział Paweł, który miał służbę.

- Cześć Mysza. O widzę, że coś przywiozłeś ze sobą. Cywilki?

- Tak. Cywilki – odpowiedziałem – gdzie jest Marek?

- A był tu przed chwilą – rozejrzał się dookoła i dodał – chyba jest na sali.

Wszedłem do izby. Faktycznie, Marek leżał na łóżku i czytał książkę.

Oprócz niego był tam Paweł O. i Janek P.

- Cześć kocury! – krzyknąłem – co, nudzi się wam?

Odwrócili głowy w moją stronę.

- A cześć Janku – przywitał się Paweł – wróciłeś?

- Miałem zostać w domu? Jeszcze na te 50 wróciłem.

- Przywiozłeś ciuchy? – zapytał Marek.

- Tak.

- No to chodź do szatni. Młody ma wartę, ale zostawił mi klucze.

Trzeba gdzieś ten twój majdan schować.

Weszliśmy do szatni. Marek wziął moje cywilne ubranie, powiesił starannie na wieszaku i umieścił je z tyłu, za zapasowymi mundurami polowymi. Przebrałem się w moro.

- *Marek. Zamknij drzwi, żeby nikt nie podsłuchiwał. Jest sprawa.*
- *No słucham – powiedział zamykając drzwi szatni.*
- *Coś wiesz na temat jakiś awansów? – zapytałem.*
- *Coś mi tam się obilo o uszy, ale dokładnie jeszcze nie wiem, co i jak?*
- *Kurwa mać. Na koniec będziemy baniakami.*
- *Dlaczego będziemy?*
- *Chłopie. Na 100% jak ja dostanę to i ty też.*
- *Wiesz, co? Spróbuj jutro dowiedzieć się coś u B.*
- *Myślisz, że on coś wie?*
- *Trudno powiedzieć. Ale warto zapytać.*

Nazajutrz z samego rana, zapukałem do drzwi kancelarii porucznika B.

- *Wejść – usłyszałem.*

Nacisnąłem na klamkę i otworzyłem drzwi, które po chwili przymknąłem. Stałem w pozycji, którą od biedy można było nazwać, zasadniczą i zameldowałem się.

- *Siadaj – powiedział porucznik.*

Usiadłem na wskazanym przez niego krześle. Obok siedział młody i wypisywał rozkazy wyjazdów na nadchodzący tydzień.

- *Jak w domu?*

- Spoko poruczniku. Jak to w domu. Przywiozłem sobie ciuchy, bo jakby nie patrzył, pięćdziesiąt szybko zleci.

- Tak – odpowiedział przeciągle B. – a my jak widzisz odstawiamy robotę za ciebie.

- E tam za mnie. Ktoś musi mieć przesrane. Oczywiście nie mówię tu o poruczniku. No, co się młody patrzysz – powiedziałem do młodego, kiedy spojrzał na mnie – zapierdala przy pisaniu i nie oczkuje mi tu.

- No, no, facet. Uspokój się.

- Ale ja się wcale nie wkurwiłem poruczniku. Tak sobie powiedziałem, a młody jak to młody, ma robić i nie dyskutować.

- Wyszkolileś go dobrze. Nieraz coś tam przeoczy, ale generalnie jestem zadowolony.

- To dobrze poruczniku – powiedziałem i zwracając się do młodego dodałem – e młody. Idź za drzwi i zobacz czy cię tam nie ma. Muszę z porucznikiem uciąć krótką bajkę.

- Dobra. Wyjdź – potwierdził porucznik.

Jak zamknęły się za nim drzwi, przysunąłem krzesło bliżej miejsca gdzie siedział B. i patrząc mu prosto w oczy zapytałem:

- Coś porucznik wie o awansach? Doszły mnie słuchy, że mam dostać baniaka.

- Jakiego baniaka?

- No kaprała.

- A coś tam wiem, ale nie wiem czy mogę powiedzieć?

- No jak zwykle porucznik będzie mnie męczył. Tak czy nie?

- *A ty jak zwykle chcesz wszystko wiedzieć przed czasem – powiedział lekko się uśmiechając – może tak, może nie.*

- *Morze jest głębokie i szerokie. No niech porucznik coś powie.*

- *Ale pamiętaj – powiedział, ścisząc głos – nikomu ani słowa. Tak, ty i T. dostaniecie kaprała.*

- *Ja pierdolę. Jak znam życie to pewnie porucznika sprawka.*

- *I tu się facet mylisz. Chyba padniesz jak ci powiem. O ten awans wnioskował twój ulubiony, chorąży Leszek K.*

- *Co takiego? Chyba za to ochłapanie go na sylwestra błotem.*

- *A tego to ja już nie wiem. I co, zaskoczony?*

- *Jak cholera poruczniku.*

- *Ale tak jak mówiłem. Nikomu ani słowa. Zawołaj młodego, bo korzenie zapuści na korytarzu.*

Otworzyłem drzwi i o mało, co nie zderzyłem się z sierżantem K.

- *No tak. Ledwo wrócił z urlopu i już tu siedzi. Chyba na te ostatnie dni trafisz na Podjuchy.*

- *Sierżancie. Fala nie pozwala – rzekłem z uśmiechem i dodałem w stronę młodego – włącz i kończ te rozkazy.*

- *A ty szoruj mi zaraz do garażu – powiedział sierżant – wysłałem tam już T., zatankujcie samochody i sprawdźcie czy akumulatory są naładowane.*

- *Rozkaz obywatelu sierżancie – i w otwartych drzwiach zwracając się do porucznika, powiedziałem – odmeldowuję się obywatelu poruczniku. Jakby, co, to jutro mam, PKT-owca.*

- Dobra facet. Spadaj.

Poszedłem wprost do garażu. Paweł miał podoficera, więc Marek był sam.

- No i co ziomuś? – zapytał.

- Tak jak mówiłem. Dostajemy obaj po baniaku.

- O kurwa. Jak to brzmi – kapral Chojnowski.

- A jak ma brzmieć? Normalnie. Tylko Marek, nikomu ani słowa. B. mnie o to prosił.

- Nie ma sprawy.

Pojechaliśmy Zilami na MPS gdzie zatankowaliśmy je po korek. Potem zabraliśmy się za Krazy. Wszystkie auta odpalały na dotyk. W garażu był porządek. Zauważyłem, że na nowo zagnieździły się ptaki.

„Niech sobie siedzą” – pomyślałem – „zajmą się wami już inni”.

Wieczorem, przebraliśmy się w cywilki. Usiedliśmy na łózkach i ćwiczyliśmy piosenki.

Godzina piąta, minut trzydzieści, kiedy pobudka zagrała.

Grupa rezerwy, szła do cywila, niejedna panna płakała.

Ładnie to brzmiało. Patrzyliśmy się na siebie. Jakże inaczej wyglądaliśmy bez mundurów. Z początku czułem się jakbym był skrepowany, ale tylko przez pierwsze minuty, potem doszedłem do siebie. Marek miał na sobie jeansowe spodnie, koszulę i marynarkę. Super jak na młodego żonkosia. Ja, takie same spodnie, do tego jeansowa koszula, skóropodobna kurteczka i adidas.

Odśpiewaliśmy jeszcze jedną piosenkę, po czym ubraliśmy się w pidżamy a cywilki oddaliśmy do szatni. Dzień był pełen wrażeń, więc po chwili usnąłem.

Rano, po apelu, wszyscy ci, co mieli niedługo wyjść do cywila zostali zebrani w świetlicy, w której odbyło się spotkanie z zastępcą dowódcy do spraw politycznych, porucznikiem Piotrem M. Z początku wstawił nam jak to nazywaliśmy, „gadkę patriotyczną”, poczym już na luzie, rozmawialiśmy o planach na przyszłość i o przebiegu dotychczasowej służby. Rozmowa odbywała się w fajnej atmosferze. Każdy coś tam śmiesznego opowiadał. Co chwilę dosłownie ryczeliśmy ze śmiechu. Porucznikowi też to się udzieliło. W trakcie spotkania dołączył do nas, zastępca dowódcy do spraw technicznych, major Aleksander B. Jego, jak zwykle pogodna mina, nastroiła nas jeszcze bardziej pozytywnie. Również powiedział parę słów. Usiadł obok porucznika. Poruszył też parę spraw z zakresu samochodówki. Powiedział, że generalnie jest bardzo zadowolony z kierowców naszego rocznika. Miło było usłyszeć takie słowa.

O osiemnastej przyjąłem służbę na PKT. Jak się później okazało, była to moja ostatnia.

Rano, po przyjeździe kadry, otrzymałem rozkaz przygotowania dokumentów autobusu, który za dwa dni miał być odstawiony do remontu.

Kadra miała jeździć dwoma Starami, natomiast dowódca i szef sztabu, jak również zastępca dowódcy do spraw politycznych i zastępca dowódcy do spraw technicznych, Uazem, czyli tzw. gazikiem. My wychodząc do cywila, również pojedziemy Starami na dworzec do Szczecina. Do czasu naszego wyjścia, autobus na pewno nie wróci z remontu. Ale nam było wszystko jedno. Byle do cywila.

- Dywizjon baczność! Na prawo patrz!

- Obywatelu pułkowniku. Szef sztabu, major K. melduje dywizjon na uroczystym apelu w związku z odejściem żołnierzy do rezerwy.

- Czołem żołnierze!

- Czołem telu wniku!

- Dywizjon spocznij!

Staliśmy w wyjściowych mundurach. Ostatni apel. Ostatnie śniadanie a potem obiad. Ostatni dzień w jednostce. Dwa lata.

Dowódca jednostki, pułkownik G. wysunął się o dwa kroki do przodu. Popatrzył na nas i lekko się uśmiechając, powiedział:

- Żołnierze! W dniu dzisiejszym żegnamy się z osobami, które przez dwa lata dzielnie i wzorowo pełniły służbę w naszym dywizjonie. W trakcie ich służby, jednostka nasza zdobywała osiągnięcia, chociaż i nie brakowało drobnych potknięć. Uważam jednak, że godnie reprezentowali nasz dywizjon, nie szczędząc sił i potu. Za to pragnę im podziękować a jednocześnie życzę dalszych sukcesów w codziennym życiu, już tym cywilnym. Mam nadzieję, że będziecie mile wspominać okres waszej służby w jednostce wojskowej 2295. Szkoda, że nie wszyscy mogą razem w dniu dzisiejszym opuścić teren jednostki. Niestety, paru swoim postępowaniem nie zasłużyło sobie na ten przywilej. Muszą zostać, aby dosłużyć brakujące dni. Jeszcze raz dziękuję wam za wasz trud i poświęcenie w obronie naszej ojczyzny.

- Dywizjon baczność! Dywizjon spocznij!

Zostaliśmy na placu wraz z kadrą naszej baterii.

Dowódca, major W. również podziękował nam za dotychczasową służbę. Szef baterii udzielił nam instrukcji, co do dalszych procedur związanych z opuszczeniem jednostki.

Po powrocie do izb, rozpoczęło się zdawanie mundurów i wyposażenia. Ubrani byliśmy w cywilne ubrania. Wszystko pozostało w magazynach. I tak zleciał nam czas do obiadu. Przed wyjazdem kadry do domu, pożegnaliśmy się z naszymi

dotychczasowymi przełożonymi. Poszedłem do sztabowca gdzie bardzo serdecznie podziękowałem majorowi B., porucznikowi B., oraz sierżantowi S., za cały okres mojej służby.

Kadra wyjechała.

Okolo szesnastej pod dyżurkę podjechały dwa Stary. Zaczęły się pożegnania na pododdziale. Bardzo serdecznie wraz z Markiem pożegnaliśmy się z Pawłem O., Zbyszkciem K. czyli Kryską, Marianem K., Krzysztofem N.

Oni tu jeszcze musieli zostać. Po raz ostatni popatrzyłem na salę i jej wyposażenie. Tu spędziłem dwa lata. Tu odnosiłem porażki i sukcesy. Tu rozpoczynałem służbę i tu ją kończę. Na zewnątrz popatrzyłem na budynek sztabu, izbę chorych, stołówkę, wartownię i fontannę, stojącą po środku. Zdążyło już upaść do niej kilka pożółkłych liści.

„Żegnajcie” – pomyślałem w duchu – „może kiedyś jeszcze was odwiedzę”.

Nie wiedziałem wtedy, że nigdy już moje oczy nie zobaczą tego wszystkiego.

Wyjeżdżając przez bramę na ziemię poleciały z naszej strony drobne monety, które skrzętnie zbieraliśmy przez dłuższy okres czasu. Taki był zwyczaj.

Na ramionach ubrane mieliśmy chusty. Ze śpiewem na ustach patrzyliśmy na oddalającą się jednostkę oraz wioskę Czarnówek.

Do samego Szczecina non stop śpiewaliśmy.

*Niech żyje nam rezerwa,
przez szereg długich lat.
Gdy rezerwiści piją,
w Gryfinie wódki brak.*

*Rezerwa nie zapomniała,
że młode wojsko jest.
Rezerwa w dupę dostała,
młodzi dostaną też.*

Samochody zatrzymały się przed dworcem kolejowym w Szczecinie. Porucznik Piotr M., który był dysponentem tego transportu, po kolei rozdawał dowody osobiste, ściskając przy tym, każdemu dłoń. Chwila moment i dwa Stary zniknęły za zakrętem. Pożegnaniom nie było końca. Część pobiegła na perony, część musiała poczekać na swoje pociągi. Ja z Markiem, wsiedliśmy do autobusu i pojechaliliśmy nim do...Gryfina.

Nie. Nie z tęsknoty za jednostką. Po prostu ze względu na lepsze połączenie kolejowe. Do przybycia naszego pociągu mieliśmy pół godziny, więc w bocznej, ciemnej uliczce obok peronów, wypiliśmy pół litra wódki z tzw. gwinta.

Zaszumiało nam w głowach momentalnie.

Zapowiedzieli nasz pociąg. Ludzie stojący na peronie uśmiechali się w naszą stronę. Dzieci z zainteresowaniem patrzyły na nasze chusty, ozdobione frędzlami i dużymi, żółto-czerwonymi pomponami.

Droga do domu dłużyła się nam niesamowicie. Gdy wysiedliśmy na dworcu w Chojnowie, pierwsze, co zrobiliśmy, to na klęcząco pocałowaliśmy kostkę brukową, którą był wyłożony peron.

Marek mieszkał trzysta metrów od dworca. Poszliśmy do niego. Jakże czule powitanie miał z żoną. Joanna prawie na chwile nie odstępowała od niego. Zjedliśmy obiad, zakrapiany alkoholem. Ja miałem już dość. Usnąłem. Po godzinie, może dłużej, poszliśmy z Markiem do mnie. Przywitanie z matką oraz sąsiadem Piotrkim, który skończył służbę pół roku wcześniej od nas. I znów jedzenie i alkohol.

Piotrek i Marek poszli do swoich domów, ja położyłem się spać. Od alkoholu kręciło mi się w głowie.

Rano, gdy się obudziłem, w pierwszej chwili nie wiedziałem gdzie jestem. Żadnych komend, żadnych zbiórek.

„Tak. Jestem wolny” – pomyślałem – „tak jak w tytule opowiadania Leona Kruczkowskiego – Pierwszy dzień wolności”.

Popatrzyłem na krzesło gdzie przez oparcie przewieszona była moja chusta, na której z dumą przeczytałem napis, który zresztą samodzielnie wykonałem „Rezerwa – Jesień 85-87”.

16. 30 LAT PÓŹNIEJ

Po prawie trzydziestu latach od wyjścia do cywila, wracając z żoną z Rewala, gdzie spędziliśmy urlop, postanowiłem odwiedzić miejsce, w którym spędziłem dwa lata, odbywając służbę wojskową. Już wcześniej dowiedziałem się, że jednostka została rozformowana i częściowo wyburzona. Gdy dojechaliśmy do Czarnówka to zwątpiłem do tego stopnia, że zatrzymałem się przy pierwszym gospodarstwie i zapytałem jak dojechać do jednostki.

- A do jakiej jednostki chcesz dojechać? – zapytał mnie mężczyzna, który pielegnował swój ogródek.

- Jak to, do jakiej? No do rakietówki – odpowiedziałem z niezbyt mądrą miną.

- A w jakich latach służyłeś?

- 85-87.

- A to jeszcze za G. Długo był tu dowódcą.

- No dokładnie – odpowiedziałem.

- Tak, tak. No to kawał czasu upłynęło od twego wyjścia. Generalnie nic tam nie zostało. Zburzyli wszystko. Nawet rozebrali ostatnio taki mały budynek, który stał przy bramie. Kiedyś siedział tam stróż, ale teraz nie ma już, czego tam pilnować. Zresztą sam zobaczysz.

- Czyli ta zarośnięta dróżka z dziurami to droga do jednostki? – zapytałem.

- *A tak. Widzę, że jesteś zaskoczony, ale kto miał o to dbać. Wojska tu nie ma i wszystko powoli, co tu było przegrywa z siłami natury. No jedź, zobacz jak to teraz wygląda. A co to, wzięłeś ze sobą żonę?*

- *Tak. Chciałem pokazać jej gdzie spędziłem dwa lata.*

- *No to zobaczy tylko bramę i krzaki.*

- *Trudno. Dziękuję bardzo.*

- *Powodzenia.*

Pojechaliśmy pod bramę. Matko jedyna. Jak to wszystko wygląda? Zamiast pięknej niegdyś bramy, zobaczyłem dwa kawałki zardzewiałej blachy, pospawanej byle jak z krzywo wykonanym, odręcznie napisem „Teren prywatny wstęp zabroniony”. W miejscu, w którym niegdyś miałem służby jako dyżurny PKT, zobaczyłem tylko kilka cegieł i śmieci. Zajrzałem przez prowizoryczną bramę do wnętrza. Pustka. Na drodze, którą niegdyś dziesiątki razy przemierzaliśmy nie było nawet asfaltu. Zniknęły budynki sztabu i koszar, stołówki i budynków WAK. Wszystko zarośnięte chwastami. „Kurwa mać. Komu to przeszkadzało?” – pomyślałem – „obok jest jeziorko. Można było zrobić tu niezły ośrodek wypoczynkowy, albo stanicę wędkarską. Ale, po co? Lepiej wszystko zrównać z ziemią i koniec”.

Żona stała obok. Widziałem, że jest zaskoczona widokiem, jaki tu zastała. Inaczej sobie wyobrażała jednostkę wojskową. Dla niej zawsze wojsko kojarzyło się z ładem i porządkiem. A tu? Jedno

wielkie pobożowisko. Jedyne ocalałymi budynkami były dwa magazyny rakiet. Reszta zniknęła.

Żona wykonała mi zdjęcie na tle bramy wjazdowej do jednostki. Jeszcze raz rozejrzałem się dookoła.

Tak. Tu spędziłem swoje młode lata. Szkoda, że nie mogę wejść teraz do izby, w której przebywałem, na co dzień, albo do kancelarii, w której spędzałem bardzo dużo czasu. Niech by to były nawet ruiny to i tak bym to poznał a tak. Żona kilkakrotnie poganiała mnie do wyjazdu z tego miejsca. Mi, przez głowę przelatywały wspomnienia tamtych dni. Dni, w których RAZEM BRONILIŚMY POLSKIEGO NIEBA.

- **PKT – Punkt kontroli technicznej** – najczęściej umiejscowiony był przy bramie wjazdowej jednostki. Służba polegała na wydaniu dokumentów pojazdu oraz częściowym sprawdzeniu stanu technicznego pojazdu.
- **PSO – Parkowa stacja obsługi** – w wielkim skrócie inaczej warsztat naprawy i obsługi pojazdów
- **MPS – Magazyn paliw stałych** – stacja paliw.
- **WAK – Wojskowa administracja koszar** – zajmowała się naprawą i konserwacją budynków mieszkalnych i gospodarczych. W skład wak-u wchodziła stolarnia, ślusarnia i magazyn materiałów budowlanych. Służbę w niej pełnili żołnierze, którzy w cywilu pracowali w branży budowlanej.
- **Trep** – w żargonie żołnierskim- nazwa żołnierza zawodowego.
- **Rezerwista „dziadek”** – żołnierz służby zasadniczej, któremu zostało pół roku do cywila.
- **Kot, sierściuch** – żołnierz służby zasadniczej, rozpoczynający służbę wojskową.
- **Grzbiot** – żołnierz służby zasadniczej, który nie przeszedł ceremoniału obcinki. Osoba taka po wyjściu rezerwy do cywila, traktowana była na równi z żołnierzami młodego rocznika, czyli z kotami.
- **Fala** – centymetr krawiecki o długości 150 centymetrów. Z jednej strony posiadał normalne cyfry z drugiej miał namalowane tuszem dyscypliny sportowe oraz wypisane różnego rodzaju wierszyki dotyczące rezerwy.

Używany był 150 dni przed wyjściem do cywila. Codziennie po obiedzie odrywany był jeden centymetr i wrzucany do talerza.

- **Plutek, kaloryfer** - plutonowy.
- **Baniak** – kapral.
- **Buzala** – prowizoryczna grzałka do wody. Sporządzona była z dwóch żyletek rozdzielonych zapalkami i podłączonymi przewodami elektrycznymi. Woda gotowała się bardzo szybko jednak urządzenie było bardzo niebezpieczne.
- **Moro** – mundur polowy.
- **Wzorka** – odznaka „Wzorowy Żołnierz”.
- **Giwera** – karabin maszynowy.
- **Kojo** – łóżko.
- **Granat** – inaczej komenda „padnij”.
- **Dzik** – żołnierz pełniący służbę wartowniczą.
- **Pingwin** – żołnierz poboru styczniowego.
- **Pająk** – żołnierz plutonu łączności.
- **Wielbłąd** – żołnierz baterii technicznej.
- **Krazik** – kierowca Kraza.
- **Politrak** – zastępca dowódcy do spraw politycznych.
- **Strefa** – wydzielony obszar w jednostce, na której znajdował się sprzęt radiolokacyjny, magazyny i wyrzutnie rakiet oraz stanowiska napełniania paliwem, utleniaczem oraz powietrzem.
- **Pelagia** – stacja naprowadzania rakiet.
- **Elektrownia** – agregat prądotwórczy ESD-100.
- **Koza** – piecyk węglowy najczęściej zamontowany w namiocie.
- **Panterka** – kurtka polowa z podpinką.
- **Ancel** – areszt wojskowy.

- **Tygrys** – żołnierz, który „zaliczył” pobyt w karnej jednostce w Orzyszu.
- **Stary** – inna nazwa rezerwisty.
- **Mieć za cienko** – mała ilość dni służby przed wyjściem do cywila.
- **Gruby** – kwatermistrz.
- **Gaciowy** – pogardliwa nazwa pomocnika szefa baterii.
- **Gryzipiórek** – pisarz.
- **Odyniec** – dowódca warty.
- **Białe szaleństwo** – ser twarogowy.
- **Członek murzyna** – kaszanka.
- **Czaj** – herbata.
- **Stalka** – przepustka uprawniająca do przebywania żołnierza poza terenem jednostki na okres 24 godzin.
- **Drapać się** – kłótnia między żołnierzami młodego rocznika.
- **Bojówka** – szlufka skórzana do pasa wyjściowego wraz z małym metalowym kółkiem.
- **Lewizna, wolka** – samowolne oddalenie się po za teren jednostki. Czyn ten był karany bardzo surowo.
- **Bażant** – żołnierz w stopniu podchorążego.
- **Woska** – wojskowa odznaka sprawności fizycznej.
- **Panika** – kontrola w jednostce



Autor z giwrerq



Na kabinie Kraz



Marek, Janek, Darek



Na stacji naprowadzania rakiet



Na rakiecie Wołchow



*Paweł, Janek, Tadek, Rysiek, Marek, Marian,
Tomek, Krzysiek*



PKT – miejsce moich służb



Brama do jednostki – rok 2008
w głębi widoczne budynki



Brama do jednostki – rok 2016
budynki zostały rozebrane

